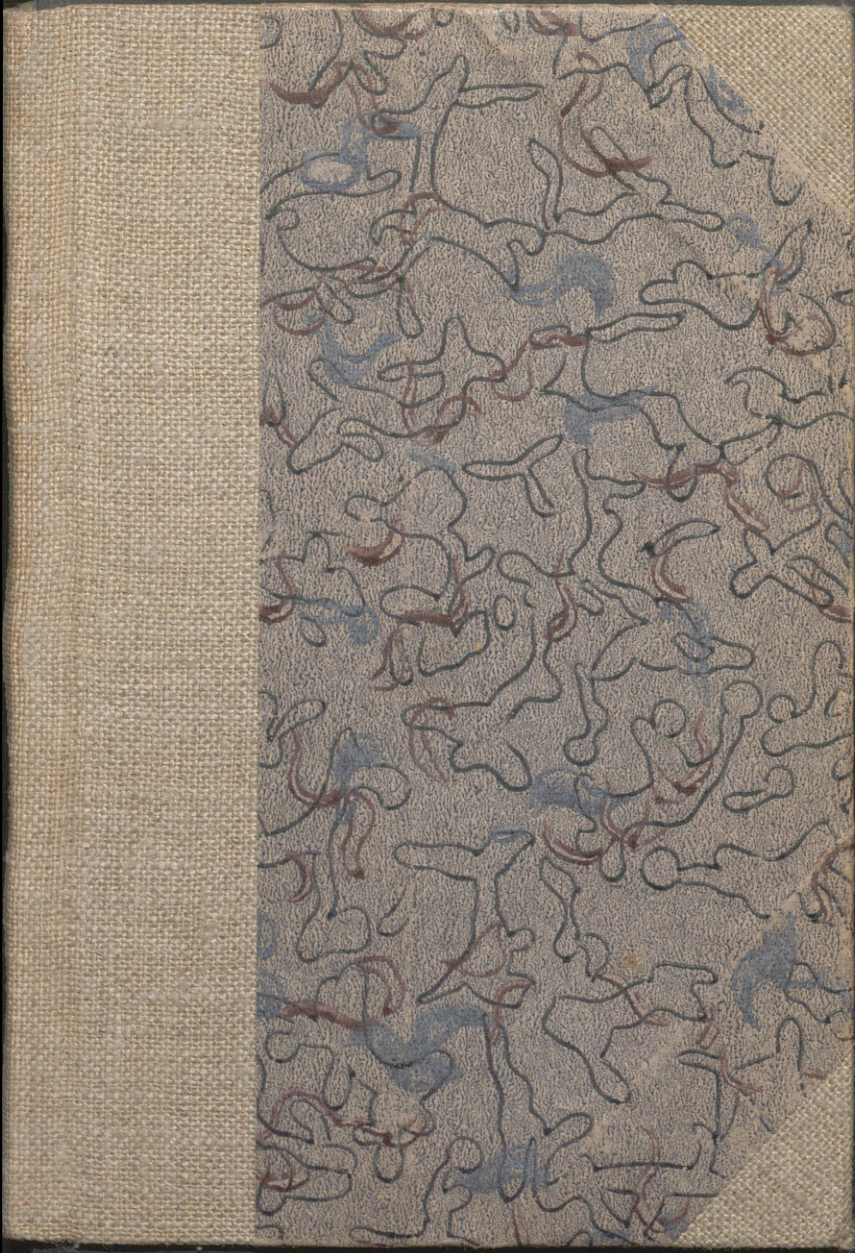




Grey Scale #13

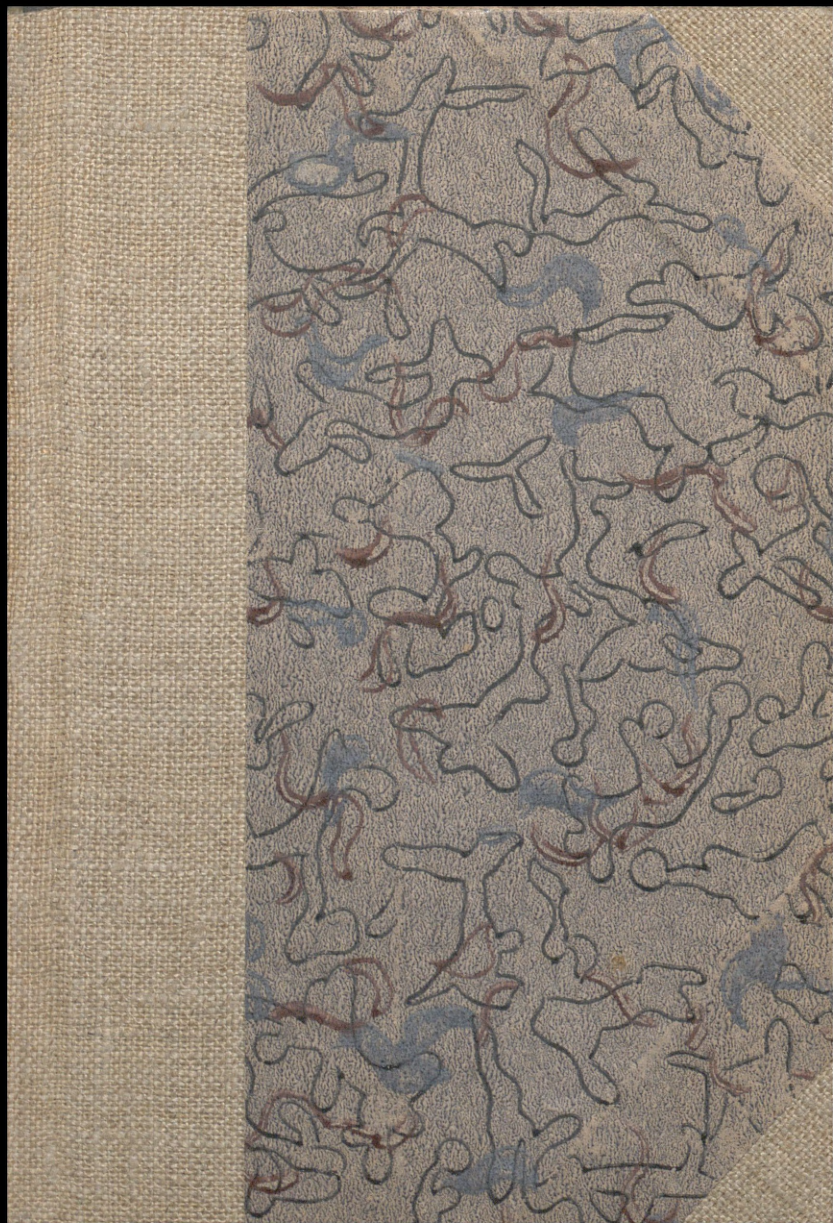


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13





BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Nr. 420

JULJUSZ FALKOWSKI.

# KSIĘSTWO WARSZAWSKIE

Obrazy z życia kilku ostatnich  
pokoleń w Polsce.

Z PRZEDMOWĄ  
ZDZISŁAWA DĘBICKIEGO.

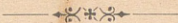
TOM I.

Gena 40 kop.  
W prenum. 30½ kop.

WARSZAWA  
Redakcyja i Administracyja  
14. Warecka 14.

1906.

JULJUSZ FALKOWSKI.



# KSIĘSTWO WARSZAWSKIE

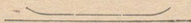


## OBRAZY

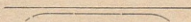
Z ŻYCIA

KILKU OSTATNICH POKOLEŃ

W POLSCE



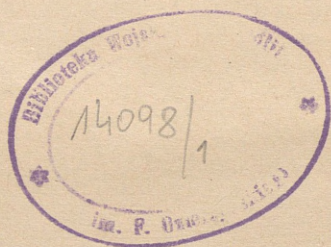
TOM I.



WARSZAWA.

DRUK JÓZEFA SIKORSKIEGO, WARECKA 14.

1906.



## SPIS ROZDZIAŁÓW.

---

	<i>Str.</i>
Przedmowa . . . . .	5
I. Urządzenie Księstwa Warszawskiego.—Woj- sko polskie . . . . .	8
II. Duch Warszawy—życie towarzyskie w roku 1808—dalsze urządzenie Księstwa . . . . .	32
III. Stan umysłów w Księstwie Warszawskim w roku 1808 . . . . .	65
IV. Wizerunki pierwszych ministrów Ks. War- szawskiego . . . . .	87
V. Streszczenie zmian, zaprowadzonych w Księ- stwie Warszawskim po rok 1809.—Pierwszy w niem Sejm.—Nowy minister skarbu . . . . .	121

---

## PRZEDMOWA.

---

*Vous êtes Varsoviens...*

Te były słowa, któremi powitał Napoleon zgromadzoną na jego przyjęcie deputacyę, wybraną ze wszystkich województw Polski pruskiej, czyli, jak wówczas mówiono urzędownie „Prus południowych i nowo-południowych.“

Deputaci — opisuje ten fakt Feliks Łubieński w swoich pamiętnikach — nie zrozumieli o co chodzi i, sądząc, że cesarz ma ich jedynie za wysłańców m. Warszawy, zaznaczyli, że są przedstawicielami całej Polski pruskiej. Ale cesarz powtórzył na to jeszcze dobitniej: *Vous êtes Varsoviens...*

Znaczenie tych słów, których na razie nikt wytłómaczyć sobie nie umiał, stało się jasne dopiero wówczas, kiedy cesarz ustanowił *Księstwo Warszawskie*.

Zrozumiano, że nie chciał on wymawiać imienia Polski, że nie chciał drażnić niem Austryi i Rosyi.

Księstwo Warszawskie urodziło się więc z dyplomacyi i było, jak to już współcześni pojęli, „ży-

jącą tymczasowością,“ zależną od przyszłych wypadków politycznych.

„Wyglądało ono — mówi Ochocki — jak Piotrowin, dzwignięty z grobu.“

Opinia narodowa boleśnie też żartowała sobie z tego nowotworu.

Mówiono, że w tej „Polsce napoleońskiej“ nie ma nic *polskiego*, bo Księstwo jest *Warszawskie*, obywatele jego są *Warszawianie*, król jest *Saski*, wojsko *francuskie* i t. d.

I była to rzeczywiście „Polska napoleońska..“

W Napoleona wierzyła ona, z Napoleonem szła, jemu niosła ofiarę w krwi najdzielniejszych i w pieniądzach najpracowitszych synów swoich, z nim przeżyła wielki dramat dziejowy od Saragossy i Somo-Sierry, przez Moskwę aż do Lipska, gdzie w bystrych falach Elstery zginął ks. Józef..

Trwała ta Polska wszystkiego przez lat 8 i 4 miesiące. Od Lipca 1807 r. do Grudnia 1815 r., kiedy na Kongresie Wiedeńskim powstała nowa „tymczasowość“ pod mianem Królestwa Polskiego (kongresowego).

A przecież zdołano przez ten czas niejedno odbudować, niejedno stworzyć. Dość powiedzieć, że w r. 1807 w spadku po rządzie pruskim zostało 147 szkół elementarnych, w r. 1811 posiadało już Księstwo 640 szkół, a w r. 1814 liczba ich wzrosła do 1,110.

W literaturze polskiej historia tych lat 8-iu nie jest bogato reprezentowana.

Do najlepszych prac o Księstwie należy niezaprzeczenie wydana w r. 1808 w Lipsku bezimiennie, pod godłem *Nil desperandum*, rozprawa Kołłątaja p. t. „Uwagi nad teraźniejszym położeniem tej ziemi polskiej, którą od pokoju Tylżyckiego zaczęto zwać Ks. Warszawskiem.“

Obok tego postawić należy znaną czytelnikom

*Bibl. Dzieł Wyborowych* monografię Księstwa, która wyszła z pod pióra Fryderyka Skarbka.

Ponadto mnóstwo szczegółów, dotyczących tej epoki, znajduje się w rozproszeniu po pamiątnikach wojskowych i historycznych.

Wyczerpującego jednak i krytycznego opracowania całości nie mamy. W naszych czasach dopiero na epokę Księstwa zwrócił baczniejszą uwagę prof. Szymon Askenazy, pod którego kierunkiem pracuje we Lwowie zastęp młodych sił naukowych<sup>1)</sup> nad historią Polski porozbiorowej. Z tej strony więc spodziewać się można ostatecznego zbadania i oświetlenia przedmiotu w monografii specjalnej.

Szkice Falkowskiego, które wydajemy obecnie, należą do prac mało znanych, a nie pozbawionych wartości dla kół szerszych. Nie są one wprawdzie oparte na bezpośrednich metodycznych badaniach źródłowych, ale przynoszą za to wiele ciekawych szczegółów, dotyczących strony obyczajowej i towarzyskiej ówczesnej Warszawy.

Są to rzeczywiste „obrazy,” w których odbija się dokładnie życie pokolenia, tak dziwnie szybko idącego z parkietów „Pod Błachą,” na pola bohaterkiej walki, rozbawionego w szalonej pustocie i lekomyślności, a jednocześnie gotującego się do wielkiej epopei dziejowej, której było aktorami.

Czytelnik znajdzie tu — zwłaszcza w listach Anny Nakwaskiej, literatki i znakomitej damy ówczesnej, małżonki prefekta departamentu warszawskiego — niejedną rzecz, która pomoże mu przenieść się w odległą już od nas epokę, zrozumieć ją i odczuć trafnie.

A jeżeli książka to spełni — spełni już swoje zadanie.

**Zdzisław Dębicki.**

<sup>1)</sup> Bojasiński, Loret, Skalkowski i inni.

I.

**Urządzenie Ks. Warszawskiego — Wojsko  
polskie.**

---

Po traktacie Tylżyckim część ta dawnej Polski, którą Napoleon odebrał Prusakom i wprowadził na widownię polityczną pod nazwiskiem Księstwa Warszawskiego, wyglądała jakby rozbudzona z uroczego snu. do biednej, bolesnej nawet z wielu względów rzeczywistości.

Czemże bowiem było to Księstwo polsko-saskie, takie, jak je pogromca Prus w r. 1807 stworzył, odkroiwszy z odbitego pruskiego zaboru kilka powiatów, ażeby je napowrót Prusakom oddać, kilka innych, żeby je nowemu sprzymierzeńcowi w dowód przyjaźni darować; odkroiwszy wreszcie wielki śpi-chlerz Polski, Gdańsk, ażeby go nikomu nie dać? Był to krzyk, nieliczący więcej nad 2 miliony mieszkańców, zniszczony już przechodami jego wojsk i nieustającymi przez pół roku dla nich dostawami, a następnie wyzyskany przez niego na wszystkie sposoby. Zabrał on mu, bez żadnego prawa, najpiękniej-

sze jego dobra skarbowe, w wartości 26 milionów franków, ażeby niemi wynagrodzić 27-miu marszałków swoich i przedniejszych generałów <sup>1)</sup>. Przysądził sobie i w trzech latach nakazał wypłacić owe miliony, które rząd pruski polecił był niegdyś wszystkim kasom swoim, ze zradziecką łatwością, obywatelom polskim wypożyczać, pewny, że im zgotuje ogólną i niechybną ruinę — i tak wycieńczonemu kraikowi kazał ów mniemany zbawca wystawić i swoim kosztem utrzymywać 30,000 wojska (nie licząc legii nadwiślańskiej i pułku lekkokonnego gwardyi, które były na żołdzie francuskim), aby krwią polską mógł szafować na wszystkich polach przysłych swoich bitew, a w dodatku włożył na karb jego wyżywienie trzydziestotysięcznego korpusu Davouta, który mu zostawił na żołdzie, co kosztowało 7,000 czerwonych złotych dziennie.

Nie pytał się Napoleon, zkąd weźmie na to funduszu biedne Księstwo Warszawskie. Nie pomyślał, że pociągnąwszy tam pod chorągwie całe niemal młode pokolenie, zostawił mało rąk do pracy w polu i warsztatach; że bydło, konie, owce padały tam od zaraźliwych chorób, które wojna na ten kraj

---

<sup>1)</sup> Uposażeni w ten sposób marszałkowie byli: Davout, Ney Lannes, Berthier, Bernadotte, Massena, Soult, Mortier, Bessières i generałowie: Savary, Suchet, Béliard, Friant, Oudinot, Dupont, Walther, Grouchy, Marchand, Victor, Bertrand, Sougis, St. Hillaire, Chasseloup, Nansouty, Legrand, Lariboissière, Mouton. — Wartość ogólna dóbr rozdanych szacowana była na 26 milionów franków. Samo Księstwo Łowickie darowane Davout'owi ceniono na 5 milionów, a Księstwo Siewierskie dane Lannes'owi na przeszło 2 miliony. Nie liczymy dóbr, darowanych ks. Józefowi Poniatowskiemu, Dąbrowskiemu i Zajączkowi ocenionych na 3 miliony,

sprowadziła; że mu przytem zamknął jedyną drogę handlową, którą wychodziły wszystkie jego ziemio-plody, a przychodziły w zamian towary do powszedniego użytku. Rozciągnął bowiem swój system kontynentalny na Gdańsk, który głównie handlował z Anglią i ztąd wynikło zbeczenie wszystkich produktów polskich, a ogromna drożyzna zagranicznych wyrobów fabrycznych. Nakoniec nie zważał Napoleon, że Prusacy zostawili byli po sobie na ziemi polskiej ciężką plagę, której bardzo trudno było zaradzić. Zaleli oni ją sfalszowaną zdawkową monetą, mianowicie nieważnemi sześciogroszówkami, czyli dydkami, wyłowiwszy jeszcze przed ostatnim rozbiorem Polski wszystką jej dobrą monetę. Nie było już nowej monety krajowej i zamiana odbywała się za pośrednictwem monet zagranicznych złotych i srebrnych, które trzeba było kupować u Żydów za dydki, tracąc na nich czasem więcej, niż połowę nominalnej ceny.

Wszystkie te zawody i klęski sprowadziły na nowo utworzone Księstwo nędzę straszliwą. „Przyszedł był czas kaźni — mówi często przytaczany przez nas historyk, świadek owych czasów za pierwszej swej młodości <sup>1)</sup>, kaźni za lata zapomnienia, nierozwagi. Co byli sobie założyli, Prusacy iściło się teraz, lubo nie na ich korzyść. Ow nacisk Niemców do kupna dóbr, obok nadzwyczajnych cen zbeża, podniósł był za ich rządów wartość majątków o wiele wyżej nad rzeczywistą. Każdy właściciel ziemski sądził się nierównie bogatszym, niżeli nim był w istocie; każdy, przy łatwości nadstawianych mu pożyczek, zaciągał bez obawy długi, to na kosztowne budowle, to na przykupienie dóbr, to na zbytki. Gdy więc teraz cena ziemi spadła niżej rzeczywistej wartości, do połowy cen już przyjętych, dotknął dziedziców, a za ni-

---

<sup>1)</sup> Rys dziejów porozbiorowych, str. 74.

mi wierzycieli—przeto kraj cały — zupełny upadek. Nie było zkąd podatków opłacać, a skarb nie wystarczał na wyżywienie załogi francuskiej“.

Można więc pojąć, jaki smutek ogarnął wszystkie klasy ludności w tej części Polski. Umysły, jak to zwykle u nas bywa, przerzuciły się z wygórowanych nadziei, z entuzjazmu, posuniętego aż do szalu, do pesymizmu, graniczącego z rozpaczą. Gardzono wszystkim, co francuski tryumfator dawał Polakom za nieocenione ofiary i poświęcenia, jakie uczynili na jego wezwanie; gardzono nazwą, jaką ochrzcił oddany im odłamek ich ojczystej ziemi: gardzono dynastją, którą im narzucił, a która przypominała im tylko smutne czasy Augustów; gardzono konstytucją, którą podyktował dla nich naprędce i na której własną ręką podpisał, jakby dla odjęcia im wszelkich dalszych nadziei, że „uważa tę ustawę za uiszczenie się ze swoich zobowiązań względem ludów Warszawy i Wielkopolski“, godząc ich swobody i przywileje ze spokojem państw ościennych; gardzono kodeksem, jakim kraj obdarzył, wcale o to nieproszony, a który chrześcijańskie uczucia narodu obrażał ustanowieniem ślubów cywilnych i rozwiązalności małżeństwa; a ogólnie wyrzucano mu z goryczą, że postąpił z tą polską ziemią, jak z krajem zdobytym, bez szlachetności, bez delikatności, bez sumienia i dlatego ją tylko wydobył z pod pruskiego panowania, ażeby służyła jego celom chciwym i ambitnym.

Byli tacy, co żalowali już nawet pruskich czasów, z których wesołe tylko wspomnienia nasuwały się im na myśl. Nie zastanawiali się, że pod nogami tego biesiadującego społeczeństwa wykopana była przepaść, w którą runąć miało w blizkim już dniu <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Zobaczyć świadectwo współczesne Ant. Ostrowskiego w Życiu Tomasza Ostrowskiego, str. 273.

Zgoła rozdrażnienie całej ludności, zwłaszcza klas inteligentnych, po wiadomościach, otrzymanych z Tyłży, a następnie z Drezna, doszło do tego stopnia, że w czasie pobytu w tem ostatniem mieście przy Napoleonie komisji rządzącej, zastępujące ją dyrektoryum generalne uważało sobie za obowiązek ogłosić odezwę uspokajającą do narodu (18 lipca 1807 roku). Ciekawy to dokument; odbija się w nim bowiem przestрах, jakim przejmował Tytan wieku ludzi, u władzy stojących i zarazem wiara, jaką w nich wzbudzał, w nieomylność swojego geniuszu i w swoją potęgę nieprzezwyciężoną. Po podkadzeniu dosyć szczodrem polskiej miłości własnej narodowej, powiada dalej ta odezwa: „Wzgardzajcie baśniami, rozsiewanemi bez żadnej zasady przez naturalnych nieprzyjaciół, wśród kraju naszego zagnieżdżonych<sup>1)</sup>. Zaufajcie wspaniałomyślności wielkiego bohatera. Los nasz jeszcze czas jakiś zakrytym być musi przed nami. Przezorność niezglębienia tego, który znacznej części świata panuje, nie każe nam rozpaczać. Posłuszeństwo do końca i spuszczenie się zupełne na jego laskawość utwierdzić mogą szczęście nasze nadal; najmniejsze zaś szemranie, któreby do uszu jego doszło, najmniejszy opór jego woli, mogłyby obalić i zniszczyć wszelkie dotąd czynione usiłowania nasze. Mniej silni, jego tylko siłą znaczenie mieć możemy i jedynie wsparciem niezwykłego Napoleona być nasz zupełny odzyskać zdołamy. Równie wielki polityk, jak wojownik w głębokości rozumu swego decyduje i wykonywa wielkie czyny, których oddaleni od wszelkich z nim związków poznawać powodów nie możemy. Spuśćmy się zupełnie na niego; to jedyny środek, jaki nam pozostaje. Zau-

---

<sup>1)</sup> Mowa tu o pozostałych w kraju Prusakach, którzy rzeczywiście demoralizowali Polaków ile mogli.

fajmy całkowiec jemu, jak dotąd, jeżeli chcemy zachować jego łaskawość; bądźmy spokojni i cierpliwi, a czas poświęcajmy naukom i ćwiczeniom się, abysmy do boju i usługi krajowej co raz dzielniejszymi się stali“.

Odezwa ta nosi podpis Feliksa Lubieńskiego, jako prezesa dyrektoryum generalnego i Ignacego Szczurowskiego, sekretarza.

Niepodobna, ażeby Napoleon nie wiedział, w jaką gorycz zmienił się okazywany mu przed kilku miesiącami entuzjazm w tej części Polski; zostawił tam bowiem, jak to zobaczymy dalej, swych pułkowników i generałów na pewnych posterunkach obserwacyjnych; ale mało go to zapewne obchodziło, dopóki za prądem opinii powszechnej nie poszły władze i nie ośmieliły się neutralizować niektórych jego rozporządzeń, najwięcej obrażających naród, jak na przykład rozsąfowanie znacznej części dóbr narodowych między francuskich generałów. Był to gwałt tak krzyczący, krzywda tak ciężka, wyrządzone zubożałemu krajowi, że urzędnicy skarbowi, chcąc złe trochę naprawić, nałożyli, pod pozorami może niezawsze słusznemi, różnego rodzaju podatki na te donacje. Donataryusze poskarżyli się przed cesarzem i wskutek tego pojawił się w dzienniku urzędowym księstwa, to jest w *Gazecie Korespondenta Warszawskiego* z 17 października 1807 r. artykuł naznaczony cechą napoleońską, dumną, despotyczną, niecierpiącą żadnych sprzeciwiań.

Oto jest ten dokument, niewątpliwie z Paryża nadesłany, lubo pod formą rzekomo swojską ogłoszony.

„Jednym ze środków, przedsięwziętych przez najjaśniejszego cesarza Napoleona, który zaspokoił względem przyszłości oświecone umysły i dowieść powinien był wszystkim, że najwyższą opiekę swoją do tego kraju rozciąga bezwątpienia ten, gdy po zagwarantowaniu konstytucyi, według której rządzić

się mamy, chciał przywiązać do losu naszego kilku z pierwszych generałów swoich“.

Ileż fałszów w jednym tym frazesie! Konstytucja Księstwa podpisaną została przez Napoleona 22 lipca, dekret zaś uposażający marszałków i generałów jest z daty 24 czerwca, czyli był na miesiąc pierwszej wydany. Nie było ich kilku, ale 27-miu, a pozór, że chciał ich przywiązać do losu Polski, jest poprostu śmieszny, bo generałowie, ani nawet marszałkowie, nie wpływali bynajmniej na jego politykę. Ale idźmy dalej.

„Zdaje się, że środek ten nie był należycie oceniony i że niektóre osoby w dobrej wierze, a inne z umysłu, starały się usuwać lub osłabiać wykonanie jego w sposób obrażający nie tylko donataryuszów, ale nawet Najjaśniejszego pana. Jakoż w samej rzeczy dobra te, które nazwiskiem narodowych oznaczono (tego widocznie Polak nie mógł napisać), obciążone zostały podatkami, jedne bardziej niż drugie arbitralnemi (francuski frazes: *les uns plus arbitraires que les autres*). Takowe nakłady (*impositions*) arbitralne do tego posunięto stopnia, że całkowita intrata na nie nie wystarczała.

„Dla położenia tamy tym nadużyciom, stało się powinnością rządu przedsięwziąć środki, zasłaniające od arbitralności (czyjej? urzędników rządu, a właściwie samego rządu). Jakoż uchwalono, że takowe dobra na przyszłość innych poborów znosić nie będą, jak tylko te, które ze wspólnej umowy między Najjaśniejszym cesarzem i królem, a N. królem saskim nastąpią. Każdy światły człowiek uzna z ukontentowaniem w tem urządzeniu nową rękojmnię przyszłych losów naszych (?). Należy zawsze oświecać osoby dobrej wiary i do takowych tylko przemawiać przystoi; niepotrzebną byłoby rzeczą odzywać się do intrygantów, którzy stali w wybiegach, nieprzerwanie pracują, by przeistaczać to, co jest z korzyścią dla ich ojczyzny. Lecz zostając pod

ojcowskim rządem cnotliwego monarchy i pod wysoką opieką wielkiego Napoleona, powziąć nadzieję, możemy, że ich nikczemne działania i podłe podstępny innego mieć nie będą skutku, prócz przymoczenia wzgardy, którą już są okryci“.

Ta argumentacja despotyczna i kłamliwa od początku do końca nikogo zapewne nie przekonała, tak, jak serdeczna odezwa Lubieńskiego nikogo nie poruszyła—ale niepodobna było spierać się z władcą, który światem trząsał. Było to może zrządzeniem Opatrzności, aby ta część najżywotniejsza polskiego narodu przeszła przez tak ciężką szkołę, jaką było Księstwo Warszawskie i w niej zmuszona walczyć nieustannie z olbrzymimi trudnościami tak o byt polityczny, jak i nawet o chleb codzienny, a nie mając żadnego sposobu ugięcia tej niezłomnej konieczności—wydobyła z siebie ogromne siły, otrząsała się ostatecznie z anarchicznych nawyków, pojęła konieczność porządku i zgody w społeczeństwie i nauczyła się służyć krajowi użytecznie, z poświęceniem bezwarunkowem, we wszystkich zawodach.

Że skorzystała wiele pod temi względami w sześćdziesięciu latach Księstwa Warszawskiego, tego dowodzą fakta niezaprzeczone. W tym przeciągu czasu, tak krótkim, wyrobili się w owym kraiku generałowie i żołnierze, mężowie stanu i urzędnicy, a obywatele, przygnieceni w pierwszych latach, nałożonemi na nich ciężarami, nie dosyć, że nie ulegli im, ale potrafili zdobyć się jeszcze na nowe wielkie ofiary w 1809 r. i na większe jeszcze w r. 1812.

Lecz kiedyśmy już porównali Księstwo Warszawskie do szkoły, to niech nam wolno będzie posunąć dalej to porównanie. W tej szkole przeszli Polacy niejako przez dwie klasy postępowe, które im z kolei otworzyć zniewolony był Napoleon. Pierwszą klasę stanowiło malutkie księstwo po traktacie Tylżyckim; drugą, rozszerzone księstwo traktatem Wiedeńskim 15 października 1809 r., które, ma-

jąc już 3,800,000 ludności, zaliczyć się mogło do państw trzeciorzędnych.

Największe trudności do przełamania były w drobnem Księstwie, czyli w początkowej klasie, gdzie trzeba było administrację, sądownictwo, szkoły, dochody dla skarbu, zgoła wszystko prawie, czem się państwa wielkie i małe utrzymują, tworzyć po większej części z niczego.

W pierwszych dniach sierpnia członkowie komisji rządzącej powrócili z Drezna do Warszawy, prócz Gutakowskiego i Stanisława Kostki Potockiego których król saski, a nowy książę warszawski dla bliższego obeznania się z rzeczami krajowemi przy sobie jeszcze zatrzymał. Komisya rządząca, z polecenia księcia panującego, objęła jeszcze na krótki czas ster kraju i w dniu 13 sierpnia rozpoczęła swoje czynności. Ludzie poważni, powszechnie szanowani, do składu jej wchodzący, którzy w Dreźnie radzili z Fryderykiem Augustem, zapewniali, że jest najlepszym człowiekiem, że po polsku mówi jak rodowity Polak i szczerze kocha Polaków. Dodawali, że prawdopodobnie wiele rzeczy, które straszły mieszkańców kraju, dadzą się w wykonaniu złagodzić i to przyniosło trochę otuchy tej tak srodze rozczarowanej ludności. Książę Józef ze swojej strony wydał odezwę do wojska (pod datą 5 sierpnia), dla podniesienia jego ducha i wdrożenia go do karności i porządku. Powiada w niej: „Powróciwszy z Drezna, dokąd pośpieszyłem był pożegnać N. cesarza Francuzów i króla włoskiego i oddać mu od wojska, któremu mam honor przodować, hold ostatni (sic), poczytuję sobie za chlubę i powinność powtórzyć wam słowa, które do mnie o was wyrzekł. Kontent jestem—rzekł—z wojska polskiego; widziałem w niem odwagę i życie; jest mężne i bitne, ale nie ma jeszcze postawy i ducha wojskowego, nie ma karności i związku, które są cechą prawdziwych

żołnierzy, lecz których nie zaniechają im nadać sprężystą zwierzchność i pokój“.

Po przytoczeniu tych napomnień największego wojownika świata, jak się wyraża dyrektor wydziału wojny, wzywa on żołnierzy polskich, ażeby ich usłuchali „a przez to mogli sobie zasłużyć na zupełne uznanie wielkiego człowieka i stanęli w liczbie wojsk, jakich potrzebują dzielne rządy i ludy dbałe o swoje prawa“. Sam książę Józef z największą gorliwością przyspieszał ich wyćwiczenie, musztrując swoją dywizję codziennie po parę godzin na Saskim placu, ażeby się mogła przyzwoicie pokazać przed marszałkiem Davout; mianowany był bowiem ten słynny wódz francuski przez cesarza naczelnym dowódcą wszystkich wojsk, mających konsystować w Księstwie Warszawskim, których liczba ustanowioną została przez Napoleona na 30,000, a w rzeczywistości przносиła o wiele tę liczbę. Razem miał Davout pod swoją komendą około 60,000 wojska, które Księstwo Warszawskie żywić musiało przez rok cały swoim kosztem, a 37,000 własnych żołnierzy utrzymywać zupełnie.

Dnia 16 sierpnia przyjechał Davout do Warszawy i niebawem rozpoczął przeglądy trzech dawnych legii polskich, zamienionych na dywizye, których skład z nazwiskami generałów i pułkowników podajemy tu dla pamiątki; była to bowiem pierwsza nasza armia porozbiorowa <sup>1)</sup>.

Każda z tych trzech dywizyi składała się z czle-

---

<sup>1)</sup> Obraz ten wojska Ks. Warszawskiego w 1809 r., wyjęty jest z cennych notatek Barona Edwarda Rastawieckiego, znajdujących się w muzeum archeologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ed. Rastawiecki ofiarował je temu muzeum wraz z papierami swoimi i mnóstwem skarbów pamiątkowych.

rech pułków piechoty, a dwóch jazdy; jednego ułanów, drugiego strzelców konnych; z 1-go batalionu artylerji, nakoniec z jednego oddziału inżynjerji. Nie było jeszcze wodza naczelnego, ale najwyższa władza administracyjna była przy ks. Józefie, jako naczelniku wydziału wojny w komisji rządzącej, a następnie ministże wojny. Przy boku jego byli:

Szef sztabu generalnego, gen. brygady Kamieniecki.

Dowódca artylerji trzech dywizji, gen. brygady Wincenty Aksamitowski.

Inspektor generalny jazdy, gen. brygady Aleksander Roźniecki.

Inspektor generalny piechoty, generał brygady Stanisław Fiszer.

Skład trzech dywizji był następujący:

#### DYWIZYA I.

Dowódca gen. dywizji, ks. Józef Poniatowski.

Szef sztabu pułkownik Józef Paszkowski.

Major dywizji <sup>1)</sup>.

#### *Piechota.*

Dowódca gen. brygady Łukasz Biegański.

Pułk 1-szy pułk. Michał Grabowski.

Pułk 2-gi pułk. Stanisław hr. Potocki (zwany pospolicie Staś Potocki).

Pułk 3-ci pułk. Edward Żółtowski.

Pułk 4-ty pułk. Feliks hr. Potocki.

#### *Jazda.*

Dowódca gen. bryg. Stanisław Wojczyński.

Pułk 1-szy strzelców pułk. Michał Dąbrowski (po nim Konstancy Przebendowski).

---

<sup>1)</sup> Major czyli Gros-Major był administratorem dywizji, miał rangę pułkownika. W gwardji Napoleona każdy pułk miał swojego Gros-Majora.

Pułk 2-gi ułanów pułk. Tadeusz hr. Tyszkiewicz.

*Artylerya piesza.*

Batalion 1-szy szef batalionu Jakób Redel.

DYWIZYA II.

Dowódca gen. dywizyi Józef Zająček.

Szef sztabu pułkownik Ksawery Kosecki.

*Piechoty.*

Dowódca gen. bryg. Izydor Krasieński.

Major dywizyi Paweł Skórzewski.

Pułk 5-ty pułk. Michał książę Radziwiłł.

Nb. Była to dawna legia północna, licząca 2,000 żołnierza, która walczyła i bardzo się odznaczyła przy zdobyciu Gdańska. Przyłączona do dywizyi generała Milhaud została ona wraz z nią na załodze w zdobytym mieście. Była na żołdzie francuskim. Po ustanowieniu Księstwa Warszawskiego cesarz dał jej do wyboru służyć dalej na francuskim żołdzie, lub przejść do służby swojego kraju. Dnia 11 sierpnia powołano legię jakby na przegląd i pytano każdej z osobna kompanii, jaki czyni wybór. Wszystkie, jedna po drugiej odpowiadały jednomyślnym okrzykiem: „Niech żyje Polska“! Sami tylko oficerowie Francuzi, służący w legii, zażądali przejścia do wielkiej armii. Legia zmieniona została w pułk 5-ty piechoty, ale przybyła do Warszawy dopiero w początku maja 1808 r.—i

Pułk 6-ty pułk. Maciej Sobolewski.

Pułk 7-my pułk. Walenty Skórzewski.

Pułk 8-my pułk. Cypryan Godebski.

*Jazda.*

Dowódca generał bryg. Józef Niemojowski.

Pułk 3-ci ułanów pułk. Józef Łączyński.

Pułk 4-ty strzelców konnych pułkownik Kwasiński.

*Artylerya piesza.*

Batalion 2. Szef batalionu Antoni Górski.

## DYWIZYA III.

Dowódca Jan Henryk Dąbrowski.

Szef sztabu pułkownik Czesław Pakosz.

*Piechota.*

Dowódca generał bryg. Amilkar Kosiński.

Major dywizyi Maurycy Hauke.

Pułk 9-ty pułkownik Antoni książę ordynat  
Sulkowski.

Pułk 10-ty pułk. Antoni Downarowicz.

Pułk 11-ty pułk. Stanisław Mielżyński.

Pułk 12-ty pułkownik Stanisław Poniński.

*Jazda.*

Dowódca generał brygady Michał Sokolnicki.

Pułk 5-ty strzelców konnych pułkownik Kazimierz Turno.

Pułk 6-ty ułanów pułkownik Dominik Dziewanowski <sup>1)</sup>.

*Artylerya piesza.*

Batalion 3-ci. Szef batalionu Józef Hurtig.

Wogóle wojsko Księstwa Warszawskiego liczyło w roku 1807 31,713 głów, 6,035 koni i 95 dział wraz z baterią (75 koni), którą kosztem swoim wystawił Włodzimierz Potocki, syn Szczęsnego, ażeby ulżyć cięższej na rodzie jego pamięci ojca. Trzech oficerów francuskich przeszło do służby polskiej dla urządzenia artylerji i inżynieryj; byli to Pelletier,

---

<sup>1)</sup> Numeracya podana tu pułków kawaleryi odnosiła się widocznie do obszerniejszego planu. Było bowiem rzeczywiście 3 pułki ułanów i 3 strzelców a tu widzimy pułk 6 ułanów i pułk 5 strzelców, gdy tymczasem brak 1, 4 i 5 ułanów a 2 i 3 strzelców konnych.

Bontemps i Mallet de Granville, który się później przezwiał Maleckim.

Prócz tych przeszło 37,000 żołnierzy polskich, będących na żołdzie Księstwa Warszawskiego, było ich jeszcze więcej niż 7,000 na żołdzie francuskim, a w Warszawie, w koszarach Mirowskich formował się pułk lekkokonna gwardyi Napoleona i formował w nader ciężkich warunkach, jak to pokazuje dekret cesarski, odnoszący się do jego utworzenia, wydany w Finkensteinie 6 kwietnia 1807 r. Art. 5-ty tego dekretu brzmi jak następuje:

„Ażeby być przypuszczonym do korpusu szwoleżerów, trzeba być właścicielem (*possesio-natus*, jak mówiono dawniej w Polsce) lub synem właściciela; nie mieć mniej niż 18-ście a nie więcej nad 40 lat wieku i opatrzyć się własnym kosztem w konia, mundur (mundur był dwojaki: zwyczajny i paradny, a dla oficerów trzeci balowy), w rzęd i ryszunek kompletny, stosownie do wydanego wzoru.

„Co się tycze osób, któreby nie były w stanie sprawić sobie konia, munduru, rzędu i ryszunku, tym dana będzie zaliczka“ (potrącona z żołdu po 15 soldów dziennie, podług art. 7-go).

Napoleon chciał mieć w gwardyi swojej pułk polski prawdziwie rycerski, z samej szlachty złożony i nie daremnie się do niej odezwał. Z wielu rodzin szlacheckich niemal całe młode pokolenie zaciągało się gromadnie do tego świetnego hufta. Było w niem trzech Krasińskich, Wincenty, Piotr i Julian, trzech Radziwiłłów, Konstanty, Aleksander brat pani Wincentowej Krasińskiej i Dominik, który później wszedł na majora pułku a zginął pod Hanau, trzech Łubieńskich braci, Tomasz, Franciszek i Tadeusz (późniejszy biskup), Jordanów trzech braci, Gotartowskich trzech braci, Hemplów trzech braci, Mierzejewskich trzech, Romanów trzech, Zielonków trzech, Kamińskich

kilku, Morskich dwóch braci bliźniąt, Skarzyńskich dwóch braci, Załuskich dwóch, Roztworowskich dwóch Skalskich dwóch, Tedwenów dwóch, Sokołowskich dwóch, Gadonów dwóch, Mikułowskich dwóch i t. d. <sup>1)</sup>

Skład hierachii pułkowej ulegał tak częstym zmianom, że można go tylko przedstawić, jakim był w pewnej chwili danej.

Przy wejściu do Hiszpanii dowódcą był Wincenty hr. Krasiński, pułkownik, niedługo potem ponusięty na generała brygady.

Majorów miał pułk aż trzech; byli nimi:

- 1) D'autencorut dawniej szef szwadronu zandarmeryi wyborowej, prawdziwy organizator pułku, a częstokroć dowódca jego, gdy generał Krasiński był przy cesarzu, pełniąc służbę adjutanta. <sup>2)</sup>
- 2) Karol Delaitre, dawny adjutant Klebera w Egipcie, później szef szwadronu mameluków przy cesarzu.
- 3) Konopka.

Dowódcy szwadronów:

- 1-szego Tomasz Lubieński.
- 2-giego Jan Koziętulski (pod Somo-sierra dowodził 3-cim w nieobecności właściwego dowódcy).
- 3-ciego Ignacy Stokowski (przybył do Hiszpanii dopiero po bitwie pod Somo-sierra).
- 4-tego Henryk Kamieński.

---

<sup>1)</sup> Wyciągnęliśmy prawie wszystko, co się tyczy tego pułku z dzieła „Wspomnienia o pułku lekkokonnym polskim gwardyi Napoleona“ przez Józefa Załuskiego, generała brygady. W. P.

<sup>2)</sup> Zostawił on w rękopiśmie gruby pamiętnik o tym pułku, w objętości trzech tomów, który się znajduje w bibliotece ordynackiej Krasińskich.

Pułk ten wychodził z Warszawy pół kompaniami w miarę jak były uformowane; pierwsza półkompania wyszła jeszcze w czerwcu 1807 r. pod dowództwem Tomasza Łubieńskiego, dążąc na teatr wojny w Prusach, ale przybyła tam dopiero po bitwie pod Friedland i z Prus poszła wprost do Francji. W końcu września wszystkie cztery szwadrony opuściły były Warszawę.

Była jeszcze legia polsko-włoska, złożona ze szczątków dawnych legionów Dąbrowskiego. Legia ta, przebywszy najrozmaitsze koleje, wezwana została w 1806 r. z Kalabrii do Polski. Lecz gdy przybyła do Śląska, Napoleon kazał się jej tam zatrzymać i oddał ją pod rozkazy brata swego, Hieronima, dowodzącego wszystkimi wojskami, zostawionymi na Śląsku. Zarazem rozkazał dowódcy legii, generałowi Grabińskiemu, powiększyć ją do 6,000 piechoty i 1,500 jazdy, w czym znieść się miał z ks. Józefem Poniatowskim. Było to w czasie pobytu Napoleona w Osterodzie. Co Napoleon chciał, to stać się musiało. W kilka miesięcy legia, wzmocniona nowemi zaciągami, liczyła 6,000 piechoty, podzielonej na trzy pułki, w porządku następującym:

Pułk 1-szy pułkownik Chłopicki, major Kąsinowski, szefowie batalionów Ruthie i Fondzielski.

Pułk 2-gi pułkownik Białowiejski, major Szot.

Pułk 3-ci pułkownik Świdorski, major Billing,

Pułk jazdy, w miejsce dowódcy swego, Rożnieckiego, który, mianowany świeżo generałem brygady, przeszedł do wojska Księstwa Warszawskiego, jako inspektor generalny jazdy, dostał za pułkownika Klickiego.

Nazwa legii zmienioną została z polsko-włoskiej na nadwiślańską.

Na początku września Napoleon nakazał generałowi Grabińskiemu spytać się każdego pułku osobna, podobnie jak legii północnej, czy chce się przyłączyć do wojska francuskiego, czy też do polskie-

go. Oficerowie i żołnierze odpowiedzieli z tą samą jednomyślnością, jak ich bracia z legii północnej, że chcą służyć krajowi; ale cesarz Francuzów, który ze zwykłym sobie despotyzmem wahał się już potwierdzić wybór legii północnej, żądania legii nadwiślańskiej wcale nie uwzględnił. Legia ta, tak zasłużona pod chorągwią narodową pozostała pod królem Hieronimem i w październiku musiała iść za nim do Westfalii. Każdy pułkownik z osobna otrzymał w tym względzie rozkaz od wice-hetmana (*Vice Connétable*) wielkiej armii francuskiej Bertier'a. W Kassel legia jeszcze zwiększoną została nabytkiem dawnych huzarów Kalinowskiego, tak zwanych bosych, bo nie mieli ani koni, ani zupełnego umundurowania, których wysłano do Westfalii. Żołnierzy rozdzielono między pułki piechoty i jazdy, a awanturniczy pułkownik wrócił do Polski. Legia nadwiślańska urosła tym sposobem do blisko 8,000 ludzi, całe zaś wojsko, z Polaków złożone, czy to na żołdzie francuskim, wynosiło czterdzieści kilka tysięcy żołnierza.

Mundury wojska Księstwa Warszawskiego były zupełnie na wzór francuski. Pułk tylko lekkokonny i legia nadwiślańska odznaczały się w ubraniu więcej polską cechą. Pierwszy przypominał kawalerię narodową z ostatnich czasów Stanisława Augusta, mianowicie czapkami swojemi, które z lekkimi zmianami przyjęte zostały przez ułanów wszelkich wojsk europejskich. Mundury paradne tego szlacheckiego pułku były półfraki czyli fraki z krótkimi ogonami, białe z amarantowemi kołnierzami i rabatami. Pod Somo-sierrą i nawet jeszcze pod Wagram, hufiec ten nie miał lanc, uzbrojony jednostajnie w pałasze, pistolety w olstrach i strzelby lekkie, zawieszane przez ramię. Dopiero po kampanii 1809 r., na usilne żądania oficerów i żołnierzy, uzbrojono w lance pierwszy szereg, inne zaś pozostały jak dawniej.

Legia nadwiślańska, tak piechota jak i jazda, zachowała swoje kurtki granatowe z czasów Dąbrowskiego. Z początku półki jej różniły się kolorami kołnierzy i wyłogów <sup>1)</sup>; później, zdaje się, że cała legia miała jednostajne żółte wypustki u kołnierzy i żółte wyłogi. Trzy dywizye Księstwa Warszawskiego, pozostałe tymczasowo w kraju, rozłożone były na całej jego przestrzeni.

Marszałek rozpoczął przeglądy swoje od dywizyi księcia Józefa, której sztab główny był w Warszawie. Zadziwił go porządek, wyćwiczenie i postawa dziarska żołnierzy, jaką znalazł w tej dywizyi, i wyraził to w przemowie, którą miał po skończonym przeglądzie do oficerów.

„Trzeba być naocznym świadkiem, rzekł on, tak śpiesznie zebranego wojska, a już mającego zupełnie postać wojskową, aby się przekonać o rzetelności historyków, którzy nam odmalowali naród polski od najdawniejszych czasów jako bitny i do rzemiosła wojennego stworzony. Nowe to wojsko dało już dowody waleczności i męstwa, godne swoich przodków.“ Wystawiwszy następnie obowiązki żołnierza i oficera, zakończył swoją przemowę temi słowy, pełnemi zachęty: „Naród ten odradzający się powinien wszelkich sił dołożyć, ażeby się stał godnym widoków wielkiego Napoleona, pana mego i dalszych przeznaczeń swoich.“

Davout myślał to szczerze zapewne, bo marzył i on także o koronie polskiej<sup>2)</sup> i dlatego starał się też wszelkimi sposobami przypodobać Polakom,

---

<sup>1)</sup> Wtenczas pułk 1-szy miał kołnierze pasowe, wyłogi żółte — pułk 2-gi kołnierze granatowe jak kurtki, wypustki u nich i wyłogi karmazynowe — pułk 3-ci kołnierze karmazynowe, wyłogi białe.

<sup>2)</sup> Villemain, Souvenirs, str. 171.

a władza jego nie ograniczała się na do wództwie nad wojskiem konsystującym w Księstwie. Był on, nie urzędowo wprawdzie, ale niemniej rzeczywiście, przez cały pierwszy rok bytu tego Księstwa jego gubernatorem wojennym, zastępcą cesarza, który mu powierzył najwyższą kontrolę nad władzami cywilnymi w tym organizującym się kraiku, aby porządek przez niego obmyślony wprowadzony został w wykonanie sprężyście i dokładnie, co do joty. Antoni Ostrowski porównywa stanowisko, wyznaczone Davoutowi w Księstwie Warszawskim, do obowiązku gubernera przy niedorostku, pozornie usamowolnionym. Tak określa on rozległość władzy i działalności słynnego marszałka, zostawionego nam przez Napoleona w 1807 r.:

„Marszałek Davout był jakoby gubernator wojenny, a raczej wice-król Księstwa Warszawskiego, z obszernem pełnomocnictwem, przed którym drżały władze krajowe i sami pozostali u nas Francuzi. Lubo przypominał nam, że jeszcześmy niepodległości się nie dokupili, lubo on to właściwie rządził za pośrednictwem magistratur krajowych i na wszelkie gałęzie administracyi wpływał — jednak znaną swoją uczciwością, surowością żołnierską, sprężystością, które w jego charakterze leżały, utrzymaniem w wojsku przykładowej karności, przyczynił się wielce do zaprowadzenia w krótkim czasie porządku w kraju i dodał bodźca rządowi.“<sup>1)</sup>

Władza ta gubernatorska była rzeczywiście nader potrzebna w tej epoce przejściowej, kiedy panowanie pruskie zostało zwalone, nowy zaś rząd konstytucyjny, z nowymi prawami i odmiennym zupełnie mechanizmem, jeszcze niezaprowadzony; a wymagało to długiego czasu. Same formalności zajęły go niemało.

<sup>1)</sup> Żywot Tomasza Ostrowskiego, str. 281 i 282.

Naprzód trzeba było oznaczyć granice Księstwa od Prus. W tym celu wysłani od komisji rządzącej pełnomocnicy: książę Stanisław Jabłonowski i Twarowski członek izby adm. plockiej, zjechali się z pełnomocnikiem pruskim w miesiącu sierpniu i dokonali zgodnie roboty w kilku tygodniach. Następnie król saski wysłał L. Gutakowskiego, prezesa komisji rządzącej, jako pełnomocnika do Berlina, dla dopełnienia formalności odbioru Księstwa na rzecz jego. Jednego i tegoż samego dnia, 1-go września, intendent generalny armii francuskiej i zawiadowca krajów zdobytych, Daru, otrzymał od króla pruskiego akt zrzeczenia się wszelkich praw jego do tego kawałka dawnej Polski i oddał go w posiadanie króla saskiego, za pośrednictwem przysłanego pełnomocnika. Późem nowy książę warszawski wyprawił do Warszawy ministra pełnomocnego, hr. Schoenfelda, dla wprowadzenia w urządowanie ministrów konstytucyjnych przez niego mianowanych. Sam przyrzekł swoją bytność w stolicy pod koniec listopada i do tej chwili odłożył rozstrzygnięcie praktyczne różnych kwestyi, z tej konstytucyi wynikających.

Ustawa ta była najlepszą pamiątką, najplodniejszą w dobre skutki, jaką Napoleon po sobie na polskiej ziemi zostawił, lubo zastosował wprost tylko do utworzonego przez siebie Księstwa, główne zasady konstytucyi francuskiej z 1789 r.

Konstytucya napoleońska uznawała religię katolicką za religię stanu; obok niej wszakże zastrzegła zupełną wolność dla wszelkich innych wyznań. Wygłaszała zasadę równości wszystkich mieszkańców kraju w obliczu prawa i ustanowiła rząd monarchiczno-konstytucyjny, z właściwą mu równowagą władz, niedopuszczającą samowoli z żadnej strony; to jest z dwiema izbami prawodawczemi, jedną poselską, złożoną z 60-ciu posłów do sejmików i 40-tu deputowanych z miast; drugą senatorską,

dożywotnią, złożoną z 7-miu biskupów, tyłuż kasztelanów, a wobec obydwóch stała władza monarsza, dziedziczna, nietykalna, osłonięta ministrami odpowiedzialnymi przed reprezentacją krajową i dająca główny ruch całej machinie, w moc swoich przywilejów. Do monarchy bowiem i mianowanej przez niego rady stanu należała wyłącznie inicjatywa praw. Król miał przytem mianować prezesa senatu, marszałka izby poselskiej, wszystkich wyższych urzędników, rozdawać nagrody za zasługi i używać prawa łaski. Dochód roczny królewski oznaczony był na 7,000,000 złp. Izby zwolywane co dwa lata, stanowić miały prostą większość głosów, a dla skrócenia rozpraw w izbie poselskiej, przymawianie się dozwolone było tylko piętnastu wybranym przez nią komisarzom. Posłowie i deputowani odnawiać się mieli w trzeciej części co lat cztery, a tym sposobem odnowienie zupełne Izby następować miało dopiero po 12-tu latach.

Ta miara swobód wydawać się może w dzisiejszych czasach zbyt oględną, zbyt skąpą; w istocie jednak była wystarczająca dla narodu, przewidzianego jeszcze do ciężkich walk i zupełnie odpowiadającą jego charakterowi i jego formom społecznym. Polska miała potrzebne żywioły na utworzenie poważnej izby wyższej, a w postawionych przez ustawę warunkach Izba poselska, sejmiki i wszystkie rady prowincjonalne, stanowiące tyleż kółek niezbędnych w nowym mechanizmie konstytucyjnym, mogły porządnie funkcjonować. Godnem uwagi jest, że w oryginale tej ustawy, noszącej sankcję Napoleona, książę warszawski ciągle tytułowany jest królem, jak gdyby i Napoleonowi samemu trudno było się oswoić z tą mitrą książęcą, którą włożył na głowę króla saskiego, powołując go na następcę Jagiellonów, Wazów i jego własnych poprzedników, królów polskich.

W dalszych artykułach konstytucyi zarysowana

była cała organizacya administracyjna i sądowa, przekopiowana z urzędzeń francuskich, którą Napoleon Księżtwu przeznaczył. Podzielony był kraj ten na sześć departamentów, tyle ile było regencyi pod panowaniem pruskim, gdyż odpadła w części regencyę białostocką zastąpił departament łomżyński. Departamenta administrowane być miały, pod władzą ministrów, przez prefektów i podprefektów, a jak ministrom przydaną była Rada stanu, tak przy prefektach ustanowiono rady prefekturalne, dla rozstrzygania sporów administracyi z obywatelami, z odwołaniem się do Rady stanu; tudzież rady departamentalne dla rozkładu podatków i wyrażania życzeń obywateli, a przy podprefektach rady powiatowe, dla oświecania ich o interesach miejscowych i bronięcia takowych z odwołaniem się do prefektów, lub w potrzebie do rad prefekturalnych.

Mocą konstytucyi napoleońskiej kodeks cywilny, noszący imię cesarza Francuzów, został prawem Księżtwa. Podobnie jak administracyę, uszczebliwała konstytucya sądownictwo na wzór francuski; każdemu powiatowi naznaczony był sąd pokoju (polubowny); każdemu departamentowi trybunał I-szej instancyi; na dwa departamenty jeden sąd kryminalny; na cały kraj jeden sąd apelacyjny i jeden sąd kasacyjny dla wyjaśnienia prawa i kasowania wyroków nieprawnych oba w stolicy, a sądem kasacyjnym była początkowo Rada stanu. Nakoniec siłę wojskową naznaczyła konstytucya w liczbie 30,000 żołnierzy wszelkiej broni i to był kontyngens wojenny, jaki sobie Napoleon zastrzegął z Księżtwa, jako z posiadłości króla saskiego, członka konfederacyi reńskiej <sup>1)</sup>, ale który znacznie przewyższonym został.

<sup>1)</sup> Martens XV. 18. Rys dziejów porozbiorowych. Zobaczymy, że niebawem oddzielił Napoleon pod tym względem Księżtwa Warszawskie od Saksonii, gdyż to mu było dogodniejszem.

Wysłany dla otworzenia ery konstytucyjnej w Księstwie hr. Schoenfeld przyjechał do Warszawy 1-go października, a 5-go tegoż miesiąca zebrała się po raz ostatni komisya rządząca w sali swoich posiedzeń, gdzie przybył minister saski i rozwiązał ją uroczystie w imieniu króla Fryderyka Augusta. Następnie odczytał dekret królewski, mianujący w jej miejsce 6 ciu ministrów, którymi zostali, z wyjątkiem jednego, dyrektorowie wydziałów z komisji rządzącej; to jest ministrem sprawiedliwości Feliks Lubiński, dawny poseł na sejm konstytucyjny; ministrem skarbu Tadeusz Dembowski, dawny kasztelan czechowski, ministrem wojny książe Józef Poniatowski. Jedyna zmiana w dawnym składzie była ta, że dyrektor spraw wewnętrznych, Stanisław Breza, przeszedł na ministra sekretarza stanu przy boku króla, a tekę ministra spraw wewnętrznych otrzymał Jan Łuszczewski, sekretarz generalny komisji rządzącej, dawniejszy sekretarz sejmu konstytucyjnego. Ogół ministrów przybrał tytuł rady ministrów i Rady stanu, gdyż zasiadać w niej mieli później, prócz ministrów, inni radcy i referendarze stanu. Prezesem tej rady mianował król sędziwego Stanisława Małachowskiego, lecz tymczasowo tylko, bo czekała go godność prezesa przyszłego senatu.

W liczbie ministrów nie widzimy ministra oświaty, a to z tej przyczyny, że po zniesieniu wszystkich prawie zakładów naukowych polskich przez Prusaków, edukacyę publiczną narodową trzeba było odtworzyć zupełnie. Tem się przedewszystkiem zajęła komisya rządząca i uchwałą z 14-go lutego 1807 r. ustanowiła izbę edukacyjną, w skład której powołała mężów znanych z gruntownej wiedzy, wielkiego doświadczenia i rozumu, przedstawicieli różnych wyznań chrześciańskich, mianowicie: Stanisława Kostkę Potockiego, którego mianowała prezesem tej izby, Walentego Sobolewskiego, Aleksandra Potockiego (ten jeden nie był na swoim

miejscu), księdza Adama Prażmowskiego, oficyała warszawskiego, późniejszego biskupa, księdza Kopczyńskiego prowincyała Pijarów, księdza Stanisława Staszica, Diehla, kaznodzieję kalwińskiego, Schmitta pastora luterskiego i Bogumiła Lindego, dyrektora liceum warszawskiego. Same te nazwiska dawały rękojmię, że sprawa oświaty narodowej jest w dobrych rękach i w tych rękach ją też zostawiono nadal.

Po ogłoszeniu nominacji ministrów i odebraniu od nich przysięgi homagialnej w imieniu monarchy, przeczytał im hr. Schoenfeld odezwę jego królewskiej mości do narodu wogóle i do wszystkich stanów poszczególne. Odezwa ta, poprzyklepiana tegoż samego dnia na wszystkich rogach ulic i wydrukowana w „*Gazecie Korespondenta warszawskiego*,” tchnęła najpocziwszymi uczuciami i najlepszymi chęciami dla kraju. Dobroduszny Fryderyk robił sobie wszakże nieco złudzeń: wierzył w dobrą pamięć, jaką przodkowie jego zostawili w Polsce po sobie i miał nadzieję, że w tej części jej, która się pod berło jego dostała, przywrócić potrafi wiek złoty. „Statut konstytucyjny, mówił on, zapewnia wam szczęście i spokój pod ojcowskim rządem naszym, który sercem polskim obcym być nie może. Przodkowie nasi królowali wam i to nam nadaje prawo do waszego przywiązania.“

Nie zdawał sobie dokładnie sprawy Fryderyk August, lub tań to, jak ogromne zadanie przedsiębrali jego ministrowie, którzy tę część Polski, tylokrotnie przerabianą, a świeżo stemplem pruskim oznaczoną, przelać mieli w formy francuskie, a co trudniejsze jeszcze, wydobywać z niej corocznie miliony, kiedy tam wszystkie źródła dochodów były wyczerpane — lubo w Warszawie cudzoziemiecby się tego nie domyślał.

Przypatrzmy się budzącemu się nanowo życiu w tak trudnych warunkach w tem sercu Polski.

## II.

### Duch Warszawy—życie towarzyskie w r. 1808, dalsze urzędzenia Księstwa.

Niema ludu poczciwszego, ufniejszego, z go-  
rętszem sercem, jak ludek warszawski. Niedługo on  
użalał się na krzywdy, które Napoleon Polakom wy-  
rządził, na nędzę, jaką krajowi sprowadził. Widział  
władze narodowe na miejscu pruskich, obrzydły mu  
język niemiecki wyrugowany z rządu, z trybunałów,  
ze szkół, a swój ojczysty, wchodzący wszędzie na-  
powrót w użycie; patrzył już nie na pruskich, ale  
na polskich żołnierzy, braci swoich, manewrujących  
na Saskim placu, na polską komendę, przed pol-  
skim wodzem, i to go godziło ze sławnym cesarzem  
Francuzów, którego niedawno widywał przejeżdża-  
jącego konno po ulicach Warszawy, w szarej kapo-  
cie i trójgraniastym kapeluszu, już legendowych.  
Przytem i sama załoga francuska działała ożywczo  
na umysły prostego ludu warszawskiego.

Nie byli to już owi żołdacy na wszystko roz-  
pasani, których uciążliwe wymagania, dzikie wybry-

ki, bezprawia wszelkiego rodzaju tyle dokuczyły mieszkańcom kraju w czasie wojny francusko-pruskiej; był to korpus wyborowy, ujęty w żelazne kluby karności przez swego wodza marszałka Davouta. Żołnierze jego nigdzie nie dopuszczali się nadużyć, i owszem, po wsiach starali się dopomagać gospodarzom; w Warszawie zaś bratali się szczerze tak z naszymi wiarusami, jak i rzemieślnikami, a lubo rozmawiać z nimi nie mogli, rozumieli się jakoś wzajemnie, zwłaszcza przy kieliszku wódki, lub szklance piwa. Żywość też, wesolość, ochoczość napoleońskich wojaków, a nadewszystko cześć ich bez granic dla swojego wielkiego cesarza, udziela się warszawskim robotnikom, nie mówiąc już o wojsku. Często słyszeć było można na rynku Starego miasta, na Marywilu, pod bramą Krakowską i w innych miejscach schadzek ludowych, zdania, że „jeżeli ten mały człowieczek, który tyle wielkich państw rozbił, nie zrobił dla Polaków wszystkiego, czego się po nim spodziewano, to dlatego tylko, że dotąd nie mógł. Ale czekajmy — dodawali — nie skwitował on nas Księstwem Warszawskim.“ Tak to napoleonomania przygasła po traktacie Tylżyckim, budziła się na nowo, acz powoli, w ludności warszawskiej począwszy od warstw niższych, a z nią odżywała się i nadzieja lepszej przyszłości dla kraju.

Uczucia te objawiły się w sposób rozrzewniający, gdy wychodziły z Warszawy do Francyi jeden po drugim oddziały (półkompanie) pułku lekkokonnego gwardyi Napoleona. Lubo to byli sami prawie panicze, którym oficerowie mówili „pan i panowie“ <sup>1)</sup>, tłumy ludu odprowadzały każdy oddział

---

<sup>1)</sup> Zaświadcza to dzielny bohater z pod Somo-sierry, Niegolewski, który powiada, że dopiero zaszedłszy do Mouguncyi, on pierwszy dał przykład mówienia żołnierzom ty,

do rogatek i pokolei żegnały je ze łkaniem, wołając: „bądźcie bohaterami! na was spoczywa nasza nadzieja“<sup>1)</sup>).

Trudniej się odzywał entuzjazm klas wyższych. Młodzież wprawdzie garnęła się do wojska, starsi ubiegali się o urzędy, ale matki i żony nie śpieszyły do Warszawy cieszyć się Księstwem Warszawskim i czynić honory stolicy przybyłym tam generałom francuskim. Najmożniejsze rodziny, dotknięte ciężkimi warunkami, w jakich Napoleon stworzył to Księstwo, liczyć się musiały z uszczuplonemi swemi dochodami, a przyszłość niewiele miała dla nich złudzeń. Kilka z nich, które prowadziły świetne domy za pruskich czasów, znikły z widowni. W końcu jesieni jednak odnalazł się w Warszawie świat wielki, tylko nie przybyła już z nim nasza wdzięczna listopisarka, księżniczka Radziwiłłówna, później hr. Wincetowa Krasińska, która tak żywemi barwami, z taką miłością i naiwną prostotą malowała cały ruch światowy warszawski za czasów pruskich. Przesycona światem, zamknięta w zakresie obowiązków domowych, wyjechała za mężem do Francji i nie wróciła do kraju aż po upadku cesarstwa. Na obcej ziemi Bóg spełnił najdroższe jej życzenie — została matką... matką Zygmunta!

Za to najdawniejsza jej przyjaciółka, p. Anna Nakwaska, późniejsza wojewodzina, autorka „Czarnej mary“ i kilku innych zajmujących powieści, dostarcza nam nici przewodniej po salonach warszawskich, przynajmniej w pierwszym roku Księstwa Warszawskiego. Mamy pod ręką listy jej z tej epoki,

---

czem jednego z nich tak obraził, że skoczył w Ren. Niegolewski go wyratował, ale nie ustąpił. (Les Polonais a Somo-Sierra Paris. Martinet 1854, str. 69).

<sup>1)</sup> Rys dziejów porozbiorowych, st. 72.

pisane do siostry, baronowej Rastawieckiej i przechowane przez barona Edwarda Rastawieckiego, a że praca nasza ma wielce na względzie życie towarzyskie i obyczaje w Polsce, czerpać z tych listów będziemy obficie.

Pod datą 25-go września pani Anna Nakwaska pisze do siostry: <sup>1)</sup> „Warszawa niezmiernie pusta, niema w niej nikogo. Teatr francuski zamknięty. Jeden Davout podobno ma dawać bale, ale niewiadomo kiedy. Przybycie dworu jest spodziewane, choć nie upragnione. Zjechać mają na zimę, lecz dopiero w listopadzie. Co zaś do reszty, niewiedzieć nateraz wcale, jak stoimy.“

W środku października jeszcze tak nieliczne było wyższe towarzystwo w stolicy, że oficerowie wojska polskiego, zamierzwszy dać bal na powitanie oficerów francuskich, w rocznicę zwycięstwa pod Jeną, to jest 14-go października, musieli bal ten do oktawy odłożyć. Odbył się on 21-go tegoż samego miesiąca i pani Anna Nakwaska opisuje go siostrze w następującym liście.

„Warszawa, 26 października 1807 r.

„Przed kilkoma dniami mieliśmy świetny bal w teatrze, którego winnam ci szczegóły. Przystrojono sale reductowe w wojskowe godła, chorągwie osłaniały okna, a panoplie, z broni starodawnej i nowej, - zdobiły ściany. Suta wieczera, widowisko sceniczne wcale mierne, piękne stroje, wiele wesołości — oto z czego się składał ten wojskowy festyn. Znajdowało się tam i kilka zakazanych figur, z których nie można było się nie uśmieć, bo zaproszono co tylko do zaproszenia było w mieście,

---

<sup>1)</sup> Listy te wyjęte są z papierów Edwarda Rastawieckiego, znajdujących się w Muzeum Archeologicznem Uniwersytetu Jagiellońskiego.

a między innymi i kilka bawiących tu Francuzek, istnych karykatur.

„Zaczynamy przywykać do dzisiejszego naszego położenia; twarze już nieco mniej smutne, niż były niedawno. Dwór spodziewany 10-go listopada i zdaje się, że się bardzo przyda tym, co na bezsenność chorują. Powiadają, iż obyczaje, etyka, tryb życia na tym dworze, także same, jak za Augusta III. Zgromadzenia trwają od 6 do 8-ej, a potem wszyscy idą spać. Królowa ma być stara i brzydka, królowna (infantka polska Augusta) wprawdzie młoda, ale brzydka; król bardzo nabożny; wszyscy pełni cnót i gruntownych przymiotów, ale wcale nie zabawni.“

W ciągu kilku dni następnych pojeżdżały się do reszty wszystkie możniejsze rodziny, które składały ówczesny wielki świat warszawski, i w pierwszych dniach listopada oficerowie francuscy mogli odpłacić się z procentem swoim towarzyszom broni.

Bał, jaki wyprawili, tak opisuje pani Nakwaska w liście z 9-go listopada:

„Wyobraź sobie, moja kochana, że zamienili w jedną salę całe wnętrze teatru, ułożywszy drugą podłogę na parterze, na równi ze sceną. Ta improwizowana ogromna sala była rzęsiście oświetlona, a Francuzi przesadzali się w uprzejmości dla wszystkich zaproszonych. Około północy kilku oficerów odegrało komedijkę, zastosowaną do okoliczności, której główną zaletą były śpiewki na pochwałę Warszawy i Polek. Nie szczędzono wiewatów na cześć cesarza, nie szczędzono też wrzawy, hałasów różnego rodzaju, nawet szturchańców w tańcu, których zresztą uniknąć nie było podobna w takim natłoku; było bowiem najmniej z pięćset osób na tej zabawie, a przeciągnęła się aż do ósmej zrana. Stroje dam były bardzo piękne, ale po największej części krepowe, innej materji już prawie nie noszą...

„Warszawa jest w tej chwili bardzo świetna;

zabawy następują bez przerwy jedna po drugiej i wdzięczną powinnaś mi być, że dziś piszę do ciebie, bo jestem okropnie znużona. Wczoraj był u nas wieczór tańczący i nieźle się udał... nie zgadłabyś kto był na nim między innymi — oto ów brat Siemianowskiej, Roźniecki, którego znałaś, będąc małym dzieckiem przed 14-tu laty. Dziś jest on znakomitą osobą, generałem, okrytym krzyżami i wstęgami.

„...Muszę śpiesznie list ten kończyć, bo mama (pani Instygatorowa Koronna Krajewska) daje dziś kawę proszoną, na której znajdować się będą wszystkie stare baby z całej Warszawy. Zjeżdżają się o 3-ej, aby się rozjechać o 7-ej, a ja, niestety, muszę być między niemi. Będzie to nieszczęśliwa zabawa, ale wynagrodzę to sobie wieczorem Pod Blachą i jutro u pani Stanisławowej Potockiej.

„Zdawałoby się, że w oczekiwaniu ponurego dworu, który wyklucza wszelką wesołość, wszyscy kwapią się bawić, póki to jeszcze uchodzi. Dwór przyjeżdża napewno 21-go tego miesiąca. Zwiastował to przybyły wczoraj kurjer.“

W rzeczy samej, król saski przyjechał w dniu oznaczonym do Warszawy, po dziesięciodniowej podróży przez inne ziemie polskie. Na przyjęcie jego wysłani byli na granicę generał Dąbrowski od wojska, a Małachowski, dawny referendarz koronny, ód rządu. Towarzyszyły królowi: królowa, królowna Augusta infantka polska i dwie damy dworskie saskie: ochmistrzyni baronowa O'Byrn i pani de Gumpenberg. Królestwo ich mość zabawili dzień jeden w Poznaniu; wstępowali potem do różnych dworów i pałaców obywatelskich na noclegi, między innymi do Nieborowa, gdzie ich podejmował książę Michał Radziwiłł, ostatni wojewoda wileński. Dnia 21-go zrana odbyli wjazd uroczysty do Warszawy, który tak opisuje pani Nakwaska:

22 listopada 1807 r.

„Wjazd najjaśniejszego pana był wspaniały. Siedział w karecie otwartej, ciągnionej ośmioma końmi. Poprzedzali i otaczali powóz: marszałek Davout, ksiązę Józef, wszyscy generałowie i wyżsi oficerowie, a świetne ich mundury i pyszne konie czyniły ten orszak nader okazałym. Król wjeżdżał przez Krakowskie Przedmieście, na którym stało uszykowanych kilka pułków polskich i francuskich, dla przyjęcia go <sup>1)</sup>. Dzwony były w całym mieście, działa grzmiały, lud krzyczał wiwat, a królestwo się kłaniali. Królowa siedziała z mężem w głębi, królowna na przodzie powozu. Wsiadłszy przed zamkiem, gdzie na nich czekały wszystkie władze cywilne, ażeby ich z czolobitnością powitać <sup>2)</sup>, poszli wszyscy przebrać się, co nie trwało pięciu minut, i udali się do kościoła, gdzie odśpiewano *Te Deum*. Na tem skończyła się cała ceremonia. Wprawdzie wieczorem miasto było, jak zwykle w podobnych solennościach, oświetlone, ale bardzo smutnie, bo czas był szkaradny. Dziś o 11-ej zrana jest nabożeństwo w katedrze, po którym będzie prezentacya mężka; wieczorem mamy my być prezentowane, co zapewne nie będzie bardzo okazałe. Panie królewskie nie są w strojach swoich zbyt wykwintne. Przy wjeździe królowna miała na sobie suknię z kitajki niebieskiej, dosyć, jak mówią, brudną, ale dwóch paziów niosło jej ogon. Do prezentacyi będziemy miały suknie z fałdami, jak dawne robrony, tylko z przodu z kro-

---

1) Wjeżdżał przez rogatki Mokotowskie, a wojsko od Ujazdowa aż do zamku uszykowane było po dwóch stronach.

2) Prezydent podał mu klucze miasta i miał przemowę, na którą król po polsku odpowiedział. Pozwalam sobie temi dodatkami z innych czerpanemi źródeł, uzupełnić opowiadanie listopisarki.

jem terażniejszym, z tyłu zaś z fałdem, zupełnie jak robron. Najwięcej będzie białych atlasowych, bramowanych, a na głowie będziemy miały czapki z piórami.

„Nie wiem doprawdy, jak znajdę dosyć czasu, żeby ci to wszystko opisywać, gdyż jesteśmy w większym odmiecie, niż za pobytu cesarza“.

*23 listopada.*

„Wracam z prezentacji u dworu i, nie zwlekając ani na chwilę, zdaję ci z tego sprawę. Zgromadzono się w wielkiej sali zamkowej o szóstej wieczorem. Wszystkie damy zostały, każda z osobna, przedstawione po kolei królowi, królowej i królownie. Król jest duży, stary <sup>1)</sup> i dosyć brzydki, ale królowa ma prawdziwie monarszą postać. Była w sukni z zielonego aksamitu, bardzo bogatej, złotem haftowanej; na głowie miała tok złoty, błyszczący dyamentami, któremi i szyja była suto okryta. Pani ta przemawia do wszystkich z rzadką uprzejmością i dobrocią. Królowna miała suknię z materii różowej z pailletkami (blaszkami złotymi), niezbyt świeżą, ale za to jaśniała, podobnie jak królowa, dyamentami. Nie jest ona wcale ładna, lecz bardzo słodka także i uprzejma <sup>2)</sup>. Ten obrzęd trwał dwie godziny przynajmniej, a zapowiadają, że tak samo będzie co niedziela. Nie jest to bardzo pocieszające. Było tam przeszło sto; ubiory piękne, jednak nie tak wyszukane, jak w roku zeszłym. Niemcy ci mogliby prowadzić dosyć świetny dwór, gdyby tego chcieli; ale

---

<sup>1)</sup> Urodzony r. 1750, miał wtenczas lat 57, ale dla młodej kobiety był stareem.

<sup>2)</sup> Piszący widział ją w Dreźnie 1832 r. Miała wtenczas lat około 40. Szpeciły ją znaki ospy na twarzy owalnej, ale oczy jej żywe, uśmiech wesoły, uprzejmy i obejście się bardzo naturalne, pociągały ku niej.

oni nas zanudzą swojemi etykietami i nabożeństwami. Niemki dworskie (wymienione wyżej dwie panie) zdają się być dosyć nudne facjaty“.

Już pierwsze to zetknięcie się nowego monarchy i jego dworu ze społeczeństwem polskiem pokazało, że ta dynastia, która, panując dawniej u nas blisko sześćdziesiąt lat, nie potrafiła zapuścić korzeni w grunt polski, nie mogła i teraz, nawet pod opieką Napoleona, przyjąć się na tej ziemi. Fryderyk August był jednak najlepszym z ludzi. Koźmian w swoich pamiętnikach odchwalić go się nie może. Niemcewicz go uwielbia. Przygotowany przez dziada swojego, Augusta III, jako najstarszy z jego wnuków, na przyszłego kiedyś króla polskiego, monarcha ten mówił po polsku nieco trudno i powolnie, jak poświadcza tylko co wspomniany autor, ale zarazem starannie, gramatycznie i jasno. Kochał Polaków, był wyrozumiałym na ich wady, a cenił ich zalety. Dobry, sprawiedliwy, rządny, bogobojny, był prawdziwym niemieckim Tytusem, ale Polaków mroził swoją sztywnością i bigoteryą, posuniętą do ascetyzmu, gdy nam trzeba było króla z duchem wojskowym, a przedewszystkiem zniechęcał swoją tradycyjną, pedancko-niemiecką etykietą, do najwyższego stopnia wstrętą Polakom. Zrażał nią nietylko szlachtę, nienawykłą do form dworskich, ale i panów, nawet tak wysoko stojących, jak ksiązę generał ziem podolskich. Koźmian, gorący wielbiciel króla saskiego, opowiada jednak dziwne znalezienie się jego w Puławach, którego był świadkiem w r. 1810. Przyjazd Fryderyka Augusta do Puław był na kilka dni wprzód zapowiedziany. Ksiązę Czartoryski, dla uczczenia monarchy, sprosił mnóstwo obywateli, księżna zaś przyrzędziła dla niego najpiękniejsze pokoje, które ozdobiła kwiatami i wszystkiem, co Puławy miały najkosztowniejszego. Lecz ze zdumieniem jej wielkiem i nieukontentowaniem, wszystkie te przedmioty zbytkowne zostały przez służbę królewską

usunięte. Natomiast ci słudzy wniesli do pokoju, przeznaczonego na sypialnię dla monarchy, skromne i szczupłe łóżko żelazne, które za nim wożono, z kotarą białą z perkalu i parawanikiem żelaznym z firankami. Było to łóżko, któremu podobnych używano w Saksonii jeszcze za Augustów i które w owym czasie upowszechniły się i między mniejszą szlachtą w Polsce.

Zapewne łóżko to świadczyło o prostocie obyczajów monarchy, równie jak i odmówienie przez niego straży honorowej, którą książe Czartoryski zebrał między obywatelami, żeby ją postawić przed progiem komnat, królewskich; ale z tą prostotą łączyla się i etykieta zbyt dumna. Fryderyk August jadł obiad w swoim pokoju i przez szambelana zaprosił do swojego stołu jednego tylko księcia-gospodarza. Księżna, jej córki i wszyscy goście jedli w salonie zwyczajnym, a przy wyjeździe nie raczył król jegomość jednem nawet słówkiem podziękować księżnie za starania, jakich dołożyła, lubo nadaremnie, ażeby mu umilić dzień pobytu w Puławach. Dlaczegoż więc przyjechał tam w odwiedziny? Zamiast ujać dla siebie, obraził gospodarzy.

Łatwo zrozumieć, że dwór, na ten ton nastrojony, nie mógł przyczynić się do odżywienia w Warszawie ducha i dawnej wesołości. Głównem ogniskiem życia był tam zawsze jeszcze pałac Pod Blachą, trochę zreformowany. Nie był już koteryjnym, jak za Prusaków; wszyscy oficerowie polscy i francuscy mieli doń wstęp wolny na zgromadzenia i bale. Mowa polska dzieliła w nim panowanie z francuską. Pani Vauban musiała ustąpić nieco ze swej nieznośnej pychy, zeszła nawet na drugi plan. Królową Pod Blachą i w Jabłonie została siostrzenica (cioteczna) księcia Józefa, hr. Aleksandrowa Potocka, dawna Anetka Tyszkiewiczówna, w której się piękny książe bardzo rozkochał. *Il en perd, dit on, le boire et le manger*—pisała z Paryża dawna jej przyjaciół-

ka, pani Wincentowa Krasieńska. Nazywano ją powszechnie, przez jakąś aluzję niezrozumiałą dla nas, *la nièce du pape*. Była to wszelako miłość platoniczna, a pono w tymże samym czasie inne oczy ze stopni tronu zwracały się tęsknie ku Alcybiadesowi z sąsiedniego pałacu. Królowna Augusta, jak mówiono, kochała go pierwszą i jedyną miłością w życiu swoim. Król, jak twierdzono także, bardzo sprzyjał tej miłości. Książę Józef miał być wybranym w jego myśli zięciem, któremu, nie mając syna, zamierzał odstąpić koronę polską, w razie, gdyby Napoleon przywrócił Polskę całą i niepodległą, o czem nie wątpił. Wszystko to jednak były tylko wieści, które krążyły w salonach ówczesnych.

Wróćmy do tych salonów za przewodnictwem listopisarki.

28 listopada.

„Ta zima zdaje się będzie bardzo kosztowna, przy zbytku, jaki panuje w strojach. Zgromadzenia bywają częste, zwyczajne tygodniowe Pod Blachą, u marszałka (Małachowskiego) i u pani Stanisławowej Potockiej. Prócz tego spodziewane są bale u ministra francuskiego (pana Bourgoing, ministra pełnomocnego francuskiego przy królu saskim, który przyjechał do Warszawy na parę dni przed królem) i u marszałka Davouta, który w środę, w rocznicę koronacji cesarza, wyprawia wielki festyn. Jutro zaś będą pokoje u dworu. Trzeba tam być niechybnie o 6-tej, a na resztę wieczoru co niedziela wszyscy z zamku idą Pod Blachę. Dodać muszę, że na wszystkich zgromadzeniach nieszczególnie się bawią. Są tu żona i córka ministra francuskiego pana Bourgoing, bardzo przyjemne osoby, zwłaszcza córka, która śpiewa i tańczy w sposób zachwycający“.

30 listopada.

„Wczorajsze pokoje u dworu były bardzo świetne. Salony były napełnione, ubiory prześliczne. Za-

częło się od tego, że wszyscy stali z dobrą godzinę, podczas kiedy król, królowa i królewna chodzili od jednego do drugiego, rozmawiając z każdym. Potem wszyscy zasiedli do stolików gry i ja nieszczęsna musiałam grać dwie po kolei partye wista. Możesz sobie wyobrazić, co to był za wist. To też nie grywają tu o pieniądze. O ósmej wszystko się skończyło i całe towarzystwo przeniosło się Pod Blachę, gdzie wieczór był przesliczny, bo damy, przystrojone po dworsku, nadawały zgromadzeniu niezwyklej pozór uroczystości“.

*3 grudnia.*

„Bal wczorajszy u marszałka Davout był przepyszny. Odbył się w teatrze tak urządzonym, jak na bal wojska francuskiego, tylko lepiej go oświecono. Królestwo z królewną weszli naprzód do łoża, bal zaczął się bowiem od sztuki scenicznej, zastosowanej do okoliczności. Aktorami były same tylko osoby z towarzystwa; z kobiet pani Cichocka, panna Zajączkówna i żona komendanta placu, Francuzka (pułkownikowa Target). Potem rozpoczęły się tańce i w pierwszym kadrylu królewna tańczyła z marszałkiem Davoutem. Tłok był niesłychany, szczególnież też u wieczerzy, która niewarta była takiego tłoku, bo choć pod oczami najjaśniejszego pana, była co się zowie paskudna.

„Wróciłam do domu o szóstej zrana i, zaledwie wstawszy, opisuję ci to wszystko, bo wiem jak lubisz światowe szczegóły. Pojutrze bal u ministra francuskiego“.

*10 grudnia.*

„Nie będę ci już powtarzała opisu tutejszych zabaw, bo wciąż prawie to samo. Co wieczór jakies zgromadzenie z wieczerzą, a pokoje u dworu co niedziela, tak, że dama, któraby chciała nigdzie nie chybić, musiałaby codziennie od rana do wieczora strojami się tylko zaprzętać, a niema bardzo dla czego, bo nigdzie na szczerą zabawę natrafić nie

można. Ot, wczoraj naprzykład u marszałka Małachowskiego wszyscy się nudzili, a u dworu któż się kiedy ubawił? Już sama konieczność, że trzeba być bardzo wystrojoną, zachowywać się poważnie, trzymać się sztywno, nie dopuszcza żadnej wesołości..“

*13 grudnia.*

„Wczoraj obchodzono rocznicę zawartego pokoju między Francją a Saksonią, na uczczenie czego ulica Miodowa została w tymże dniu solennie przechrzczona na ulicę Napoleona: ale deszcz, lejący jak z cebra, całą ceremonię w śmieszność obrócił, bo pocieszenie było patrzeć z okien na ministra policyi w wielkim mundurze, urzędników departamentowych, radę miasta, cechy, paradujących środkiem ulicy wśród ulewy, żeby przybijając po rogach tablice z nową nazwą tej ulicy. Wieczorem były pokoje u dworu arcy-strojne, a dziś jest bal u pana Bourgoing“.

*14 grudnia.*

„Rozchodzi się wieść, że 27-go tego miesiąca dwór nas opuszcza. Z nim zniknie zapewne i świetność terażniejsza Warszawy. Minister francuski wyjeżdża za królem. Mamy mieć za to jakiegoś nowego rezydenta francuskiego. W tych dniach jedzie deputacya do Paryża, złożona z trzech członków: Działyńskiego, Bielińskiego i Stanisława Potockiego, ażeby podziękować cesarzowi za nadanie nam króla czyli księcia, już nie wiem jak go nazwać. Król z Drezna dopiero ma przysłać nominacye na wszystkie urzędy“.

*24 grudnia.*

..... „Wczoraj, z powodu urodzin króla, był bal u Davouta, nader piękny, nadzwyczaj ożywiony i, co się teraz rzadko zdarza, bardzo wesoły. Francuzi śpiewali u stołu piosneczki na temat okoliczności obecnych, które się bardzo podobały. Dziś, w wigilią Bożego Narodzenia, wieczór u pani Stanisławowej Potockiej“.

Następuje list z anegdotami, z których ostatnia maluje jaskrawo próżność wielkiego świata, objawiającą się, stosownie do okoliczności, pod różnemi formami.

*27 grudnia.*

... „Ewa Kicka wychodzi za mąż za człowieka, za którym wszystko przemawia; jest młody, przystojny, dobrze wychowany, a w dodatku nosi tytuł księcia Sułkowskiego, pułkownika jednego pułku piechoty (9-go), ozdobionego orderami i krzyżami. Majątek podobno ma być dosyć zaszargany, ale jak tu pytać o majątek, wobec podobnych zalet? Małżeństwo odbędzie się od dziś za tydzień.

„Teraz opowiem ci inną historyjkę, w podobnymże rodzaju, ale która już zakrawa na romans i może kiedyś służyć będzie za temat jakiemu romanso-pisarzowi. Jest w Warszawie panienka bardzo piękna, z dobrego domu, dobrze skoligacona, córka pana Parysa, dawnego wojskowego polskiego, ale tak ubożuchna, że się z bogatych koligatów żaden do niej nie przyznawał, nikt nie chciał jej w świat wprowadzić, a rodzice nie byli wcale w humorze bywania na wieczorach i balach, ażeby córkę pokazywać. Był to, podług starej figury retorycznej, fiołek w trawie ukryty. Jednak panienka ta znalazła sposób być na ostatnim balu marszałka Davouta. Tam zobaczył ją francuski generał dywizyi, Morand, pierwsza osoba między Francuzami po Davout'cie, i tak mu się podobała, że odrazu dla niej głowę stracił. Zakochał się, co się nazywa szalenie i nazajutrz pojechał z całą pompą, do której mu daje prawo jego ranga, do rodziców panny i oświadczył się o jej rękę. Naturalnie został z radością przyjęty i rzeczy są po wojskowemu prowadzone. Za kilka dni będzie ślub, a dostojny narzeczonny, nie zwlekając, przekazał na przyszlą swoją małżonkę dobra, nadane mu przez cesarza w Westfalii i codzień przyjeżdża do niej, z coraz bogatszymi podarunkami.

„To jest strona poetyczna tej historii, ale jest i strona czysto komiczna. Wszyscy krewni i powinowaci, którzy owej panienki dawniej znać nie chcieli, dziś przybiegają do niej z objawami czułości i przywiązania. Mnóstwo innych przyczepia się do jej genealogii; wielkie nawet panie po większej części przyznają się, słusznie czy niesłusznie, do pokrewieństwa lub do koligacyi z przyszłą generalową francuską. Weszło to od trzech dni w modę i wasz Sta..... moja droga, powinienby także zapytać się do niej. Wszakże jego siostra była za jakimś Parysem. Możeby przy tej sposobności pochwycił jaki urzędnik.....

... „Zdaje się, że się nie skończy na tem pierwszym małżeństwie Polki z jednym z generalów francuskich. Mówią już o drugim podobnem, mianowicie panny Madalińskiej, córki polskiego generała, wslawionego w czasie rewolucyi, z jakimś general'em francuskim, którego nazwiska nie pomnę. Zgoła widać, że Polki mają szczęście chwytac Francuzów za serce...“

Pominęliśmy parę listów mniej interesujących, w których jednak maluje się duch czasu i z tego względu przytaczamy kilka z nich ustępów.

W jednym liście (z 28 listopada 1807) pisze pani Nakwaska do swojej siostry: „Mam kilka powodów do niespokojności i zmartwienia. Urząd mego męża wkrótce ustanie, bo administracye ustąpią miejsca prefekturom. Staramy się o co innego, ale dotąd bez skutku. Niejeden, co w chwilach trudnych nic nie robił, teraz wyjdzie w górę, kiedy zasłużeńsi odstąpić będą zmuszeni...“

W innym liście (z 14 grudnia) pisze: „Król z Drezna dopiero ma przysłać mianowania na wszystkie urzędy. Czy nam się co dostanie, nie wiem, bo intryga jest środkiem tak zwyczajnym w tej naszej małej krainie, że kto w niej dostatecznie biegłym nie jest, niczego nigdy nie dostąpi“.

Nakoniec w liście z 28 grudnia rozczarowanie zupełne.

„Król odjechał dziś o 7-ej zrana, zostawiwszy pełno niechętnych. Ganią głośno większą część wyborów, które poczynił, samych ludzi niesposobnych do miejsc, albo powysadzanych w górę przez swoje rodziny. Taki jest głos powszechny, i nie myśl, że ja sama z siebie to mówię, gdyż wielu bardzo tem się oburza“.

Najszczerze wyrażenie rozczarowania kobiety światowej jest w następujących słowach:

„Trzeba się spodziewać, że zabawy będą teraz rzadsze. Czas też, po 6-ciu tygodniach ciągłych balów i dworskich ceremonii, mózdz odwrócić nieco myśli od samych sukien z fałdem, aksamitów, piór itd., a zająć się czemś pożytecznem“.

Że poczciwy król zostawił po pierwszym pobycie swoim w Warszawie mnóstwo nieukontentowanych, to nie ulega wątpliwości, bo wszystkie echa z owych czasów, które doszły do nas, zgodne są w tem z listami pani Nakwaskiej. Ale zobaczymy, czy Fryderyk August zasłużył na zarzuty, które mu czynili malkontenci. Nie umiał on ani przypodobać się towarzystwu warszawskiemu, ani zabawić go, lecz od dnia przyjazdu swojego do Warszawy zajął się gorliwie sprawami kraju. Prezydował na posiedzeniach rady ministrów i rozwinął konstytucyę w głównych jej zastosowaniach; mianowicie co do sposobów nabywania i utraty praw obywatelskich (na posiedzeniu 19-go grudnia) i co do stosunków między właścicielami ziemi, a włościanami.

Mówiliśmy na właściwem miejscu <sup>1)</sup>, że Napoleon znając Polskę tylko z Rulhiera, sądził, iż zastał

---

<sup>1)</sup> Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce, tom I, str. 335.

w niej jeszcze chłopów w poddaństwie, a były już tylko niektóre pozostałości z czasów poddaństwa. Otóż te na radzie ministrów 21-go grudnia usunięte zostały i dekret królewski określił warunki, pod jakimi włościanie opuścić mogą dotychczasową siedzibę, bez uszczerbku dla właściciela. Na temże samem posiedzeniu wybrał król i zamianował członków senatu. Sędziwy Stanisław Małachowski został jego prezesem, z tytułem pierwszego wojewody, złożwszy prezydenturę rady stanu, którą objął Ludwik Gutakowski, dawny podkomorzy W. litewski, mianowany także wojewodą. Innymi wojewodami zostali: Stanisław Kostka Potocki, prezes izby edukacyjnej, Józef Wybicki, Ksawery Działyński i Piotr Bieliński; kasztelanami zaś: Walenty Sobolewski, dawny starosta warszawski, Radzyński, dawny wojewoda gnieźnieński, który w tym charakterze podpisał jeszcze wiec na pospolite ruszenie w roku 1806, a teraz zgodził się zejść na kasztelana, generał Gorzyński, książę Stanisław Jabłonowski <sup>1)</sup>. Sekretarzem senatu zamianował król Juliana Ursyna Niemcewicza, świeżo przybyłego po raz drugi z Ameryki, na odgłos odradzającej się ojczyzny.

Byli to, jak widzimy, dawni członkowie komisji rządzącej, ludzie doświadczonego patryotyzmu, zestarzały w usługach krajowych i powszechnie poważani, a do nich przyłączyli się biskupi, senatorowie z prawa. Do nowych tytułów senatorskich nie przywiązywano już nazwisk prowincyi. Byli to JJ. WW. wojewodowie i kasztelanowie, bez żadnego dodatku, a zamiast starodawnych kontuszów z wojewódzkimi barwami, wszyscy przyjęli wspólny mundur obywa-

---

<sup>1)</sup> Wzięliśmy tę listę senatorów z notat Rastawieckiego, ale brak w niej dwóch kasztelanów do kompletu sześciu.

telski, granatowy z kołnierzem karmazynowym i srebrnym haftem.

Tegoż samego dnia (21-go grudnia) mianował król Jana Nepomucena Małachowskiego swoim marszałkiem nadwornym, a Brońca marszałkiem pałacowym. W roku następnym Henryk Zabiello, mianowany szambelanem, uzupełnił skromny dwór księcia warszawskiego.

Dnia 24-go grudnia zajęto się samą radą stanu. Dotąd składała się ona wyłącznie z ministrów. Dodano im teraz referendarzy stanu, którymi wybrani zostali: Aleksander Linowski, Karol Wojda, Józef Morawski, Onufry Wyczekowski, prawie wszyscy wyżsi urzędnicy w ministeriach, a na sekretarza rady stanu powołano Ignacego Sobolewskiego. Wogóle cała rada stanu, ministrowie, radcy stanu i referendarze byli to, z małym wyjątkiem, ludzie zaci, najzdolniejsi i najwięcej obeznani z tokiem spraw publicznych, jakich wtenczas znaleźć można było. Koźmian powiada z przesadą, że byli treścią tego wszystkiego, co tylko naród miał w sobie najcenniejszego i najznakomitszego talentami i czystym patriotyzmem. Można wobec tak wygórowanej pochwały uczynić pewne zastrzeżenia i postawić nawet Koźmiana w sprzeczności z sobą samym, jak pokazemy w następstwie.

Rada stanu miała być w ciągu kilku miesięcy powiększoną nowymi radcami i referendarzami. W przeddzień wyjazdu swojego (26-go grudnia) odnowił król order wojskowy Stanisława Augusta *virtuti militari*, z tą zmianą, że zamiast pogoni, na odwrotnej stronie położono napis *rex et patria*, a jednak króla polskiego nie było. Podobne anomalie powtarzały się nieustannie. Na znak odnowienia tego krzyża, monarcha ozdobił nim zaraz wielu zasłużonych wojowników różnych stopni.

Tegoż samego dnia podpisał oczekiwane z pe-

wną gorączką nominacje prefektów. Podajemy całą ich listę:

Prefekt departamentu warszawskiego,	Jan	Lubieński.
"	"	poznańskiego, Łaba.
"	"	kaliskiego, Antoni Garczyński.
"	"	płockiego, Joachim Moszyński,
		prezydent miasta Warszawy
		(który niebawem złożył swój
		urząd, a na miejsce jego pre-
		fektem został Rajmund Rem-
		bieliński).
"	"	bydgoskiego, Antoni Gliszczyń-
		ski.
"	"	łomżyńskiego, Lasocki.

Te ostatnie nominacje nie były podobno wszystkie trafne, i nic dziwnego. Możnaż było odrazu stworzyć dobrych prefektów w kraju, w którym nigdy nie było porządnej machiny administracyjnej i gdzie od lat dziesięciu obcy urzędnicy gospodarowali, a krajowcy nie byli dopuszczani do żadnego urzędu? Nowomianowani prefekci wybrani wszelako byli z pomiędzy obywateli, którzy od wypędzenia Prusaków zasiadali w izbach administracyjnych, zarządzających departamentami, i kilku okazało dowody rzeczywistych zdolności administracyjnych.

Choćby więc rząd się był pomylił w dwóch lub trzech wyborach, nie mogło to być powodem do ogólnego nieukontentowania i tak głośnych sarkania. Powód był nie w błędach rządu, ale w usposobieniu obywatelstwa. Od chwili gdy Napoleon wydarł był Prusakom Księstwo Warszawskie, podczas gdy młodzież garnęła się pod chorągwie, między starszymi obywatelami zapanował pohop ogólny do urzędów. Każdy ubiegał się o miejsce, mniej lub więcej znaczące w hierarchii rządowej; najprzód w tymczasowych radach i komisjach, a gdy wprowadzonym miał być rząd stały, ten chciał być senatorem, ten prefektem, ów konsyliarzem w jakim

ministerstwie, lub dyrektorem w jakiejś gałęzi służby publicznej. Ministrowie byli obłożeni żądaniami. Nie chodziło tu o płace. „Pensye, wyznaczone na etacie—powiada Koźmian—były wprawdzie znakomite i kraj na nie narzekał, lecz ich nie płacono wyższym urzędnikom, ledwie niższych niemi utrzymywano: nikt się jednak na zaległości nie uskarżał“<sup>1)</sup>. Chodziło o tytuły, o dogodzenie tej próżności i pysze, w których ubiegłe wieki wykołysały naszą szlachtę.

Przypominijmy sobie, ile to w dawnej Polsce było zabiegów o owe bezpłatne i tytularne po większej części urzędy, którei kraj nasz był jak kwieciami obsiany. Nie było szlachcica na wiosce, któryby nie nosił jakiego tytułu lub tytułiku, bo nie mieć żadnego było wstydem. Język nasz nawet tak się nagiął do tego tytułowania<sup>2)</sup>, że i dziś bez niego kuleje. Wyparliśmy się używanego we wszystkich nowych językach i w mowie ludu naszego zaimka „wy“, niby zdawkowej monety, żeby się nawzajem uraczać mniemanem złotem i srebrem tytułów, a teraz, gdy tytułów nie dostaje dla wszystkich, formy językowe, tak w rozmowie, jak w stylu listowym, stały się czolobitne aż do śmieszności dla jednych, upakarzające dla drugich, ciężkie zaś dla wszystkich, i to jest może główną przyczyną, że

---

1) Koźmian dodaje: „Mnie samemu, gdy po kilku miesiącach urzędowania przyniósł woźny worek z miesięczną pensją dydkami pruskimi, zarumieniłem się, jakby mnie chciał przekupić; zdało mi się, że z urzędnika zostanę jurgielnikiem. Wiersz stosowny wyskoczył z mego serca i umysłu“. (Pamiętniki, Oddział II, str. 334). Było to uczucie ogólne, bo prawdziwie polskie.

2) Mówiono: „Szlachcie bez tytułu, to jak pies bez ogona“.

francuszczyzna, wolna od tych więzów, utrzymuje się tak upornie w naszych salonach wykwintnych.

Otóż ta ambicya tytułów obywatelskich za Rzeczypospolitej, wyrodziła się po zaborze kraju naprzód w hrabiomanię, a następnie za Księstwa Warszawskiego w bardziej jeszcze gorączkową urzędomanię. Król saski nie mógł wszystkim tym rozbudzonym ambicyom odrazu dogodzić. Miał czas tylko za pierwszym pobytem w Warszawie najważniejsze miejsca poobsadzać, a na każde takie miejsce czekało z pięćdziesięciu kandydatów. Liczba pominiętych, razem zebrana, utworzyła ten obóz niezadowolonych, którzy, biorąc pretekst z kilku wyborów nietrafnych, krzyczeli, że wybrano samych tylko ludzi niezdolnych, lub intrygantów.

W kilka jednak miesięcy później przyszły nowe, obfite nominacye, podpisane przez króla, które tym sarkaniom koniec położyły. Dekretami z kwietnia 1808 r. mianowani zostali: 1-o radcy prefektur a byli to najznacniejsi obywatele w każdym departamencie. Mąż naszej listopisarki, Franciszek Nakwaski, został radcą prefektury warszawskiej; 2-o konsyliarze w ministeryach; 3-o sędziowie różnych instancji i prokuratorowie przy sądach, wszyscy obywatele znanych nazwisk i nieposzlakowanej reputacyi — więcej o nich powiedzieć trudno. Oto byli np. zamianowani sędziowie sądu apelacyjnego:

Pierwszy prezes Nepomucen Małachowski, marszałek nadworny (dawny referendarz koronny), drugi prezes Jan Ossoliński, trzeci prezes Józef Jarczewski. Sędziowie: Rzętkowski, Załuski, Plichta, Borakowski, Skarzyński, Pilichowski, Kijewski, Tyńnowski, Okołowicz, Walewski, Szoldrski, Wal-knowski, Drzewiecki, Łakiński, Antoni Gorzeński, Narbutt, Wiśniewski, Węgierski, Czarnecki.

Prokuratorem przy sądzie kasacyjnym, którym była tymczasowo rada stanu, mianowany został Józef Kalasanty Szaniawski. Prokuratorami przy są-

dach niższych mianowani byli podobnie ludzie wybrani z pomiędzy tych, którzy uchodzili za prawników.

Dekretem z 13 maja ustanowiona została komisya likwidacyjna, złożona z różnych żywiołów: właściciele ziemskich, kupców i wojskowych z prezesem Wal. Sobolewskim.

Dekretem nakoniec z 12-tego sierpnia uzupełnioną została rada stanu nowymi radcami, mianowanymi przez króla: Aleksander Linowski, dawniej referendarz rady stanu; Michał Kochanowski, dawniej prezes komisji żywności; Ignacy Sobolewski, dawny sekretarz rady stanu; J. Węgleński, pomocnik ministra skarbu T. Dembowskiego, a po śmierci jego, która niezadługo nastąpiła, powołany na ministra; ksiądz Woronicz, kanonik warszawski; Rzętkowski, sędzia apelacyjny.

Tym sposobem organizacya Księstwa Warszawskiego, w myśl konstytucji napoleońskiej, została dopełnioną i ambicya obywateli w słusznej, ile można było mierze, zaspokojona. Nie dano im czczych tytułów, jak za dawnej Rzeczypospolitej, lecz wprowadzono ich do rzeczywistej służby publicznej, w różnych jej gałęziach. Cała hierarchia administracyjna i sądownicza z nich się składała. Starano się usilnie każdego umieścić według jego zasług i zdolności. Wielu bardzo jeszcze weszło później do ministerjów, a dla innych niebawem otworzyć się miały szranki życia publicznego, przez wybory do izby poselskiej, do rad departamentalnych i rad powiatowych.

Jak szła w pierwszych latach ta machina stanu, dosyć skomplikowana na wzór francuski z urzędnikami bez wprawy, po większej części oderwanym od gospodarstwa rolnego do zajęć biurowych, to zobaczymy nieco dalej. Przeprowadzimy wprzód aż do końca przed oczami czytelników panoramę życia towarzyskiego w Warszawie, jak ją przedstawiają

listy pani Nakwaskiej w pierwszym roku Księstwa Warszawskiego.

Przerwaliśmy ciąg ich na zdarzeniu, które pokazało całą błahą próżność większej części tego wielkiego świata, gdy możni panowie i wielkie panie zaczęli się przyznawać do pokrewieństwa lub powinowactwa z ubogą panią, dotąd pogardzoną przez nich, a teraz poszukiwaną dlatego, że się o rękę jej oświadczył jeden z pierwszych generałów francuskich. Od tegoż samego zdarzenia zaczyna się nowa serya listów, którą podajemy.

13 stycznia 1808 r.

„Zeszłej niedzieli odbyło się wesele generała Moranda. Ślub był u Karmelitów na Lesznie, w kościele, który dobrze pamiętać musisz, bośmy tam dziećmi chodziły zawsze na mszę świętą. Nie było balu, tylko wielka wieczerza, bardzo nudna, jak mówią ci, co na niej byli. Marszałek Davout przyjechał na ten dzień umyślnie ze wsi (Skierniewic). Po wieczerzy zaraz wziął pod rękę pannę młodą, wsiadł z nią do powozu i odwiózł do męża. Tak zakończyło się zdarzenie, które tyle hałasu narobiło w towarzystwie. W zapowiedziach i w gazetach zrobiono z panny Parys hrabiankę. Matka jej musiała się zadziwić, że do tyłu szczęście przybył jej jeszcze tytuł hrabiny, o którym jej się ani śniło.“

17 stycznia.

„Wczoraj dla generałowej Morand dawał bal pan Pac, który ma być także jej krewnym, jak dziś prawie wszyscy. Bal był przepyszny, w salach kasyńskich. Polacy teraz zapamiętali tańczą kadryle; współubiegają się w tem z Francuzami. Jutro pewien pan Witt z Rosyi daje duży bal. <sup>1)</sup> W przy-

<sup>1)</sup> Ten Witt, oficer ze sztabu cesarza rosyjskiego, był to późniejszy gubernator Warszawy po 1831 r., dalej rosyjski generał broni, inspektor jazdy etc., a z pochodze-

szły wtorek będzie inny u pani Antoniowej Potockiej (Szczęśliwianki, późniejszej hr. Branickiej); za tydzień u pani Bronikowskiej z kadrylami kostiumowemi, a tak niema końca zabawom. Wszystkie dnie w tygodniu rozebrane. Niedziele Pod Blachą, poniedziałki u pani Aleksandrowej Potockiej, środy u Marszałka Małachowskiego, piątki u pani Stanisławowej Potockiej, w sobotę Kasyno. Prócz tego pełno herbat, wieczorów, balów po innych domach. Znudzona jestem, opisując ci to wszystko i chyba już przestanę. Powiem ci tylko słówko o panującej dziś bogini, to jest o pani Morand. Jest ona istotnie niepospolitej urody, oczy ma prześliczne, cerę i kibić jak rzadko, twarz w rodzaju Walewskiej, tylko piękniejszą. Mąż nazywa ją ciągle aniołom, a że to nasz anioł rodzimy, chciałabym, żeby się lepiej ubierała, bo się straszliwie oszpeca.“

20 stycznia.

„Bal u Witta był okazały i prześliczny. Tańczono od 10-ej do wpół do 8-ej zrana, a przez cały ten czas, rzec można, iż jeść nie przestawano, bo, oprócz sutej wieszery, roznoszono bezustannie chłodniki i przysmaczki najwykwintniejsze. Pokój jadalny przystrojony był mnóstwem drzew pomarańczowych, owocami okrytych. Nie przestając na

---

nia Polak, syn generała polskiego, komendanta fortecy w Kamieńcu Podolskim, urodzony ze sławnej Greczynki, która, rozwiódłszy się z jego ojcem, została żoną Szczęsnego Potockiego. Z namowy krewnego swojego, H. Falkowskiego, adjutanta już wtenczas Napoleona I, przeszedł do sztabu cesarskiego francuskiego i w chwili przejściowej bawił w Warszawie. Niedługo jednak przebywał przy sztabie Napoleona; kuzyn utrzymać go tam zdołał. Wrócił więc do służby rosyjskiej, czy na wezwanie cesarza Aleksandra, czy własnowolnie.

tem, p. Witt ma dać jeszcze tańczące ostrygowe śniadanie i bezwątpienia przesadzi się jeszcze...”

Tu idzie anegdota następująca:

„Przed kilku dniami pani A... ułożyła u siebie scenę mimiczną, uroczego powabu. Był to obraz wystawiający Lesbię, gdy straciła swojego wróbla. Niewolnice, chcąc ją rozerwać, wysilają się, ażeby zmysły jej bawić, jedne śpiewem, inne tańcem; lecz wszystko nadaremnie. Nakoniec wpadają na myśl nową: przynoszą jej koszyk, w którym bożek miłości odpoczywa. Na widok zdraдлиwego dziecka, ożywia się zasmucona, pieści je i zgromadza wszystkie swoje nimfy, żeby im je pokazać i to tworzy koniec obrazu. Składały go najpiękniejsze kobiety z towarzystwa.

„Wszystko to było zachwycające, ale ułożone dla zawrócenia głowy pewnemu oficerowi francuskiemu, <sup>1)</sup> który i bez tych scen uroczych aż nadto jest panią A. zajęty. Byle tylko nadmiar czarów nie rozczarował z drugiej strony męża, któremu podobne widowiska mogą oczy otworzyć.”

W jednym z poprzednich listów pisała pani Nakwaska, że Polki mają szczęście do Francuzów. Niestety, szczęście to przyczyniło się nie mało od zepsucia u nas obyczajów, które skaziło piękną i chlubną z innych miar epokę Księstwa Warszawskiego.

Wpływ Francuzów był i pod innym względem demoralizujący. W ciągu pobytu Davouta w Warszawie mieli oni takie znaczenie, że Polacy, zapominając o godności narodowej, nie mieli sobie za ujmę w swoim własnym kraju pod ich protekcję się uciekać.

„Mundur francuski — pisze w jednym liście swoim pani Nakwaska — protekcya francuska, wszystko u nas osłaniają.”

W ciągu karnawału 1808 r., zabawy w naj-

<sup>1)</sup> Hr. de Flahaut, natenczas adjutant Murata.

znakomitszych domach zostały nagle przerwane. Dnia 14-go lutego umarła w Białymstoku Izabella z Poniatowskich Branicka, siostra króla Stanisława Augusta, kasztelanowa krakowska, hetmanowa W. K. Pani Nakwaska tak pisze do swojej siostry o tym wypadku, pod datą 18-go lutego:

„Koniec karnawału będzie smutny. Pani krakowska umarła w Białymstoku 14-go i śmierć ta położyła koniec herbatom Pod Blachą i u pani Stanisławowej Potockiej. Wogóle bale w wyższym towarzystwie ustały. Za toreduty tak są uczęszczane, że się w salach ledwie obrócić można...”

Bale redutowe nie miały wszakże tego odurzającego czaru dla młodzieży i dam z wielkiego świata, co bale w wielkich domach, i następny list pani Nakwaskiej nastrojony jest na nutę smutną, jakby wiatr jakiś chłodny zawiał wśród tych tanecznic w krepowych sukniach kwiatami posianych i z wieńcami na głowach.

...„Ciosy bez liku, — pisze pani Nakwaska pod datą 9-go marca — które ostatnia wojna nam zadała, boleśnie jeszcze czuć się dają. Teraz z kolei mamy redukcję dydków. Ma być tak postanowione, że dydki z 6-ciu groszy zejdu do 4-ch (właściwie niższe zostały urzędownie ze 132 na 82 grosze na grzywnie, to jest niewiele co więcej nad 4 grosze), czyli, że 18 złotych dydkami nie będą czyniły jak tylko złotych 12. Dziś już kupcy nie chcą ich brać wcale, a drożyzna taka, że naprzykład para rękawiczek kosztuje już 12 złotych dydkami, a srebrem do 9-ciu złotych. W tym stosunku podrożały i inne towary. Niestety, zataić nie można, że sprawy wewnętrzne kraju naszego coraz gorzej idą, a jeżeli tak potrwa lat parę, to istnieć nie będziemy mogli. Trudnoby mi było wyszczególnić wszystko złe, które się u nas dzieje; ale jednym słowem, zniechęcenie, nieład i nędza są powszechnie.”

Niedługo jednak trwało to smutne usposo-

bienie listopisarki. Żałoba po pani krakowskiej nie przeciągnęła się dłużej nad parę tygodni i pod datą 26-go marca pisze pani Nakwaska do siostry:

„Opowiem ci wczorajszy wieczór Pod Blachą. Był to dzień urodzin księżnej wirtemberskiej. Pod Blachą znajduje się mały teatrzyk, na którym grywają teraz często komedye. Wczoraj odegrano najprzód „Zakład niespodziany“ (*La gageure imprévue*), ładną sztuczkę, którą znasz, bo przed kilku laty grała w niej pani Sewerynowa Potocka. Potem nastąpiła scena mimiczna. Przedmiotem jej był Eneas, żądający od Sybilli Kumejskiej, żeby mu wywołała cień jego ojca. Sybilla usypia go i pokazuje mu we śnie elizejską krainę. Roztwiera się głęb sceny, z kąd wychodzi dwanaście cieni niewieścich, które otaczają błędnego rycerza, potrząsając wieńcami z białych róż. W końcu ukazuje się cień Anchizesa, a za nim Kreuza z małym Juliuszem, którzy przepowiadają uspijonemu jego wielkie przeznaczenie. Tymczasem inne cienie okrażają całą rodzinę Eneasza i opasują ją wieńcami. Wtem Eneas się budzi i wszystko znika. Jesteś zapewne ciekawa wiedzieć osoby, które do tego obrazu wchodziły. Otóż Sybillą była pani Aleksandrowa Potocka, Eneaszem Antoni Potocki, Anchizesem Rautenstrauch, Kreuzą Teresa Kicka, Juliuszem córeczka pani Adamowej Walewskiej. Cienie: pani Cichocka, Anastazowa Walewska (ulubiona Napoleona), Adamowa Walewska, Lubieńska, Rautenstrauchowa, Zabiellowa, obie Górskie i panna Dzierżanowska (późniejsza księżna Konstantowa Czartoryska).“

Jednocześnie z tem odżywieniem się zabaw, interesa kraju zdawały się polepszać. Takie przynajmniej złudzenie czyniła sobie pani Nakwaska.

„Od tego czerwca — pisze ona pod datą 18-go kwietnia — Francuzi kupować będą wszystko, co im dotąd za darmo dostarczano; mają potem zakładać magazyny, a tak sprzedawać im będziemy na-

sze zboże i do kraju napłynię niemało pieniędzy. Księstwo Warszawskie wcielone zostało do ligi reńskiej, nie jako część królestwa saskiego, lecz jako kraj oddzielny. Wiadomości te przyszły od dwóch dni; czas też był, żeby nas coś pocieszyło, bo już prawie rozpacz ogarniała wszystkich...“

Wszystko co tu pisała pani Nakwaska, sprawdziło się rzeczywiście. W osiem dni później, to jest 26-go kwietnia, *Gazeta Korespondenta warszawskiego* ogłosiła w dodatku następujące urzędowe doniesienie:

„Najjaśniejszy cesarz Francuzów i król włoski nie przestaje okazywać Księstwu Warszawskiemu i jego monarsze dowodów swej życzliwości. Oprócz konwencji, w skutku której przyjmuje na siebie wszelkie wydatki trzeciej części wojska polskiego, ułożony został projekt, w celu obrachowania należności, przypadających cesarzowi z Księstwa, któremi opłacone zostaną dostawy, wojsku francuskiemu uczynione. Nakoniec jego Cesarska Mość bierze odtąd na siebie wszelkie wydatki na opatrzenie wojska swojego.“

Widocznie ogłoszeniem tem chciał Napoleon wywrzeć wielkie wrażenie na ludności Księstwa, bo nawet mowa w niem jest o obrachowaniach, które dopiero 10-go maja w Bajonie ukończone zostały. Ten efekt sceniczny udało mu się też zupełnie. Ujął sobie na nowo Polaków, ale niebawem owe łaski napoleońskie trzeba było nowemi poświęceniami opłacić.

Nie domyślano się tego w skorej zawsze do ufności, do złotych nadziei, do wesołości, do zabaw nadwiślańskiej stolicy, i świat wielki się rozjechał na świeże powietrze wiejskie w najweselszym humorze, ufetowawszy raz jeszcze przed wyjazdem księcia Józefa, w dzień jego urodzin 6-go maja. Była to zabawa najświetniejsza ze wszystkich, od utwo-

rzenia Księstwa Warszawskiego. Pani Nakwaska opisuje ją *con amore*. Oto jej list, ostatni z całej seryi.

9 maja 1808 r.

„Dnia 6-go tego miesiąca była rocznica urodzin księcia Józefa. Na jej obchód ułożyła pani Tyszkiewiczowa (marszałkowa W. L., matka pani Aleksandrowej Potockiej) świetną zabawę, która się doskonale udała. Wytworność smaku Polek okazała się tu w pełnem świetle Francuzom. Wystaw sobie salę ogromną, zamienioną mnóstwem najpiękniejszych drzew, krzewów i kwiatów w świeży i woniący ogród. U wejścia w festonach z róż czekało mnóstwo dzieci w postaci ulatujących amorków, które przy wejściu księcia zebrały się razem w mały skrzydlaty hufiec i złożyły mu w darze ozdobny szyszak. Jednocześnie ku środkowi ogrodu ukazało się w klombie dwanaście nimf i te pomiędzy drzewami wykonały taniec, cały w atitudach i obrazach. Postępując dalej w ogród, przywitany został książę w innym klombie przez poczet grenadyerów polskich i francuskich, którzy odśpiewali chórem wiersze na cześć jego ułożone. Dalej jeszcze w lasku pomarańczowym dał się słyszeć duet, z akompaniamentem fortepianu. Śpiewali hiszpańskie romaneros, w hiszpańskich strojach, panna Kochanowska i książę Ludwik Radziwiłł, otoczeni gronem Hiszpanów. W innym miejscu był namiot, niby arabskiego emira, z całym wschodnim przepychem. W nim rozłożeni byli Arabowie w kosztownych ubiorach. Gdy się do nich przybliżył książę, najpiękniejsza arabska dziewczica rzuciła mu chustkę.

„Następnie trafił solenizant na grupę Katalończyków i znów śpiewy i muzyka. Śpiewała solo młoda Katalonka, a chór mężczyzn wtórował jej na tamburynie, kastanietami. Śpiewającą Katalonką była księżna wirtemberska. Inny obraz przedstawiał obóz Cyganów przy ogniu. Przodujący między nimi, pani Aleksandrowa Potocka i Michał Grabow-

ski, wróżyli księciu przyszłość pięknym wierszem polskim (jakż postęp!). Nakoniec w samej głębi sali wznosiła się świątynia, w której dwadzieścia kapłanek czyniło ofiarę za szczęście i pomyślność uwielbianego księcia. Kapłanki te, w białych sukniach, z dyamentami na głowach i okryte długimi, przejrzystymi osłonami, przetykanymi złotem, nieźle dopełniały ofiarnego obrządku. Nie mogę o tem sądzić, bo sama byłam między niemi. Gdy książę i wszyscy sproszeni goście dostatecznie się napatrzyli obrazom, nimfy, kapłanki, Katalończycy, Arabi, Cyganie, grenadyerzy opuścili swoje miejsca i rozpoczęli tańce, które się przeciągnęły do samego rana.

„Trudno byłoby opisać ci w szczegółach piękność wszystkich owych ubiorów; dosyć powiedzieć, iż Francuzi przyznali, że w Paryżu i całej Francyi nie widzieli nic piękniejszego.“

Już skończyły się były zabawy i znaczna część wyższego towarzystwa rozjeżdżała się, gdy przybyła do Warszawy dama, przeznaczona do pierwszej roli w tem towarzystwie — to jest marszałkowa Davout, księżna d'Auerstadt. Spóźniła się, ale to nie przeszkodziło jej być przyjmowaną od wjazdu swojego w granice Księstwa z takiemiż samemi niemal honorami, jak rodzina królewska. Wjeżdżała do Poznania przy huku dział i odgłosie muzyki wojskowej, po obu bowiem stronach drogi stało francuskie i polskie wojsko. Skoro zajechała do przyrządzonego dla siebie mieszkania, przedstawiły się jej władze miejscowe, wojskowe i cywilne. Wieczorem miasto było iluminowane. Z takiemiż honorami żegnano ją przy wyjeździe, po trzechdniowym pobycie w Poznaniu. Nie pojechała prosto do Warszawy, ale zajechała do mężowskiego wspaniałego majątku, który niedługo miał pozostać w jego posiadaniu, -- do Skierniewic. Zabawiła tam parę tygodni i dopiero 21-go maja uczyniła swój wjazd tryumfalny, w towarzystwie męża, do Warszawy. Naprzeciw niej wyjechał

książę Józef z orszakiem oficerów polskich, tudzież wszyscy generałowie francuscy z mnóstwem oficerów i wiele osób cywilnych. Wszyscy towarzyszyli państwu marszałkostwu konno i w powozach przez miasto, aż do ulicy Napoleńskiej (poprzednio i następnie Miodowej), do pałacu Teppera, gdzie mieszkał marszałek. Wzdłuż ulicy wyciągnięte było po dwóch stronach wojsko francuskie i polskie, a muzyka wojskowa grała nieustannie. Natychmiast po przyjeździe P-stwa marszałkostwa, wszystkie władze przedstawiały się pani marszałkowej. Wieczorem ratusz główny i wszystkie gmachy rządowe oświecono, a nazajutrz nastąpiła prezentacya dam najznakomitszych, które pozostały jeszcze w Warszawie. Ta cześć, oddana żonie marszałka francuskiego, który żadnego urzędowego stanowiska nie miał w zarządzie kraju, pokazuje najwybitniej, jaki urok wywierało cesarstwo napoleońskie na tę część Polski, która żyła przez Napoleona. Wprawdzie nie ustały były jeszcze żale do niego, mianowicie na prowincyi; jeszcze powtarzano: „Księstwo Warszawskie a pieniądz pruski, wojsko polskie, król saski, a kodeks francuski“ lecz wogóle ustanowienie administracyi polskiej, szkół polskich, sądownictwa polskiego, następnie ostatnie rozporządzenia cesarza i układ w Bajonie ukoili umysły i ścieśniły węzły, łączące ten kraik z wielkim zdobywcą francuskim.

Rezultatem układów w Bajonie było, że pożyczki pruskie — podane przez rząd pruski na 43,466,220 fr., w czem Prusacy przyrachowali sobie przeszło 13,000,000 fr. zawiele i do tego przyłożyli procenta zaległe, również przesadzone, w sumie 4,000,000 fr. — zredukowane zostały na ogólną sumę 20,000,000 fr. Zdawało się więc, że Napoleon więcej niż połowę pożyczki polskiej, zaciągniętej u Prusaków, skarbowi Księstwa darował. W rzeczy samej jednak darował tylko mniej niż 10 milionów, a mógł był darować całą sumę, znając nędzę, w jakiej było to ma-

łe Księstwo. Wszakże owa wierzytelność była lupem na Prusakach, a odebrał był ją już w dobrach skarbowych, które Księstwu zagrabił. Te 20 milionów, uznanych jako dług Polski, względem Francyi, miał skarb Księstwa w trzech ratach przed r. 1811 spłacić. Inne roszczenia Napoleona, mianowicie 1 milion, pożyczony Księstwu, a 3 miliony za broń i działa, zdobyte na Prusakach, które sprzedał Polakom, i to na obronę jego własnych interesów ambitnych, zostały umorzone, ze względu na dostawy, poczynione korpusowi Davouta. Co się tyczy innych łask, otrąbionych zawczasu w „Dzienniku urzędowym warszawskim,“ były one bardzo przebiegle obrachowane. Napoleon w Bajonie, gotując się do wojny hiszpańskiej, przyłączył Księstwo Warszawskie, jak widzieliśmy, do ligi reńskiej, nie jako część Saksonii, ale jako kraj oddzielny. Uważano w tem za powieść nowych losów dla Polski; ale cesarzowi chodziło o to tylko, żeby mógł wojskiem polskim rozporządzać wyłącznie, nie zaś w stosunku do innych krajów ligi reńskiej, ufał bowiem żołnierzom polskim, a nie ufał niemieckim. Ztąd też drugą umową bajońską zażądał jako kontyngensu od Księstwa ośmiu tysięcy piechoty z artyleryą i saperami, a ciągłego dostarczania popisowych do legii nadwiślańskiej i do pułku Krasieńskiego. Deputacya polska, <sup>1)</sup> nie śmiejąc mu tego odmówić, zawarowała przynajmniej przez pamięć na legiony polskie, wy-

---

<sup>1)</sup> Deputacya ta nie była wysłana *ad hoc*, ale wysłał ją król saski do Paryża, dla złożenia cesarzowi Napoleonowi hołdu wdzięczności za utworzenie Księstwa Warszawskiego, w rocznicę jego koronacyi. Złożoną była z wojewodów: Stanisława Kostki Potockiego, Działyńskiego i Bielińskiego. Napoleon zatrzymał ją aż do maja, dla umów, które dopiero w Bajonie ukończone zostały.

słane na śmierć na St-Domingo, że posiłki teraz żądane od Księstwa za morze użytymi nie będą. Już pułk lekkokonny Krasińskiego był w Bajonie, gdzie kończył swoją naukę wojenną. Podobnież legia nadwiślańska, w lutym jeszcze wyruszywszy z Kassel, zostawiła po drodze zakład w Sedanie i przybyła w końcu kwietnia do Bajony. Cesarz każdy jej pułk zlustrował z osobna i tam pokazał, jak mało umiał cenić polskie uczucia. Dowódcą tej legii był generał Grabiński, który nastąpił po Dąbrowskim, człowiek już stary, ale zasłużony, mężny, zdolny. Napoleon chciał go przenieść na dowódcę szwajcarskiej brygady, jakgdyby Polakowi było jedno służyć pod polską lub obcą chorągwią. Grabiński odmówił i podał się do dymisji. Otrzymał urlop nieograniczony, a legia została bez dowódcy, aż do listopada, w którym to miesiącu pułkownik Chłopicki został dowódcą wszystkich trzech pułków, składających legię. Było więc ogółem przy Napoleonie w Bajonie, przed rozpoczęciem jeszcze wojny, przeszło 8,000 Polaków którzy weszli na hiszpańską ziemię w początku czerwca. W sierpniu, z rozkazu Napoleona, trzy jeszcze wyborowe pułki piechoty Księstwa Warszawskiego wyszły z Polski do Hiszpanii: 4-ty Feliksa Potockiego, 7-my Macieja Sobolewskiego, 9-ty księcia Antoniego Sułkowskiego, po jednym z każdej dywizji, a więc jeszcze 8,000 żołnierzy polskich użytych na tę wojnę niestuszną, razem 16,000. Reszta wojska polskiego uważana już była także za korpus francuski, który otrzymał nr. 9-go korpusu wielkiej armii, i z tego tytułu, gdy Napoleon ścigał pułki francuskie, które zajmowały Gdańsk i twierdze pruskie: Głogów, Kistrzyn, Szczecin, na ich miejsce kazał postać pułki polskie, najlepiej uzbrojone i najlepiej wyćwiczone; a że uzbrojenie ich było bardzo liche wogóle, bo składało się ze starej, po największej części uszkodzonej broni, zdobytej na Prusakach, którą Napoleon Polakom sprzedał, upa-

miętał się on trochę i przesłał polskiemu wojsku we wrześniu tegoż roku 12,900 karabinów, 1,200 muszkietów kawaleryjskich, 280 pistoletów, dla kawaleryi zaś 750 pałaszy. Tę broń rozdano głównie pułkom, które wysłać miano na załogi do Gdańska i do fortec pruskich. Na obronę Księstwa, po wyjściu z niego korpusu Davouta, zostało nie więcej nad 12,000 żołnierza narodowego, uzbrojonego w karabiny pruskie, z rozkołatanemi panewkami, tak, że ledwo piąty karabin ładunku swojego nie gubił; wojsko zaś saskie, konsystujące w Księstwie pod generałem Dyherrn, zmniejszone zostało do 1,200.

Można z tego ocenić rzeczywistą wartość łask Napoleona w 1807 r. Przejął on na koszt skarbu francuskiego utrzymanie trzeciej części wojska polskiego, a użył więcej niż dwóch trzecich części onego, nie licząc pułku Krasińskiego i legii nadwiślańskiej, które już dawniej były na żołdzie francuskim i użył w sprawach, które nietylko że były obce Polsce, ale nawet przeciwne przekonaniom i uczuciom polskim. Podczas bowiem gdy 16,000 Polaków walczyło przeciw Hiszpanom, broniącym swojej niepodległości, stary Kwaśniewski z czwartym pułkiem strzelców konnych uganiał się nad Odrą za dzielnym partyzantem pruskim, Schillem, który, za przykładem Hiszpanów chciał wzniecić w Niemczech wojnę narodową przeciw francuskiemu zdobywcy.

Podobnież i ulga, jaką uczynił skarbowi Księstwa, nakazawszy korpusowi Davouta płacić od miesiąca czerwca za wszystko, czego mu mieszkańcy dostarczali, nie wypłynęła li z dobroci jego serca. Skarb Księstwa nie był materyalnie w możności płacenia dłużej za niego tych dostaw, a z drugiej strony Napoleon, w swoich ciągłych projektach zdobywczych, nie myślał na długo zostawić korpusu Davouta w Księstwie. Jakoż na początku września 1808 r. wyszedł korpus ten do Szląska i zajął na kwatery główną Wrocław. Davout zatrzymał jeszcze

na czas jakiś najwyższą komendę nad wojskiem polskim i saskim w Księstwie, ale dowództwo bezpośrednio trzech polskich dywizji zdał na księcia Józefa. Nie zrzekł się także Davout nadzoru politycznego na Księstwie, a komendę placu w Warszawie porucił oficerowi francuskiemu, swojemu podwładnemu, pułkownikowi Saunier. Marszałkowa wyjechała za mężem 22-go września, odprowadzona o milę za miasto przez księcia Józefa, generałów i liczny poczet oficerów, zawsze jakby królowa, lub przynajmniej księżna z krwi królewskiej.

### III.

#### Stan umysłów w Księstwie Warszawskim w r. 1808.

Po wyjściu z Księstwa tylu wyborowych pułków polskich z kwiatem młodzieży, oraz całego korpusu Davout'a, osmutniała Warszawa, osmutniały wszystkie miasta, nawet wiejskie dwory i chłopskie zagrody w tej części Polski. Wprawdzie tak znaczna liczba wojska była dla nich wielkim ciężarem, ale ożywiała je, rozweselała, dodawała wszystkim otuchy i nie pozwalała zastanawiać się chłodno nad smutnem położeniem tego kraiku, powołanego do bytu politycznego, w warunkach prawie niemożliwych. Chwila takiego zastanowienia się, bez goryczy jak w pierwszych chwilach po traktacie Tylżyckim, ale i bez dawniejszych złudzeń, nastąpiła, gdy owo Księstwo Warszawskie tak drobne i na rozcień otwarte wśród wielkich mocarstw, dla których był jego był solą w oku, zostawione zostało własnym siłom, zreduko-

wanym do kilkanastu tysięcy bardzo lichu uzbrojonego wojska, złożonego z najmniej wyćwiczonych pułków i ze skarbem pustym. Rzuciwszy okiem na zewnątrz, ani wątpić można było, że w razie nowej wojny pierwsze gromy na ten biedny kraik spadną, a wewnątrz straszliwe widmo ogólnego bankructwa i powszechnej nędzy stało przed oczami wszystkich.

Jednak, jeżeli ktokolwiek zadał sobie pytanie, czy nam bezwzględnie i koniecznie trzeba trzymać się Napoleona, czy niema żadnego innego sposobu zabezpieczenia przyszłości temu odłamkowi dawnej Polski i ziszczenia dalej idących naszych nadziei,— zimny rozsądek odpowiadał każdemu: nie ma; Napoleona trzymać się nam potrzeba bądź, co bądź i strzeżmy się zrazić go najmniejszą oznaką nieukontentowania lub nieufności. Takie zdanie wyrobiło się ogólnie we wszystkich umysłach rozważnych, szczerze kraj miłujących. Ci, którzy przed niedawnym czasem pokładali nadzieję w cesarzu Aleksandrze, albo przeszli byli ciałem i duszą na stronę Napoleona, jak książę Józef, albo zamknęli swoje nadzieje w głębi serca i zajęli stanowisko wyczekujące, jak książę Adam Czartoryski, który w tym roku wystąpił z rady państwa rosyjskiego, chciał nawet porzucić kuratorstwo szkół w prowincjach polskich, wcielonych do Rosyi <sup>1)</sup> i tylko na usilne namowy i prośby najznakomitszych w kraju mężów odstąpił od takowego zamiaru. Zapał wszakże i wiara w wielkie zamysły Napoleona względem Polski, które się szerzyły na nowo w świeżo utworzonych pułkach, między ludem prostym w miastach i wogóle między ludźmi, łatwo dającymi się olśnić, nie przenikały już

---

<sup>1)</sup> Miał tytuł „kuratora okręgu naukowego wileńskiego“, ale okrąg ten rozciągał się na wszystkie prowincje polskie, wcielone do Rosyi.

do dusz poważniejszych po srogim zawodzie tylżyckim. Sędziwy prezes senatu, St. Małachowski, St. K. Potocki, popularny Marcin Badeni i ktokolwiek miał więcej zmysłu politycznego, każdy był przekonany, że jeżeli on coś więcej zrobi dla Polaków, niż to, co już tak skąpo uczynił, to tylko pod naciskiem okoliczności, które mu pokażą, że nigdy Francysi stalego pokoju i przewagi w Europie nie zapewni bez przywrócenia Polski, ale na te okoliczności wszyscy mniej więcej liczyli; ostatnie bowiem traktaty Presburski i Tylżycki, nie wróżyły bynajmniej długiego pokoju, mieściły w sobie owszem, wyraźne zarody nowych, upornych wojen, a że Napoleon wyjdzie z nich zwycięską, o tem nikt w Polsce nie powątpiewał. Geniusz jego wojskowy uważany był bowiem za niemyślny i nieprzewyciężony. Lecz co głównie przykuwało Polaków do Napoleona, zarówno wyższe i niższe klasy, tych, którzy się zawsze rządzą rozumem i tych, którzy w polityce idą tylko za uczuciem,—było to, iż wszyscy zarówno wiedzieli, że losy tej części Polski, stanowiącej Księstwo Warszawskie—części, gdzie biło serce całego narodu—były fatalnie związane z losem wielkiego zdobywcy; związane silniej jeszcze, niżeli los samej Francji, bo Francja mogła istnieć bez niego, a Księstwo Warszawskie przez niego tylko żyło i w razie jego upadku skazane było wrócić do rozbiorowego grobu. Zresztą niewolno było obywatelom Księstwa w inną stronę zwracać swoich nadziei dla tego samego, że tyle tysięcy żołnierzy naszych, wyprowadzonych do Hiszpanii i do pruskich fortec, służyło Napoleonowi za zakładników polskiej wierności i polskiego honoru. Ztąd też mężowie doświadczeni, stojący na czele kraju mieli sobie za obowiązek podtrzymywać wszelkimi środkami zapal i wiarę ludu w cesarza Francuzów.

Z polecenia rządu, za zgodą pasterzy różnych wyznań, przepisano wspólną modlitwę, którą ludność

odmawiała za swojemi kapłanami w kościołach katolickich, ewangelickich i bożnicach żydowskich.

Piękna ta modlitwa brzmiała jak następuje:

„Boże sprawiedliwy, który nasze i ojców naszych winy ukarałeś zniszczeniem imienia Polski!

„Boże miłosierny i prześlągany, który teraz kładziesz koniec naszym cierpieniom i pozwalasz Ojczyźnie naszej odradzać się,

„Boże wielki, który utworzyłeś Napoleona z ducha męstwa, mądrości i dobroci przeznaczając go, aby jedną ręką gromił nieprzyjaciół naszego narodu, a drugą podniósł nas i prowadził do szczęśliwszej przyszłości,

„Przyjm od Twego ludu pokorne dzięki za wskreszenie i odtworzenie, którym go łaska Twoja darzy,

„Przyjm gorące modły nasze za pomazańcem Twoim wielkim Napoleonem, cesarzem i królem.

„Przedłużaj mu Panie dni życia—każden z nich nową znacz chwałą — nie odmawiaj mu ani szczęścia domowego, ani pomyślności w jego przedsięwzięciach — nagródź mu hojną ręką Twoją dobrodziejstwa ojczyźnie naszej wyświadczony—pobłogosław ustanowionemu od niego rządowi. — Spraw o Ojczyźnie wszechmocny! aby powrócona Polakom rodzinna ich ziemia odtąd cnotą, pracą, rolnictwem, przemysłem, nauką, sztukami kwitła. — Niechaj na niej duch niezgody nigdy nie postanie.—Niech w niej niezakłócona jedność panuje, by zagładziła przed Twoim majestatem dawne winy narodu i stała się przed Nim zasługą do nowych łask, o które błagamy Cię Panie!”

Podczas gdy z tą rzewną modlitwą duchy pobożne wznosiły się wysoko po nad tron Napoleona, aż do tronu Stwórcy wszechmocnego, błagając Go za ojczyznę, różne pisma z radami dla obywateli, zastosowanemi do okoliczności ówczesnych, krążyły między czytającą publicznością i liczba ich rosła,

w miarę, jak się zbliżała chwila wielkiej próby dla nowo utworzonego Księstwa; to jest chwila zebrania się pierwszego sejmku.

Najwięcej rozgłosu pozyskały dwie broszury bezimienne, ale w których poznać można było pióra wprawne i talenta znakomite, połączone z wielkiem doświadczeniem w życiu politycznem.

Rzeczywiście też jedną napisał był Kollątaj, drugą Niemcewicz.

Kollątaj, po upadku powstania kościuszkowskiego, schwytyany przez władze austriackie, przesiedział lat osiem w ciężkich więzieniach państwa Habsburgów.—W roku 1803 wypuszczony na wolność, ale złamany na zdrowiu i przywiedziony do ubóstwa konfiskatą swojego majątku, osiadł cicho w Brusilowie na Wołyniu.—Utworzenie Księstwa Warszawskiego obudziło w nim jednak nowe nadzieje, a z nimi i chęć wystąpienia jeszcze na scenie politycznej. Przyjechał w r. 1808 do Warszawy i niebawem wydał broszurę pod tytułem trochę przydługim: *Uwagi nad teraźniejszym położeniem tej części ziemi polskiej, którą od pokoju Tylżyckiego zaczęto zwać Księstwem Warszawskiem* i z godłem zwiastującym ducha w jakim jest napisana: *Nil desperandum*.— Jest to bezwątpienia jedno z najlepszych jego pism lubo, w znacznej części, na złudzeniach oparte <sup>1)</sup>.

Niemcewicza pisemko nosi tytuł: *Przestroga dla współziomków na rok 1809*; jest mniej ambitne—ogranicza się do rad praktycznych, ale właśnie dlatego było pożyteczniejszem <sup>2)</sup>.

---

1) Drukowane wrzekomo w Lipsku 1808 r. w rzeczy sumej zaś w Warszawie u Wiktora Dąbrowskiego, na szkaradnej bibule i ohydny m drukiem.

2) Drukowane w Wrocławiu 1808 r., wydanie bez porównania porządniejsze.

Dajemy krótki rozbiór obu broszur, bo przedstawiają opinie w roku 1808 dwóch najśmielszych, najszczerzej polskich, lubo wielce między sobą różniących się, umysłów.

Broszura Kołłątaja zaczyna się w następujący sposób:

„Część Polski, którą teraz zowią Księstwem Warszawskim, jest niepospolitą zagadką w polityce, trudną do rozwiązania, nie tylko dla sąsiadów, imiennowi polskiemu nieprzychylnych, ale nawet dla każdego, chcącego sądzić bez uprzedzenia o wypadkach politycznych. Kraj tak mały, tak ubogi, a zarazem najniewygodniej położony, wydawać się może jednym jak igrzysko potęgi wielkiego zwycięscy, który zdobywszy tyle prowincyi na sprzeniewierzonym i niewdzięcznym sprzymierzeńcu, gdy z jednych utworzył poważne królestwo w Niemczech, gdy drugie przyłączył do Stanów, w związek Reński wchodzących, tę tylko ziemię rzucił, jakby jabłko niezgody, pomiędzy też same mocarstwa, które całą Polskę rozebrać i częściami jej rozdzielić się potrafiły, aby okazawszy dzielność swojego ramienia, doświadczał, ktoby się chciał o nią pokusić, lub ktoby z trzech pragnął zasłużyć na ten dar. Drudzy mniemają, że to drobne niemowlę w polityce, jest pierwszym rysem wielkich nowego prawodawcy widoków, które na północy wykonać przedsięwziął, a które jednym tylko naznaczył punkcikiem, jeżeli tak sobie wyobrażać można tę myśl obszerną i w dalsze wypadki płodną. Są, którym się wydaje, że Księstwo Warszawskie, odebrane tylko na czas królowi pruskiemu, służyć kiedyś będzie za materyał bardzo wygodny w przyszłych zamianach, gdy przyjdzie do ostatecznego urządzenia federacyi reńskiej, aby monarchia pruska wynagrodzoną została za te straty, które jeszcze ponieść może po lewym brzegu Odry. Wszyscy zgoda zatrudniają się domysłami, wszyscy smucą się, lub cieszą; sam tylko Napoleon zna me-

telne powody i przyszłe cele, które sobie zamierzyl w utworzeniu tego małego Księstwa wśród tak ogromnych mocarstw“.

„Cokolwiek bądź Księstwo Warszawskie tak, jak jest, a nawet uważane w swem z Saksonią połączeniu, ostać się nigdy nie może. Jego więc przeznaczeniem być musi albo przyłączenie do innego mocarstwa, albo wskrzeszenie przez nie Polski i przywrócenie jej do dawnego politycznego bytu. Abyśmy tę myśl lepiej pojęli i przez jej rozbiór łatwiej przystąpić mogli do zamierzonych uwag, pozwolimy sobie krótko przypomnieć wszystkie wypadki, które zaszły od ostatniego podziału Polski, aż do zawarcia w pokoju w Tyłży“.

Pogląd Kollåtaja na ten okres czasu, tak płodny w ogromne zmiany i wywroty w Europie, znamionuje publicystę, który przeszedł przez szkołę doświadczenia i nie odnosi się w swych sądach do żadnych teorii ogólnych, ale do ściśle oznaczonego zakresu, w jakim się zamykają rządy i mężowie stanu odpowiedzialni za losy narodów, których sprawami kierują.

Pierwszy on śmiał powiedzieć wręcz swoim współziomkom, że się wielce ludzili, sądząc, iż obowiązkiem i interesem Francji republikańskiej było wziąć za cel swojej polityki przywrócenie Polski. Francja nie miała żadnego obowiązku względem Polski, która upadła przez własne winy i ratować się nie umiała, a zniszczenie przez jej upadek równowagi europejskiej, o ile było dla Francji niekorzystnem, potrafiła ona sobie powetować, nie wystawiając się na olbrzymią i w skutkach swoich bardzo niepewną walkę z trzema naraz potężnemi mocarstwami. Powetowała to sobie traktatami razem wziętymi w Bazylei i Campo Formio, w Lunevillu i Amiens, skutkiem których Francja, która od dawnych wieków opierała się o Alpy, Pireneje i Ocean, w r. 1800 miała przedłużoną granicę alpejską aż do

Montblanc i granicę Renu od Bazylei aż do ujścia tej wspaniałej rzeki; miała przytem Piemont, który jej służył za próg do Włoch, a trzy rzeczypospolite solidarnie z nią związane Cysalpińska <sup>1)</sup>, Helwecka i Batawska były za jej granicami naturalnemi, jak-by trzy posterunki naprzód wysunięte.

Nie dosyć na tem, traktat bazylejski (r. 1795) zerwał był przymierze trzech mocarstw, które podzieliły między siebie Polskę. Prusy bowiem, wyzyskawszy przez dwa wieki przyjaźń Rosyi i nie widząc naówczas już nic więcej do wyzyskania z niej, zwróciły były oczy ku Francyi, ażeby z kolei z jej pomocą rozszerzać się w Niemczech i zaofiarowały rzeczypospolitej pokój, odstępując jej zaborów swoich za Renem, z warunkiem ewentualnego wynagrodzenia w Niemczech i gwarancyi wszystkich swoich posiadłości od Renu do Niemna, do których, ma się rozumieć, należały zagarnięte przez nie łupy w podziale Polski. Francya zgodziła się chętnie na takowy pokój wielce dla niej dogodny, bo wiązał z jej interesami ujawniającą się już ambicyę Prus ku przewadze w Niemczech i odtąd widziała w tem nowem jeszcze, ale szybko wzrastającym państwie, skuteczną przeciwwagę względem Rosyi i Austryi, mogącą korzystnie zastąpić znikłą Polskę na szali europejskiej.

Kołątaj myśl tę polityki francuskiej odgadł i wyjaśnił w ten sam sposób, jak Thiers na wiele lat po nim. Pokazał zarazem, że Polska była naówczas pogrzebana w oczach Francyi, która rozbiór jej *implicite*, jeżeli nie *explicite* dwukrotnie uznała, lubo temu Napoleon później zaprzeczał; raz w traktacie

---

<sup>1)</sup> Rzeczypospolitą Cysalpińską składały: Lombardia, Modena, Ferrara, Bononia i inne części Romanii, Mantua, prowincye weneckie na prawym brzegu Adygi i Waltelina.

bazylejskim, gwarantując Prusom wszystkie jej posiadłości, drugi raz, wyraźniej jeszcze, w traktacie w Campo Formio, usprawiedliwiając samowolne za jej powodem krajanie państw „potrzebą przywrócenia w Europie równowagi, zniweczonej podziałem Polski“. I to tłumaczy, dla czego polskie legie, przyjęte zrazu przez Bonapartego z najżywszem współczuciem, stały się dla niego po traktacie w Campo Formio tak ciężkim kłopotem, że się ich pozbyć chciał w jakikolwiek sposób, choćby nawet wysyłką za morze.

Prusy trzymały się wiernie traktatu bazylejskiego lat 10, z wielką korzyścią dla Francyi i nie bez zysku dla siebie, one otrzymały zawarowane indemnizacye w Niemczech, a neutralność ich w wojnach następnych ciągle posługiwała interesom Francyi. Nie mając ich przeciw sobie, potrafiła ona w r. 1796 i 1797 wyrugować z Włoch, samotnie walczącą Austryę i narzucić Hiszpanii traktat, który ją oderwał od koalicji; następnie dzięki jeszcze neutralności Prus w r. 1799 i 1800 uniknęła groźnego niebezpieczeństwa, gdy utworzona w czasie wyprawy egipskiej nowa koalicya złożona z Anglii, Austrii, książąt niemieckich, Rosyi i Turcyi, zadała Rzeczypospolitej ciężkie klęski. Gdyby wtenczas Prusy dorzuciły były na szalę swoje siły, kto wie, czy Francya nie uległaby, lecz spokojne ich zachowanie się pozwoliło Francyi doczekać się powrotu Bonapartego z nad brzegów Nilu i ten, najzuchwalszym w dziejach wojen obrotem, spadłszy z Alp jak lawina na Austryaków, jednym zwycięstwem pod Marengo powetował wszystkie klęski, zadane Francuzom podczas jego nieobecności w Europie i traktat w Campo Formio przywrócił z dodatkiem nowego łupu dla Francyi, to jest Toskanii, która uzupełniła panowanie jej na Włochami.

Nowy ten grom odstręczył wszystkie mocarstwa od walki z wojownikiem, który zdawał się nie-

przewyciężonym. Jedno po drugim podawało mu rękę do zgody. Nastąpił pokój powszechny, który trwał lat cztery i pozwolił Bonapartemu uznanemu już za nieporównany geniusz wojenny i przodkującemu rzeczypospolitej francuskiej jako pierwszy konsul, rozwinąć jeszcze równie olbrzymi geniusz organizacyjny; dać Francji administrację i prawa, jakimi żadne inne państwo poszczycić się nie mogło.

Stała on wtenczas na najwyższym szczycie sławy ziemskiej i do tej chwili publicysta nasz rozumie go zupełnie; widzi cel, do którego przy pomocy szczęścia zmierzał i środki polityczne, któremi się posługiwał, a które nazywa pierwszą jego polityką. Odtworzenie Polski nie wchodziło wtenczas bynajmniej w jego rachuby i z tego mu Kollataj wyrzutu nie czyni. Ale pierwszy konsul rzeczypospolitej francuskiej nagle odsłonił ambycję bez granic i bez skrupułu. Przybrał rolę nowego Karola W., i nim ją rozpoczął, zmazał się zbrodnią ohydłą i nieużyteczną, zabójstwem księcia d'Enghien, ostatniego z Kondeuszów. Mocarstwa, które się zgodziły z pierwszym konsulem i stanem rzeczy, jaki istniał w Europie przed r. 1804, nie mogły się zgodzić z tą groźbą, którą zawiesił nad nią tenże sam wojownik, włożywszy na swą głowę koronę dawnego władcy zachodu. Rozpoczęła się wnet walka, której końca ani Napoleon sam, ani żaden inny polityk wyrachować nie mógł.

Prusy nie wmięszwały się czynnie nawet i do koalicji r. 1805, trzeciej z kolei; w skutek czego Napoleon mógł jeszcze zgnieść potęgę austryacką i rozbić zarazem siły rosyjskie pod Austerlitz, ale w rokowaniach z pełnomocnikiem pruskim Haugwitzem w Schönbrun, pokazało się, że między spotęgowaną ambycją Napoleona i ambycją tradycyjną Prus dalsze przymierze stało się niemożliwym. Prusy bowiem spodziewały się, że po dziesięcioletnim wytrwaniu w pokoju z Francją, podczas gdy wszyst-

kie inne mocarstwa trzykrotnie się przeciw niej łączyły, należy im się znaczny udział w świeżo osiągniętych przez nią korzyściach, do których się swoją neutralnością przyczyniły. Była rzeczywiście chwila, kiedy Napoleon chciał Prusy wynagrodzić, ale nie w Niemczech, jak one sobie tego życzyły; zamierzał on odebrać Austrii zabory jej na Polsce i dać je Fryderykowi Wilhelmowi III, ażeby w połączeniu z będącymi w posiadaniu Prus polskimi prowincjami, utworzyć pod berłem Hohenzollernów małe Królestwo Polskie. Kollataj o tym projekcie Napoleona wspomina i Napoleon sam przyznał go w dokumencie dyplomatycznym nader ważnym, który na właściwem miejscu w całości przytoczymy. Nagroda ta, którą Prusom przeznaczał, zgodna była z widokami, jakie miał zawsze na to państwo, to jest, ażeby uczynić z niego przeciwwagę względem Rosyi i Austrii; ale i od tej myśli odstąpił, przekonawszy się, że wierność Prus w czasie ostatniej wojny na włosku tylko wisiała. Wiedział on, że w otoczeniu króla wszyscy, z wyjątkiem jednego Haugwitza byli za przyłączeniem się do koalicji, że opinia publiczna głośno za tem przemawiała, że Fryderyk Wilhelm III ciągle się wahał i że nakoniec podpisał w Poczdamie konwencyą z Aleksandrem I, obowiązującą go wziąć udział czynny w koalicji. Kopię nawet tej konwencji miał w ręku. Król pruski ani się domyślał, że Napoleon o tem wszystkim jest dokładnie zawiadomiony, a z drugiej strony Napoleon nie przeczuwał, że Prusy wystąpią z żądaniem, ażeby im panowania nad małemi księstwami niemieckimi ustąpił. Ztąd przy pierwszych rokowaniach z Haugwitzem nastąpiło rozczarowanie z obu stron. Napoleon spostrzegł, że nadal na przymierze z Prusami liczyć nie może. *Il désespéra tout a fait dès cette époque de l'alliance Prussienne* —

powiada Thiers 1). — Wziął też z niemi na inny ton.

Już nie przyjaźni, ale uległości zupełnej od nich żądał. — Traktat, jaki królowi pruskiemu na ostrzu miecza podał, wyrzucił państwo jego za Elbę, dawał mu wrzekomo jako wynagrodzenie Hanower, lecz ażeby go poróżnić na zawsze z Anglią; nakoniec wiązał go przymierzem odpornem i zaczepnem z Francją, to jest czynił z Prus satelitę napoleońskiego cesarstwa. — Daremnie się król pruski na wszelkie sposoby od takowego sojuszu wypraszał, — nie będąc przygotowanym do wojny podpisać go musiał, bo Napoleon był nieubłagany, lecz podpisał go dla tego tylko, ażeby uzyskać czas do uzbrojenia się i zawiązania nowej koalicji. — Opinia publiczna w Prusach, do najwyższego stopnia rozjątrzona i roznamiętniona, nie pozwoliła mu nawet się uzbroić, — popchnęła go do walki szalonej. — Napoleon na to czekał. Wybierając się na tę nową wojnę, pisał do braci swoich, osadzonych na tronach neapolitańskim i holenderskim, „że nie mają się czego niepokoić, że rozpoczynając się wojnę prędzej jeszcze zakończy niż poprzednią, że Prusy i ich sprzymierzeńcy jacykolwiek oni być mogą, będą zgnieceni i że tym razem da taką odprawę Europie, iż nieprzyjaciele jego przez dziesięć lat ani drgnąć nie będą w stanie“. (*Mais que cette fois-ci il en finirait avec l'Europe et mettrait ses ennemis dans l'impossibilité de remuer dix ans* 2).

W rzeczy samej w tej nowej fazie polityki jego szczęście, ciągle mu wierne, poprowadził go tryumfalnie przez Jenę do Berlina, przez Eylau i Fried-

---

1) *Histoire du Consulat et de l'Empire*. Tom IV, str. 402.

2) Thiers *ib.* Tom VII, str. 4.

land do Tylży. Lecz gdy po owych świetnych zwycięstwach widział Prusy, Rosyę, a dawniej jeszcze, Austryą przygnębione, gdy los zdawał się mówić mu: masz Europę w swojej mocy—możesz ją urządzić podług swojej woli — pokaż co może twój geniusz pogróżki jego skończyły się na traktacie, który, jak słusznie powiada Kollątaj, był zagadką dla świata. Tę zagadkę starał się dawny pod kanclerzy wyswiecić.

Przypomnijmy sobie, że pisał on swoje *Uwagi nad położeniem Księstwa Warszawskiego* w r. 1808 i to w drugiej połowie tegoż roku, bo już wiedział, że stary król hiszpański Karol IV i jego syn Ferdynand, wciągnięci w zasadzkę w Bajonnie, abdykowali koronę na rzecz Józefa Bonapartego i że naród, podburzony przez Anglików, nie uznając tego postępnie wyzyskanego aktu, chwycił za broń, lecz Kollątaj nie wątpił, że Napoleon powstanie to łatwo stłumi i uważał już Hiszpanię jako należącą do jego podbojów. Przekonanie to rzucało w jego oczach pewne światło na nową politykę zwycięzkiego mocarza, w którego geniusz nieomylny wierzył bezwzględnie, równie jak wszyscy prawie współcześni w r. 1808.

Biorąc więc za podstawę swoich domniemywań stan Europy w tymże roku i ów niemylny równie, jak nieprzewyciężony geniusz bohatera, który nią trząsał, upatruje pisarz nasz w nowej jego polityce plan następujący: „Nie chodzi tu już—powiada on—o ową urojoną równowagę polityczną między potężnymi i słabymi mocarstwami.... Układ powstającej teraz polityki zdaje się być we wszystkim podobny do układu świata słonecznego. Równowaga polityczna nie może się w nim utrzymać, tylko między wielkimi imperyami, a takich w całej Europie trudno więcej nad dwa przypuścić, to jest zachodnie i wschodnie. Biorąc pod rozbiór nowy układ imperyum zachodniego widać oczywiście, że Francya uważać się musi, na wzór słońca, centralnem tego

układu mocarstwem, do którego to układu należeć będą inne państwa, jakgdyby planety pierwszego i drugiego rzędu. Wzajemne ciężenie i przyciąganie ma utrzymywać te mocarstwa w porządku i zjednoczeniu; wszystkie zaś muszą się stosować do owej centralnej siły; od niej będą miały udzieloną świetność, od niej nadany im zostanie ruch i obrót stosowny do ich masy i odległości. Napoleon przeznaczony od Opatrzności, aby w wieku XIX odmienił postać polityczną Europy, poskramiając potężne mocarstwa, oddając sprawiedliwość słabszym, karząc przestępne, dźwigając upadłe, zaczął już wielkie swoje dzieło, które będąc wynikiem długiego doświadczenia połączonego z tak twórczym genjuszem, musi koniecznie polepszyć byt rodu ludzkiego“. Autor, jak widzimy, wpada tu w mistycyzm, który nie był mu jednak wyłącznie właściwym. Prawdziwą miarę genjuszu i charakteru Napoleona znało zaledwie kilku ludzi przenikliwszych pomiędzy tymi, którzy się o niego długo ocierali; dla większej części innych, osobistość jego przybierała olbrzymie, nadludzkie rozmiary w dobrem lub złem znaczeniu. Dla jednych był antychrystem, dla drugich cudownem narzędziem Opatrzności, lub przynajmniej największym człowiekiem w historii. Do tych ostatnich należeli nasi dawni legioniści, żołnierze i oficerowie, oraz całe niemal nasze młode pokolenie. Mickiewicz, wtenczas dzieckiem jeszcze, takąż przejął się wiarą w Napoleona, która w poetycznej jego duszy zmieniła się stopniowo w ów mistycyzm proroczy, z jakim występował na katedrze w kolegium francuskim, przepowiadając powrót napoleońskiego ducha na ziemię, ażeby dokonał swojego przerwanego posłannictwa—lecz wróćmy do Kollątaja.

Urządzenie to Europy na wzór świata słonecznego było podług niego dziełem dopiero rozpoczętem, wówczas, gdy się pokazało, że dawna polityka Francji, oparta na zgodzie z Prusami, stała się na-

dal niemożliwą. Nowy systemat zarysowywał się już wspaniale. Wielki organizator tego dzieła skupiłszy około cesarstwa swojego wszystkie państwa sąsiednie, Włochy, Ligę reńską, Holandję, w końcu, jak mniemał autor, Hiszpanię, zostawił każdemu z tych krajów autonomię, oddzielnych monarchów, niektórych z elektorów Rzeszy niemieckiej porobił królami, dał ludom też same prawa, jakimi Francję obdarzył i konstytucye, odpowiadające ich potrzebom, obyczajom i tradycjom; związał je tylko z Francją węzłem ścisłej solidarności, ale między cesarstwem francuskim z jego satelitami a imperium wschodniem czyli Rosją, którą autor uważa za świat oddzielny, zaprowadzenie stałej równowagi było zadaniem jeszcze nierozwiązanem przez arcymistrza. Traktat Tylżycki nie bowiem nie rozwiązał, tylko „przyjaźń Rosyi z Francją,—słowa są Kollątaja,—zostawiona jest doświadczeniu tak właśnie, jak dawniej była pruską“, lecz w udanie się tej próby nie wierzy on wcale, tak, jak nie wierzył w to żaden prawie z dyplomatów owego czasu. Pewny że Napoleon ma przeprowadzić plan większy, godny jego twórczego geniuszu, pisarz nasz widzi w Księstwie Warszawskim pierwszy rys ogromnego planu, który wielki ten zdobywca i organizator chce dokonać we wschodniej części Europy przy sposobnych okolicznościach. Porównywa on to księstwo do Rzeczypospolitej cysalpińskiej, która zapowiadała przetworzenie następne całych Włoch i dowodzi, że dla zabezpieczenia systematu politycznego, stworzonego przez Napoleona na zachodzie, trzeba koniecznie odgrodzić Prusy i Austryę od Rosyi potężnem przedmurem od morza do morza, inaczej między temi państwami wiązałyby się ciągle koalicje przeciw porządkowi rzeczy, zaprowadzonemu na zachodzie i w końcu w niwecz by go obróciły. Że myśli podobne, lubo nie w tej formie astronomicznej, przesuwają się przez głowę Napoleona, tego są

dowodne nietylko w jego wyznaniach na św. Helenie, niezawsze szczerych, ale w dokumentach dyplomatycznych z czasów jego panowania i w pamiętnikach Metternicha, świeżo wydanych. Było to jednak wtenczas dopiero, gdy pyszny jego zamysł odtworzenia Państwa Zachodu pod swoim berłem, rozbił się o bohaterski opór Hiszpanów. Aż do tego czasu, począwszy od dnia, w którym się ogłosił Cesarzem Francuzów i Królem Włoch. widziadło to stało ciągle przed jego myślą. W traktatach, jakie po swoich zwyciężkach wojnach narzucał zwyciężonym, o to dbał głównie, ażeby mu dostarczyły potrzebnych materyałów do budowy owego Państwa Zachodu; wszelkie zaś inne względy pomijał. Traktat Presburski oddał pod jego władzę wszystkie małe państwa niemieckie, z których utworzył tak zwaną ligę reńską z koronowanymi lennikami. Traktat Tylżycki dodał mu do tego północne kraje niemieckie aż do Elby i niemieckiego morza i to był cel, dla którego przedsięwziął wojnę pruską. On to bowiem zaczął Prusy, postawiwszy je w takim położeniu, że musiały chwycić się broni. Mógł być po zwycięztwie pod Friedlandem odtworzyć Polskę, jeżeli nie w całości, to przynajmniej w znacznej części, ale kwestya polska była tylko epizodyczna w jego polityce. W Tylży, jak to zobaczymy dalej, umysł jego był zaprzątnięty wyłącznie prawie Hiszpanią, którą trzeba mu było osiąść koniecznie podstępem lub orężem, ażeby uzupełnić to Państwo Zachodu, nad którym panować było najwyższem marzeniem jego pychy—szczytem, do którego zmierzał.

Taka to była w rzeczywistości owa druga polityka Napoleona, z której tyle wielkich rzeczy wyrósł dla Polski Kołłątaj, wierząc w nieomylnność jego geniuszu; ale któryż z Polaków mógł w r. 1808 sądzić, że ten wielki wojownik równie jak wielki organizator, mając losy Europy w rękę, zamiast zajęć się urządzeniem jej racjonalnem dla dobra cy-

wilizacyi, a z nią i państwa Francuskiego, buduje jakiś ogromny gmach, bez fundamentów, który się za pierwszym wstrząśnieniem rozpadnie i przywali go całym swoim ciężarem.

Zresztą choćby głos jakiejś Kassandry ostrzegął był naszych ojców, że taki nastąpi koniec nadzwyczajnego człowieka, na którym opierali wszystkie swoje patryotyczne nadzieje, na cóżby się to zdało, kiedy los Polski, powtarzamy, był fatalnie z jego losem związany. Ówsem, obowiązkiem każdego prawego obywatela, którego głos był słuchany, było dodawać wszystkim otuchy, ażeby skorzystali z tej wielkiej chwili dziejowej, choćby tylko dla podźwignienia się z moralnego upadku, zostawiając Opatrzności rozrządzenie dalszemi losami kraju.

Z takowego obowiązku Kollataj się świetnie wywiązał. Obok wiary bowiem w Napoleona, którą starał się utwierdzić w duszach współziomków, co nie było rzeczą trudną, bo umysły polskie czepiały się, siłą zachowawczego instynktu, wszystkich apologij francuskiego cesarza, wszystkich legend, rozsiewanych o nim; obok tej wiary złudnej, ale potrzebnej, napełnił dawny podkanclerzy dziełko swoje zdrowemi i bezwzględnie zbawiennemi radami, tak dla mężów stanu, będących u steru rządu, jak i dla ogółu obywateli. „Im krytyczniejsze jest położenie nasze—mówi on, kończąc swoje „Uwagi“, tem więcej wymaga talentu, tęgości duszy, usilności, roztropności u osób, które rząd nowy zaprowadzić i wszystkie jego gałęzie urządzić mają; muszą albowiem pamiętać na dwa niebezpieczeństwa, przez które naród nasz tak świeżo przechodził. Anarchię, która przywiodła nas niedawno do zguby i zostawiła w duszy Polaków skłonność do krytykowania, wszystkiego, do nieposłuszeństwa prawu, do formowania partyi; oraz kilkunastoletnią niewolę, która zaczęła nas wprawiać do nieczułości i niedbania

o rzecz publiczną. Im bardziej nienawidziliśmy rząd, narzucony nam, tem bardziej smakowaliśmy w egoizmie. Dziś rząd nasz własny winien jest uchronić nas od tych dwóch ostateczności, przywiązując wszystkich do siebie silną spójnią miłości, nadziei i wiary. Pierwsze rządu dzisiejszego roboty, są podobne do zasiewu, dla którego pracowity rolnik ujmuje własnej gębie potrzebnego pożywienia, aby je w ziemi zagrzebał, pewny z niemyślną ufnością, że go za tę ofiarę czas następny stokrotnie wynagrodzi. Może dzisiejsze pokolenie rzuca ze łzami na ziemię ojczystą te ofiary, na które się prawie nad możność wysila, ale za to pokolenia przyszłe z radością i błogosławieństwem zbierać będą obfite z nich plony. *Euntes ibant et flebant mitentes semina sua, venientes veniant cum exaltatione portantes manipulos suos*“.

Niemcewicz ograniczył się w swojej broszurze—jak powiedzieliśmy—do rad praktycznych z okoliczności zbliżającego się pierwszego sejmu, ale rady te, nietylko w 1809 roku były przydatne—służyć one mogą dla Polaków po wszystkie czasy. Zastanawiając się nad konstytucją Napoleońską i wszystkimi urządzeniami francuskimi, zaprowadzonymi w Księstwie, Niemcewicz uznaje w zasadzie, że są zbawienne dla Polski. Konstytucya Księstwa—powiada on—kładzie tamę namiętnościom i wielmożności, którą w tak gorszący sposób dawniej grzeszyliśmy (odnosi się do artykułu, pozwalającego przemawiać się na sejmie li tylko piętnastu komisarzom wybranym przez Izbę do rozpraw z radą stanu) nie dozwala więc, tem samem, owej przewagi, jaką sobie częstokroć w obradach, śmiały i wymowny, acz nieroztropny i niemoralny poseł zjednać potrafił;—forma atoli nowa obrad publicznych, przez konstytucyę przepisana, nie krępuje bynajmniej działalności cnotliwych, światłych i na zaufanie narodów zasługujących reprezentantów, którzy godność

osobistą z chlubnem pełnieniem powierzonej im władzy, połączyć potrafią. Baczni na okropne doświadczenia narodu, pomnijmy, iż ani nikczemnem uleganiem, ani na wszystko świętokradzko targającą się dumą i zuchwałością grzeszyć już się nikomu nie godzi“....

Dalej mówi autor:— „Projekta wszelkie do praw przychodzą od tronu i roztrząsane będą przed Izba poselską; zezwolenie tejże Izby większością głosów jest nieuchronnie potrzebne, jeżeli projekta od tronu podawane, mocy prawa nabrac mają; czyliż to nie dosyć do zrobienia baczny tronu, aby tylko projekta doskonałego wytrawienia i mądrości cechą na sobie noszące, dobru publicznemu istotnie dogodnie, Izbie poselskiej do przyjęcia podawane były.—Szkoduje-żę naród na utracie prawa zrywania Sejmów, lub owej burzliwej dyskusyi, która tylko wielomownym intrygantom lub jurgielnikom obcych dworów i krajowych możnowładców tak przydatną była. Każdy prawdziwy patriota, każdy rozsądny człowiek więcej czyni, niż mówi i ze wstydem tylko przypomnieć sobie może czasy obłąkania i nierządu. Wspomnijmy nawet na Sejm ostatni konstytucyjny, odelnijmy czcze lub obłudne deklamacye, złośliwe przycinki i gorszące, sobie nawzajem oddawane, potwarze, a przekonamy się zapewne, że gadanina największą część czasu struła; najdroższa pora działania spełzła, a cztery lata wojny tureckiej nie wystarczyły Sejmowi do uorganizowania zupełnego kraju i postawienia go w sile, zdolnej do odparcia zemsty, którą przewidywać nie trudno było.—Prawdziwe znamię wszechwładztwa narodowego gruntuje się na władzy przyjęcia lub odrzucenia projektów a podawanie tych bezpośrednio i dyskusye, nie mogą być rozsądnie każdemu dozwolone; czyż bowiem każdy jest zdolnym do tak ważnej i tak doniosłej posługi? Najcnotliwsi, najświetlejsi z posłów po-

wołani być tylko do niej powinni; tak chce mieć zdrowy rozum i konstytucya.

Bądźcież zatem bacznymi i skrupulatnymi Reprezentantami Narodu, aby wybór komisjów przez was skutecznić się mający padł na ludzi opinią i ufnością publiczną zaszczyconych a wtenczas nowe znajdziecie pobudki do wdzięczności dla Napoleona, który utrzymując reprezentację wskrzeszonemu przez siebie narodowi, tą nową formą prostą i rozsądną potrafił zniszczyć źródło obrzydłej anarchii i niezgód, głównej przyczyny upadku i śmierci politycznej Polski.

Pomijam dla krótkości Senat, którego zezwolenie lub odrzucenie staje się nieledwie obojętną, podług konstytucyi, rzeczą“.

Takież same poszanowanie poleca Niemcewicz Kodeksowi cywilnemu Napoleona. „Konstytucya krajowa—mówi on—wskazuje nam nadal jedyną podstawę prawodawstwa cywilnego w Kodeksie Napoleona, dziele samego Cesarza, wespół z najznakomitszymi prawnikami i filozofami francuskimi.—Winniśmy więc ten Kodeks szanować, lekkomyślnie do odmian nie przystępując, nietylko dla tej przyczyny, iż nic rozumniejszego na to miejsce ułożyć i wystawić nie jesteśmy w stanie, lecz, że i Napoleona przez to łatwo obrazić byśmy mogli.—Możesz kto śmieszna łątaninę praw naszych rozsądnie przeczytać w XIX wieku za przyzwoitszą dla narodu ucywilizowanego nad Kodeks Napoleona? Możesz ową słabą, niejako pajęczynę, dla każdego z możliwych i bogatych za dostateczną do powściągnięcia namiętności indywidualnych wystawić? czyliż wreszcie, z konstytucyi nie wynikły nowe wcale między nami stosunki, które w związku żadnym z dawnymi prawami, rozrzuconemi po różnych woluminach już nie zostają... Radząc ostrożność, pogardzając bezczelnością tych, którzy dla spopularyzowania się lub nie zadawszy sobie pracy rozważenia Kodeksu Napoleo-

na, przeciw niemu bluźnią, nierozumiem przez to, ażeby żadnej odmiany lub dodatku czynić nie było wolno, i owszem, nietylko konstytucya tego dozwala ale opinia publiczna potrzebne zmiany wskazuje“.

Inne rady Niemcewicza odnosiły się do zadań finansowych i ekonomicznych, do wojskowości, do urzędzeń policyjnych i nakoniec do kwestyi żydowskiej, która go już od dawna zajmowała.—Marzeniem jego było Żydów zreformować i uszlachetnić. „Wcielić ich niejako,—słowa są jego—w masę ludności i przerobić na poczciwych, i użytecznych krajowi obywateli“. Widać, że autor wierzył, podobnie jak Kołłątaj, w wielką przyszłość Księstwa Warszawskiego, skoro taki problemat, wymagający wielkiej cierpliwości, stawiał przed współczesnymi.

Prócz tych dwóch broszur wyszło w tymże samym czasie wiele innych, w przedmiotach specjalnych, ekonomicznych, prawniczych, administracyjnych, lub odnoszących się do wychowania publicznego, że wymienimy tylko: znakomitą broszurę Biernackiego—przyjaciela St. Małachowskiego—o oczyszczaniu na sposób pruski włościan;—obszerniejsze prace o wychowaniu publicznem ks. dr. Szwykowskięgo, Niemejera i pismo Staszyca o statystyce Polski, w którym ów patryarcha naszych demokratów, nie polegając zapewne na intencjach Napoleona, występuje z tem zdaniem, dosyć jaskrawem, że „mamy ziemię — do zbrojenia się i do zbioru — przeto cały naród powinien działać sposobami legalnemi i nielegalnemi, jawnemi i skrytymi, aby w najgorszym wypadku, jeżeli nie zupełne jestestwo, to przynajmniej zapewnić mógł sobie wszędzie narodowość, prawa i urzędy“. — Jednocześnie pisma codzienne a mianowicie *Gazeta Warszawska*, zapępniały się artykułami podobnie w przedmiotach kraj żywo obchodzących, pióra Kalasantęgo Szaniawskiego, Nejmana, Horodyskiego, Antoniego Gliszczyńskiego, Aleks. Chodkiewicza, Bromirskiego. Zgoła ktokol-

wiek miał w głowie jakiś zapas wiadomości praktycznych, spostrzeżeń, uwag, pomysłów, które uważał za nowe i pożyteczne dla kraju, śpieszył się drukować je, ażeby się przyczynić do uporządkowania i rozwoju odzyskanej odrobinki ojczyzny, podczas, gdy nowe pułki nasze szły za Pireneje, przelewać krew swoją za pychę Cesarza Francuzów i dokazywać cudów waleczności, ażeby go jaknajsilniej przywiązać do rozpoczętego dzieła odbudowania Polski. Wiara w niego, zachwiana po Tylży, odżyła w całej pełni, jak przy pierwszym zjawieniu się jego na naszej ziemi. Wiadomości z Francyi i z teatru wojny w Hiszpanii, poruszały cały kraj, jak gdyby się nas bezpośrednio tyczyły a ministrowie nasi wraz z królem, śpieszyli z gorliwością, jakiej nigdy jeszcze nie widziano u naszych sterowników, urządzić małe Księstwo po jego myśli.

Zapoznamy bliżej czytelników z temi mężami stanu, wybranemi z pośród najznakomitszych członków czteroletniego sejmu, którzy nie ulękli się trudności nowego, postawionego im zadania i zaszczynie się ze swojego obowiązku wywiązali.

---

#### IV.

### Wizerunki pierwszych ministrów Księstwa Warszawskiego.

---

Prezes Rady ministrów i Rady stanu, Ludwik hr. Gutakowski, był, za króla Stanisława, Podkomorzym W. Litewskim, Starostą Kampinowskim, członkiem Komisji edukacyjnej, nakoniec, posłem na Sejm czteroletni, a wielkie to znaczenie w kraju, po większej części sobie samemu zawdzięczał—nie na-

leżał bowiem bynajmniej do arystokracji rodowej, lubo był bogatym i używał już w roku 1786 tytułu hrabiego <sup>1)</sup>.

Bezwątpienia wpływ pani Grabowskiej, siostry dwóch jego żon, wiele mu dopomógł do otrzymania Podkomorstwa Litewskiego, ale do Rady nieustającej—do komisji edukacyjnej—na Sejm konstytucyjny i nakoniec do steru Rady stanu za Księstwa Warszawskiego, otworzyły mu drogę niepospolite jego zdolności, patriotyzm oświecony i niezachwiany i wielkie zalety charakteru.

Rzeczywiście, wszyscy współcześni oddają mu tę sprawiedliwość, że był jednym z najrozumniejszych i najświetlejszych ludzi w kraju.—Potwierdza to Bignon w swoich pamiętnikach <sup>2)</sup>.—Przy tem taką miał uprzejmość i słodycz w obejściu, tak nieznużenie był uczynnym, że go wszyscy kochali, wszyscy lgnęli do niego. Rezydenci francuscy w Warszawie, de Serre, a po nim Bignon, z nim najwięcej się przyjaźnili. Panie nasze odwoływały się do niego w tonie najpoufalszym w najtrudniejszych interesach. — „*Vous serez peut-être étonné Gudaku* — pisze do niego księżna de Nassau w 1788 r.—*de recevoir une épître de moi, qui ai la confiance de vous prier de vous charger d'un embarras par amitié.*—(Będziesz może zdziwiony Gudaku, odbierając list ode mnie, która mam zaufanie obciążać cię kłopotem z przyjaźni). Tę nazwę przyjacielską Gudaku lub Gutaku, dawały mu dosyć powszechnie damy z dworu Stanisława Augusta, jak się dowiadujemy z najlepszego źródła.

Gutakowski należał zawsze do stronnictwa re-

---

<sup>1)</sup> Dowodzą tego listy z tej epoki, które mamy pod ręką.

<sup>2)</sup> Wydrukowanych w przeglądzie francuskim *Le Correspondant*.

form w kraju—był nawet jednym z jego przywódców i, wybrany posłem na Sejm konstytucyjny, takiego używał poważania od początku między kolegami, że Stanisław Małachowski, ubiegając się o łaskę marszałkowską na tym sejmie, udał się do niego o poparcie. Dajemy list jego w tym względzie pisany, który służyć może Gutakowskiemu za najchlubniejsze świadectwo patriotyzmu. Czytelnicy pierwszego tomu naszych „Obrazów“ oswojeni ze stylem listów Stanisława Małachowskiego, nie zadziwią się usterkami w stylu, które i w tym liście są dosyć liczne.

D. 8 Sept. 1788. Białaczew.

„Jaśnie Wielmożny M-ci Kochany Bracie i Dobrodzieju!

Zamiar mej chęci w starunku o Łaskę Sejmową nie innym powzięłem duchu, jak tylko w szczerem mej Ojczyźnie służeniu. Tem zaświadczywszy się zaręczeniem, zaśmielałem się nieść prośby do JWWMM. Pana, wzywając łaskawego wsparcia Jego, którym gdy zaszczycony zostanę, ściślejsze pomnożę sobie obowiązki, tak w wysłudze Ojczyźnie, jako też w szczerem wywdziękzeniu się JWWMM. Panu, którego szanować i poważać jest mą powinnością, pisząc się być

JWWMM. Pana Kochanego Dobrodzieja,  
Uprzejmie życzliwym bratem i sługą najniższym  
St. Małachowski Ref. W. K.

Z serca winszuję sobie Koleżeństwa z JW. Panem, znając Jego dla mnie łaskę a poważając w nim patriotyzm, którym zasilając się azaliż zdolniejszym nie stanę się ku wysłudze krajowi a trwożliwej dla mnie....“ (frazes nieskończony).

Gutakowski był bardzo czynnym w Komisjach na Sejmie konstytucyjnym. W 1806 r. gdy Napoleon stanął w Poznaniu, on dał pierwsze hasło swoim dawnym kolegom z tego Sejmu zbliżenia się do zwycięzcy Prusaków i stanął na czele deputacyi

warszawskiej, która pojechała go powitać w Poznaniu.

Po ustanowieniu Księstwa Warszawskiego, Król Saski, za pierwszym zetknięciem się z nim, powziął do niego największe zaufanie. Widzieliśmy, że go zatrzymał przy sobie w Dreźnie wraz z Stanisławem Kostką Potockim, ażeby się wywiedzieć od nich o stanie kraju—następnie wysłał go do Berlina jako pełnomocnika do odbioru na rzecz jego tej części zaboru na Polsce, którą Napoleon oddał pod jego berło,—a po spełnieniu tej misji, postawił go na czele Rady stanu, to jest ministrów i ich doradców. Pocziwy Monarcha nie potrzebował długiego czasu, ażeby ocenić światły rozum Gutakowskiego, jego wielką znajomość ludzi, doświadczenie w rzeczach krajowych, sąd, wolny od wszelkich uprzedzeń, charakter wyrozumiały, łagodny, uprzejmy, zgoła znakomite przymioty, które pomimo wieku jaki ciążył na nim, bo już był starcem przeszło siedemdziesięcioletnim, czyniły go najzdolniejszym między znaczącymi ludźmi w Księstwie do przewodniczenia ministrom bez doświadczenia w administracyi kraju a mającym przed sobą ogromne zadania.

Najzdolniejszym z owych ministrów był niezaprzeczenie Feliks Lubieński niegdyś Starosta Nakielski, jeden z najczynniejszych posłów na Sejmie konstytucyjnym. Miał on w sobie główne czynniki z których się składa prawdziwy typ męża stanu; wielki rozum praktyczny, bystre oko, ducha inicjatywy, wolę nieugiętą, odwagę cywilną, posuwającą się aż do zuchwałości, pracowitość niezmordowaną i płodną. Nie wiemy czy do tych zalet doliczyć można jego wielką wprawę w taktyce dworskiej, nabytą jeszcze w latach młodości na dworze Stanisława Augusta, którego był jednym z ulubieńców. Umiał on, jak nikt może z współczesnych mu w Polsce, manewrować na tym śliskim gruncie, usu-

wać przed sobą z łatwością najcięższe przeszkody, wciągać w swoje interesa ludzi wpływowych, nakoniec szturmem zdobywać sobie łaski i zaufanie Monarchów. Talent taki w krajach monarchicznych dopełnia bezwątpienia męża stanu, jeżeli ten poświęcony jest bożwzględnie Ojczyźnie i jej dobro ma tylko na celu,—ale patryotyzm Lubieńskiego nie przechodził pewnej miary, którą wypadki jego życia naznaczyły dokładnie, nim jeszcze został ministrem i to mu bardzo utrudniało wszelką działalność na tem wysokim stanowisku, częstokroć ze szkodą dla kraju.

Na tę przeszłość jego, którą sam opowiada dosyć szeroko w swoich Pamiętnikach, rzucimy pobieżne wejrzenie.

Na Sejmie konstytucyjnym, Lubieński był gorącym patryotą, jednym z najczynniejszych członków stronnictwa reform. Jemu to powierzono zredagowanie aktu konfederacyi jeszcze przed otwarciem sejmu a następnie wraz z Rzewuskim pisarzem Pol. Kor. wybrany był na delegata, ażeby ten akt królowi doręczyć. Król nie był temu wcale rad i Lubieński naraził się śmiało na jego niełaskę. Wciągu Sejmu pracował gorliwie w Komisjach czyli deputacyach, był członkiem deputacyi do spraw zagranicznych i deputacyi do spraw skarbowych. Służył jeszcze w Kościuszkowskim powstaniu jako komisarz cywilno-wojskowy, ale już po zalimitowaniu Sejmu i drugim podziale kraju, widzimy go goniącego za królem pruskim z Berlina do Frankfurta nad Menem a z Frankfurta aż do obozu pod Moguncyę, oblężoną przez wojska pruskie.

Cel tej wędrówki był wrzekomo patryotyczny, Lubieński wysunął się na deputata szlachty Wielkopolskiej, do Fryderyka Wilhelma II, ażeby uzyskać od tego Monarchy zachowanie pewnych przywilejów ziemiom polskim, zagarniętym przez niego. Prócz Lubieńskiego, wyjechało i kilku innych de-

putatów, ale Lubieński bardzo mało mówi w swoich Pamiętnikach o działaniu całej deputacji, które skończyły się na uzyskaniu ogólnikowych czczych obietnic. Natomiast opisuje on szczegółowo swoje nader zřeczne zabiegi, ażeby zaskarbić sobie łaskę nowego swojego Pana, do której miał pewne prawo jako gorliwy stronnik przymierza pruskiego na Sejmie konstytucyjnym.

W Frankfurcie gdzie mu się po raz pierwszy przedstawił, nadarzyła mu się już sposobność pochwycenia go za serce. Król pruski nie rad dawać posłuchań ceremonialnych deputatom polskim, kazał Lubieńskiemu udać się za nim do teatru, lecz w teatrze poszedł do łoży pani Burmistrzowej frankfurckiej, gdzie niedyskretnie było iść za nim. Lubieński wolał czekać na niego u drzwi teatru. „Po skończonem widowisku król się niebawem ukazał—słowa są Lubieńskiego—mając przy sobie jednego tylko feldjegra. Szliśmy piechotą, gdy przysunął się do mnie jakiś podejrzaney miny szubrawiec i koniecznie chciał zbliżyć się do króla. Kiwnąłem, żeby szedł z tamtej strony. Sam zaś, nie spuszcżając z oka, tego podejrzanego człowieka, wysuwałem się raz w tył, drugi raz naprzód, starając się zasłonić króla. Szczęśliwie, weszliśmy do oberży, a feldjeger nie puścił dalej tego szubrawca. Król w sieni ścisnął mię za rękę i rzekł: „Widziałem coś dla mnie zrobił“,—„moją powinność“, odrzekłem<sup>1)</sup>. Sztuczka to była mistrzowska. Szubrawcowi zapewne ani się śniło napaść na króla, ale Lubieńskiemu udało się odegrać rolę jego wybawcy. Fryderyk Wilhelm II, w dowód wdzięczności wziął go z sobą do obozu pod Moguncyą, gdzie mu Lubień-

---

<sup>1)</sup> Pamiętnik Feliksa hr. Lubieńskiego, skreślił i opracował WP. Chometowski, str. 136.

ski asystował aż do wzięcia tej fortecy i tak mu gorliwie, z tak dobrze obrachowaną sztuką nadskakiwał, że król, ujęty przez niego zupełnie, w parę miesięcy później, objeżdżając Wielkopolskę zmienioną w pruską prowincję, zboczył umyślnie z drogi, ażeby go odwiedzić w jego domu w Szczytnie, a dawny poseł na Sejm konstytucyjny podejmował przez dwa dni zaborcę kraju, jakby prawowitego króla <sup>1)</sup>.

Gdy powstania Kościuszkowskie upadło i Polska została do reszty z karty Europy wymazana, powiedział sobie stanowczo Łubieński: „dosyć już tego patriotyzmu; Polska przepadła na zawsze i nie pozostaje rozumnemu człowiekowi nic innego, tylko pogodzić się z nowym stanem rzeczy, zostać Prusakiem i robić majątek dla dzieci“. Jako też po zajęciu Warszawy przez Prusaków, znalazł nowy pretekst, by się udać do Berlina i przypomnieć łasce króla pruskiego. Pretekst był patriotyczny, podobnie jak w pierwszej jego podróży w pruskie strony; pojechał znowu w charakterze deputata od obywateli Wielkopolskich prosić króla pruskiego o uwolnienie jeńców z Kościuszkowskiego powstania przetrzymywanych w różnych pruskich więzieniach. Tym razem znalazł drzwi królewskiego pałacu i wszystkich ministrów zamknięte przed sobą, bo i na nim ciążył grzech, że wziął udział w powstaniu. Nie odstraszył się tem Łubieński. Nie mogąc wejść do króla wielkimi drzwiami, umyślił wejść małemi. Spasły i rozpustny Fryderyk Wilhelm II, miał faworytę, która wszystko na nim wymódz mogła. Była nią żona jego kamerdynera, Reitza. Łubieński zapoznał się z owym kamerdynierem i jego wszechwładną żoną, odwiedzał ich często i potrafił

---

<sup>1)</sup> Pamiętnik Feliksa hr. Łubieńskiego, str. 144 i 145.

sobie zjednać łaskę pruskiej Dubarowej <sup>1)</sup>. Nie mniej ujął sobie marszałka dworu hr. Massau, ulubieńca królewskiego i zapewnił się z dwóch stron, że jak zażąda ponownie posłuchania u króla, to już nie napotka dawnych przeszkód. Dowiedział się jednak zarazem, że los więźniów zależy głównie od ministra Hoyma, zarządzającego Śląskiem a świeżo i prowincjami polskimi, przyłączonemi do Prus drugim zaborem. Łubiński osądził, że mu przedewszystkiem należy przeciagnąć na swoją stronę tego dostojnika, zwłaszcza, że, jak to zobaczymy dalej, nie tylko w sprawie więźniów, ale także i w innej bliżej go dotyczącej, mógł mu być bardzo użytecznym. Pojechał więc do Wrocławia, gdzie przebywał Hoym i zezwylał sobie zręcznością w bardzo krótkim czasie związał się z nim sojuszem w warunkach „przysługa za przysługę“. Pokazało się bowiem, że Hoym znajdował się w nader kłopotliwym położeniu. Różne oskarżenia na niego doszły były do uszu królewskich i niełaska monarsza zawieszona była na nitce nad głową dostojnika, jak miecz Damoklesa. Miał on dowody na piśmie — mniej lub więcej pewne — swojej niewinności, ale nie liczył na nikogo na dworze, ażeby zechciał szczerze sprawy jego bronić. Łubiński podjął się tego, nie mówi wszakże, jakie wywzajemnienie sobie warował. Ułatwienia bowiem, jakie Hoym mógł uczynić w kwestyi uwolnienia więźniów polskich, nie mogły iść w porównanie z ogromną przysługą osobistą, jaką Łubiński miał mu wyświadczyć, to jest, ocaleniem jego wysokiego położenia na dworze i w kraju.

Zabrawszy wszystkie dokumenta, tyjące się sprawy swojego sojusznika, które mu tenże powie-  
rzył, pojechał Łubiński na powrót do Berlina. Za

---

<sup>1)</sup> Pamiętnik Feliksa hr. Łubińskiego str. 249.

pośrednictwem wszechmocnej kamerdynerowej, nie tylko, że otrzymał natychmiast posłuchanie, ale przyjęty został z szczególnem odznaczeniem.

Monarcha pruski, kazał marszałkowi dworu policzyć go jako delegowanego od szlachty Prus Południowych, do rządu posłanników dyplomatycznych i dołożył: „Podczas pobytu w Berlinie, ma być codzien u mnie na obiedzie“. Łubieński nie omieszkał korzystać z tej przychylności królewskiej, i w ciągu kilku dni otrzymał uwolnienie więźniów i przywrócenie Hoyma do łaski i zaufania monarchy. Nie na tem jednak ograniczał się cel jego biegłych manewrów, miał on i osobiste interesa na myśli, ale z niemi wystąpić nie chciał, nie zakończywszy wprzód swojej misyi z pozorami bezinteresownymi; pożegnał więc króla i wyjechał do Zagóści, starostwa, położonego w kordonie galicyjskim, które nabył był od swojego ojczyma, Ogińskiego, a następnie odkupił od rządu austriackiego na własność. Zasłona zapadła tym sposobem na pierwszy akt jego zabiegów, ale niebawem rozpoczął się akt drugi.

Łubieński zjawia się znowu w Berlinie. W Zagóści dowiedział się, jak utrzymuje w swoich Pamiętnikach, że rząd pruski zabiera na rzecz swoją wszystkie starostwa w zagarniętych polskich prowincjach; że je rozdaje tytułem donacyi dygnitarzom i generałom pruskim, i że starostwo Guzowskie, w którym mieszkała jego matka, darowane jest ministrowi Hoym'owi. Prawdopodobnie że o tem wszystkim wiedział, jadąc do Berlina jako deputat Obywatelstwa i dlatego tak usilnie starał się zjednać dla siebie Hoyma; chodziło mu bowiem wielce o uzyskanie w jakikolwiek sposób tego starostwa bardzo intratnego, które brat jego przyrodni Potocki <sup>1)</sup>

---

<sup>1)</sup> Matka Feliksa Łubieńskiego trzykrotnie wchodziła w związki małżeńskie i z trzech tych małżeństw miała

czy też ojciec tego jeszcze otrzymał był od króla Stanisława Augusta i w którym, jak wspomnieliśmy mieszkała jego matka.

Ufny w wdzięczność Hoyma za tak wielką wyświadczoną mu przysługę, pojechał Łubieński najprzód do niego do Wrocławia i ułożył się z nim o zamianę Guzowa za Szczytniki, majątek dziedziczny Łubieńskich, który ze wszech miar dalekim był od wartości Guzowa. Zastrzeżone było też zapewne, że król różnicę Hoymowi wyrówna, zwłaszcza, że układ ten nie mógł przyjść do skutku bez pozwolenia królewskiego, gdyż nie wolno było udarowanym starostwami donacyi swoich sprzedawać.

Tak rzeczy ułożywszy udał się Łubieński do Berlina; pokazał się natychmiast na pokojach królewskich i znowu otrzymał zaproszenie codziennie na obiady. Książęta z królewskiej rodziny byli dla niego nader uprzejmi, ministrowie byli uprzedzający, dworacy ubiegali się o jego przyjaźń, ale Łubieński, wytrawny taktik dworski, nie występował ze swoim interesem. Cekał cierpliwie aż mu się sposobność najprzyjaźniejsza po temu nadarzy. Tymczasem rósł w łasce królewskiej. „Nakoniec raz Fryderyk Wilhelm II, w dobrym humorze i nazwyczaj zadowolony usługami jakie jemu i królowej nowy dworak ciągle oddawał, odezwał się: „że chce mu darować jakie starostwo.“ Łubieński miał już oddawna odpowiedź gotową. Najjaśniejszy Panie — rzekł — przyjąłbym z wdzięcznością, od W. K. Mości starostwo Guzowskie „dla mojej matki.“ Nie mogę — odrzekł król, — bo już zahypotekowane na rzecz ministra Hoyma, ale wybierz inne. Łubieńskiemu inne starostwo nie przypadło i odmówił królowi pod

---

trzech synów: Michała Ogińskiego, Feliksa Łubieńskiego i Piotra Potockiego.

pretekstem, że przyjmując je, straciłby zaufanie współziomków.—*Vous agissez en brave homme desintéressé*—rzekł na to król—ale od Guzowa wszakże nie odstępował Lubieński i wytłumaczył królowi, że chodzi tylko o przyzwolenie Jego na zamianę Guzowa za Szczytniki, na które się Hoym już zgadza. Król dłużej się już nie wahał. Wydał rozporządzenie przychylnie, a Hoymowi bezwątpienia różnice wartości obu dóbr wyrównał, lubo o tem Lubieński zamilcza. Tym to sposobem wszedł on w posiadanie dawnego starostwa Guzowskiego. Matka jego wkrótce umarła, on się przeniósł do Guzowa i zajął się pomnażaniem swego majątku, o niczem innym nie myśląc. Zwróciwszy swoje wielkie zdolności, swoją czynność, swoją energię ku gospodarstwu wiejskiemu, postawił niedługo swoje dobra Guzów i Zagoście, mieszanowicie zaś Guzów, w stan nader kwitnący, podczas gdy wszystkie inne majątki w tym odłamie Polski przez zbytki i niedbałość właścicieli upadały. Ale zarazem zmienił to dawne starostwo w osadę na wpół niemiecką. Posprowadzał bowiem kolonistów Niemców, dla zaprowadzenia lepszej uprawy gruntów i rzemieślników Niemców do rozmaitych rękodzielni, jakie pozakładał, nie zważając, że największem niebezpieczeństwem dla naszej narodowości jest rozsiedlanie się Niemców na Polskiej ziemi,—właśnie zaś to było główną jego zasługą w oczach Rządu pruskiego. Fryderyk Wilhelm II umarł w listopadzie w 1797 r. Nowy monarcha podczas koronacji w Królewcu zamianował najmilszych mu z pomiędzy szlachty Polskiej hrabiami. Nie było w tej liczbie ani Potockich, posiadających wielkie majątki w pruskim zaborze, ani Krasińskich, ani wielu innych historycznych nazwisk, ale na czele figurował pan Feliks Lubieński, który też natychmiast urządził nową deputację i z nią pojechał do Berlina powinnować Fryderykowi Wilhelmowi III wstąpienia na tron. Przyjęty został — ma się rozumieć — z naj-

większem odznaczeniem; piękna królowa w swojej łasce przyrzekła mu nawet, że wkrótce, za pobytym swoim w polskich prowincjach, odwiedzi go w Guzowie. Jako też w maju 1808 r. podczas pobytu Królestwa JM-ciów w Warszawie, królowa Ludwika, jadąc do Nieborowa, gdzie była zaproszona na obiad, wstąpiła na śniadanie do Guzowa. Tam wśród innych, umiejętnie urządzonych zabaw wiejskich, zbliżyły się do niej dwie chłopki Polki i dwie chłopki Niemki z zaproszeniem, ażeby się chciała przypatrywać ich tańcom; królowa mogła więc widzieć na własne oczy, jak daleko posunięta była germanizacja Guzowa. W nagrodę za to przed wyjazdem Królestwa JM-ciów z Warszawy, otrzymał pan Guzowa — na domiar łask Królewskich — order orła czerwonego.

Dziewięć lat upłynęło od tego czasu. Rząd pruski wykopał był przepaść, w którą mienie i byt nieogłędnej naszej szlachty miały runąć niebawem, a za nimi i cała narodowość polska. Lubieński jeden rósł w bogactwa na tym podkopanym gruncie i wierząc już w wieczność panowania pruskiego, zaczął śmiało budować sobór protestancki dla swoich Niemców Guzowskich; — lecz jednego dnia, gdy się przypatrywał postępom kolonizacyi niemieckiej i budowie owego protestanckiego zboru, który jeszcze nie był zupełnie skończony, otrzymuje pan Guzowa wiadomość, że Napoleon jednym zamachem zwałił pruską potęgę, a w kilka dni później, że jest już w Berlinie i Polskę wskrzesza. Czempredziej chowa on swojego czerwonego orła między stare rupiecie, wraca do roli patrioty i jedzie do Warszawy. Tam zjawia się z kolegami z czteroletniego sejmu: Gutakowskim, Stan. Kostką Potockim, Al. Potockim, Luszczewskim i wraz z nimi jedzie w deputacyi do Poznania na powitanie zwycięzcy. Tym szybkim i zręcznym zwrotem zaszedł Feliks Lubieński prosto do ministerstwa: członkowie bowiem deputacyi,

na mocy dekretu cesarskiego z dnia 14 stycznia 1807 r., zostali dyrektorami wydziałów w Komisji Rządzącej, a w ich liczbie Lubiński, któremu przypadł wydział sprawiedliwości. Po ustanowieniu Księstwa Warszawskiego, gdy król saski dyrektorów wydziałów mianował ministrami, Lubiński bez żadnych zachodów, z dyrektora przeszedł także na ministra, — ale za panem ministrem w srebrem haftowanym mundurze stało widmo Lubińskiego z pruskich czasów, podającego rękę Niemcom do rozsiedlenia się po kraju i otrzymującego za to tytuły i ordery. Ten cień na jego przeszłości podawał w podejrzenie wszystko, co czynił, cò projektował, co radził, zwłaszcza, że Lubiński nie miał daru jednania sobie przychylności drugich. Szczególna to rzecz! Widzieliśmy i zobaczymy jeszcze zaraz, jak zręcznie umiał on skarbić sobie łaski Monarchów i pociągać w sojusze z sobą ludzi wpływowych na dworach, — potrafił nawet pociągnąć na swoją wędkę panią kamerdynerową króla pruskiego, — w gronie licznej swojej rodziny, która go czciła jak patriarchę, był słodkim, wyrozumiałym; dla wszystkich jej członków ciałem i duszą poświęconym, więcej nawet niż należało mężowi stanu, stojącemu u steru rządu; nepotyzm był jego słabą stroną, jak to pokazał w nader brzydkim procesie przed Radą Stanu<sup>1)</sup> pani Szymanowskiej rejentowej K., matki swojej synowej a sławnej piniaczki, kiedy surowy minister nie zawahał się lekką ręką przechylić szalę na jej stronę; ale za obrębem dworu i rodziny był zupełnie innym człowiekiem, dumnym, szorstkim, często gwałtownym, nie umiejącym panować nad sobą i nie troszczącym się ani o opinię publiczną, ani nawet o zdanie ludzi najwięcej poważanych w kraju. W krótkim

<sup>1)</sup> Rada Stanu zastępowała wtenczas czasowo Sąd kasacyjny. Proces, o którym mówimy, zobaczyć w Pamiętnikach Koźmiana.

czasie zrobił sobie nieprzyjaciół bez liku. St. Małachowski, St. Kost. Potocki, Gutakowski, Niemcewicz cierpieć go nie mogli. Widać to nawet w jego pamiętnikach. Kolegów swoich w rządzie zniechęcił i odstręczył od siebie do tego stopnia, że jakikolwiek wnioszek postawił na posiedzeniach Rady Stanu, odrzucali go bez głębszego zbadania, dlatego jedynie, że od niego pochodził. Jak zaś niepopularnym był między publicznością na to dostateczny dowód w tem, że ile razy powstał kto na niego publicznie słowem lub piórem, wszyscy byli za atakującym, wszyscy mu wtórowali, a nikt prawie Lubieńskiego nie bronił.

Położenie jego stało się nieznośnem, ale Lubieński zbyt był pysznym, zbyt przeświadczonym o swojej wyższości, ażeby ustąpił z miejsca lub starał się przejednać dla siebie opinię; lecz zwyczajem swoim zwrócił się ku Monarsze i znowu trafił na najskuteczniejszy sposób, ażeby pozyskać zupełne jego zaufanie i poparcie. Król saski był bardzo pobożny, Lubieński, wychowaniec Jezuitów, był nim także w głębi duszy; zachodziła jednak wielka różnica między jedną a drugą pobożnością. Pobożność króla była niezmienna, niezachwiana, panująca absolutnie w jego duszy, kierowała wszystkimi jego sądami o rzeczach i ludziach. Uważał on pobożność za źródło, a tem samem i za rękojmią wszystkich cnót; Lubieńskiego zaś pobożność podobnie jak patriotyzm, miała pewną skalę barometryczną, przynajmniej w oznakach zewnętrznych; podnosiła się i zniżała, stosownie do czasu i okoliczności.

Lubieński, prywatny obywatel pod rządem protestanckim i z łaski jego korzystający, stawiał w swoim Guzowie sobór protestancki; Lubieński, minister pod królem katolikiem bardzo gorliwym, dnia jednego nie przepuścił, żeby się nie pokazał w kościele na mszy św. z grubą książką do nabożeństwa; procesyi jednej nie minął, żeby nie pod-

trzymał baldachimu; zwykłymi gośćmi w jego domu byli księża, a między nimi w czasie pobytu króla w Warszawie, spowiednik J. K. Mości, ksiądz Schneider, z którym się ściśle zaprzyjaźnił. Ksiądz Schneider był świadkiem skromnych, patryarchalnych, bogobojnych obyczajów i budujących rozmów całej tej rozrodzonej rodziny, gromadzącej się około swego naczelnika. Sam pan minister otwierał duszę swoją przed spowiednikiem królewskim, opowiadał mu plany, jakie układa dla dobra kraju i zarazem walki zażarte, jakie staczać musi z opinią publiczną, przeciw niemu uprzedzoną, a uprzedzenia te, jak mówił broń mu w rękę łamiał.<sup>1)</sup>

Ksiądz Schneider, całkiem ujęty na jego stronę, wystawiał go królowi, jako najzdolniejszego z polskich mężów stanu, przytem jako wzór bogobojności i wszystkich cnót domowych. Fryderyk August, który już był dla niego przychylnie usposobiony przez pamięć na prymasa Lubieńskiego, wiernego stronnika domu saskiego, a pod wpływem swego spowiednika, popartym jeszcze przez Bielińskich i ks. Stanisława Jabłonowskiego, krewnych ministra, powziął do niego nieograniczone zaufanie, którego już nie osłabić nie mogło przez cały czas jego panowania w Księstwie Warszawskim i popierał go we wszystkim bezwzględnie.

Pod taką flagą płynął śmiało Lubieński przeciw prądowi opinii publicznej, nie zważając na jej sarkania i krzyki — płynął aż do upadku Księstwa Warszawskiego. Zaczął od tego, że nie poszedł za przykładem innych ministrów, którzy biura swoje

---

<sup>1)</sup> Lubieński w swoich pamiętnikach wypiera się swojej zażyłości z księdzem Schneiderem (Pamiętnik str. 208), wypiera się nawet przychylności, jaką mu okazywał król i nieszczególnie o nim mówi, ale świadectwa najwyraźniejsze współczesnych i same fakta dostatecznie o tem świadczą.

i wszystkie od nich zależące posady na prowincyi pozapełniali braćmi szlachtą, cisnącymi się do urzędów, nie pytając się, czy mają odpowiednie po temu uzdolnienie. Wybrał sobie urzędników najwięcej także między Polakami, ale wyszłymi ze szkół niemieckich, mającymi grubą znajomość prawa, zdolności wyrobione, obznajmionymi nawet z rutyną biurową, bo po większej części urzędowali oni już za pruskich czasów, a nie troszczył się o to, że to byli Polacy nawpół wynarodowieni, nawskroś prześlakli niemieckimi wyobrażeniami. Wynikło ztąd, że biura jego funkcjonowały porządnie, sprężystie, jak żadne inne, ale często zbyt skwapliwie bez uwzględnienia nietylko tradycyi i nawyknień narodowych, ale nawet uczuć religijnych ludności. Czasem także zniemczeni doradcy pana ministra, biorąc udział w walce jego z opinią publiczną, podsuwali mu środki despotyczne, które ową walkę do najwyższego stopnia zaostrzały.

Zasługą ministra było, że prędko bardzo, to jest już 8 marca 1808 r. otworzył w swoim pałacu i na koszt swój instytucję bardzo potrzebną, szkołę prawa i administracyi, a 29 kwietnia, na jego przedłożenie, Rada Stanu wydała postanowienie, iż po 1 września 1810 r. żaden kandydat do urzędów przyjętym nie będzie, bez udowodnienia zdolności; dla takowego zaś udowodnienia ustanowioną została komisya egzaminacyjna *ad hoc*. Z równym że poświęciem przetłómaczony i wydrukowany został Kodeks Cywilny Napoleona, tak, iż 1 maja tego roku nastąpiło wprowadzenie go w życie uroczystym obrządkiem. W kościele katedralnym warszawskim odbyło się nabożeństwo solenne, które celebrował biskup Albertrandi, wobec wszystkich władz i tłumu ludu, napelniającego świątynię, kazanie miał ksiądz Szaniawski, tłumacz i profesor kodeksu, poczem biskub wręczył ministrowi księgę prawa, złożoną przed wielkim ołtarzem na bogatym wezgłowiu. Zanie-

siono ją z wielką paradą między dwoma rzędami wojska do Sądu apelacyjnego, zasiadającego, w pałacu Krasińskich, gdzie minister złożył ją w ręce prezesa sądu, a na pamiątkę tej uroczystości tablica marmurowa, ze stosownym napisem, wmurowana została w sali sądowej. Jeden z historyków słusznie powiada, że, „Kodeks ten był dobroczynnem wyjściem z narzuconej mieszaniny pruskiej, że kraj zyskiwał najnowsze prawo europejskie, do najnowszej cywilizacji zastosowane i wychodził nareszcie z bałamuctwa odwiecznych praw, z którego tyłu królów daremnie wyplątać go usiłowało, a zarazem wracał do sprawiedliwości jawnej, którą mu był rząd pruski odebrał; lecz — dodaje, — że zaprowadzenie wszakże tego nowego kodeksu, było bezwątpienia nowem zamieszaniem stosunków domowych, nowem naruszeniem stosunków narodowych.“<sup>1)</sup> coby nie było nastąpiło, gdyby pan minister sprawiedliwości mniej był skwapliwym w zaprowadzaniu onego w Księstwie, nie dawszy sobie czasu do głębszego zbadania go pod względem zastosowania niektórych jego części do polskich obyczajów i polskiego charakteru.

Najlepiej było czekać sejmu. Łubieński nie był dosyć cierpliwym i na jedną tylko w kodeksie Napoleona pozwolił sobie połowiczną zmianę z przychyleniem się króla, odnośnie do ślubów i rozwodów cywilnych, które wywołały ogólne oburzenie duchowieństwa i wszystkich dusz szczerze katolickich. Uczynił te śluby i te rozwody martwą literą w całym Księstwie, prócz Warszawy. Połączył bowiem w jednej osobie proboszcza i urzędnika stanu cywilnego. Wolno było razem odbywać dwa obrządki, a kapłan-urzędnik cywilny uwolniony był od ogłaszania rozwodów prosto cywilnych, jako też od

<sup>1)</sup> Rys dziejów porozbiorowych. str. 74.

dawania ślubów takim, którzy się tylko rozwiedli cywilnie.

Do Warszawy ta modyfikacja kodeksu rozciągnięta nie została. Dlaczego? Minister tłumaczył to różnorodnością stołecznej ludności, złożonej z katolików, protestantów i unitów, których należało pod jedno wspólne prawo podciągnąć. Prawdopodobnie inny miał powód do takiego wyjątku, to jest obawę, ażeby Napoleona zbyt nie obrazić. Gdyby był czekał na sejm, który miał władzę prawodawczą, byłby od siebie odsunął wszelką odpowiedzialność. Wprowadzenie zaś w Warszawie ślubów i rozwodów cywilnych wpłynęło bardzo szkodliwie na obyczaje. Nie mówimy tu o niektórych innych częściach kodeksu, dobrych dla Francuzów, lecz nieodpowiadających charakterowi Polaków, a szczególnie niewiast polskich, które nie zasługiwały, ażeby je uważać na równi z Francuzkami za wieczne dzieci. Należało bądź ministrowi, bądź sejmowi rozszerzyć ich prawa. Szczęśliwa wszakże była myśl Lubieńskiego, połączenia w jednej osobie kapłana i urzędnika stanu cywilnego, lubo długo walczyć o to musiał z duchowieństwem, jak twierdzi w swoich pamiętnikach. Za Królestwa została ona zastosowaną i do Warszawy dla katolików; innym zaś wyznaniom zostawiono właściwe im obrządki przy zawieraniu małżeństw, i większe lub mniejsze trudności zrywania ich.

Nie tę jedną miał Lubieński dobrą myśl. On pierwszy wśród ogromnych kłopotów skarbu i ogólnej biedy w kraju, wiedząc, że z podobnego położenia dzwignęły się Prusy Landszaftem po siedmioletniej wojnie, wystąpił z projektem założenia w Księstwie Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego na pruskich zasadach: kazał on swoim ex-pruskim urzędnikom, dobrze z tą materią obeznanym, wypracować ten projekt, następnie sam go jeszcze obrobił i gruntownie wymotywowany, na obrachowa-

niach oparty, przesłał królowi. Król przyjął go bardzo życzliwie i odesłał do Rady Stanu z poleceniem, ażeby był wzięty pod ścisłe roztrząśnienie. Lecz w Radzie Stanu zaledwo przechodziły projekta Łubieńskiego, należące do jego specjalności; ów zaś, czysto finansowy i ekonomiczny, wkraczający w atrybucye ministra skarbu, przytem pochodzący od człowieka, w którego bezinteresowność nikt bardzo nie wierzył, nie mógł innego doznać losu, jak wzbudzić z góry nieufność. Odwlekano nad nim rozprawę; minister skarbu, Węgleński, milczał, jak sfinks, a tymczasem z zewnątrz zaczęły dochodzić do Rady Stanu krzyki opinii publicznej, zagniewanej zdawna na Łubieńskiego, lecz w tej okoliczności, podburzonej przez kapitalistów, obciążających hipoteki szlachty, i przez intrygantów, którzy byli na ich usługach, jak to zobaczymy w dalszym ciągu, gdy wnikniemy za kulisy ministerjum skarbu, pod Węgleńskim. Teraz powiemy tylko, że pod naciskiem opinii publicznej Rada Stanu uznała projekt Łubieńskiego za niemożliwy pod wszelkimi względami. Że zaś opinia dawała się tak ślepo wodzić przeciw Łubieńskiemu, było to głównie własną jego winą. Pomiatając nią ciągle, przeszedł był wszelką miarę w głośnej sprawie Kuczyńskiego, która w owej chwili była już w toku. Współcześni, mianowicie Koźmian, szeroko się o niej rozpisali. Opowiemy ją w streszczeniu.

Przy pierwszym obsadzeniu urzędów, pan minister sprawiedliwości, przedstawiając królowi listę kandydatów, pragnących umieszczenia w jego ministerjum, zmienił w ostatniej chwili numer porządkowy jednego z nich i stopień jaki miał, czy o jaki się ubiegał. Minister nie przekroczył w tem bardzo swego prawa, bo mógł był nawet wykreślić z listy tego kandydata; ale rzecz ta była wystawiona przez wszystkich malkontentów, pnących się do urzędów i odprawionych z niczem, jako krzyczące nadużycie

władzy ze strony Lubieńskiego. Tak pojął ją Kuczyński, możny szlachcic, osiadły w Warszawie, który paradnym swym kontuszem, hałaśliwym patryotyzmem, a przytem także pańską hojnością i usłużnością braterską zyskał sobie wielką popularność, o co podobno głównie mu chodziło. Był szczęśliwy, kiedy o nim głośno mówiono, a jak na pokucie, gdy publiczność nie zajmowała się jego osobą. Krótco przed zebraniem się sejmu 1809 r. wydrukował on list otwarty do jednego z posłów, w którym, oskarżając Lubieńskiego o mniemane nadużycie władzy, wnosił, ażeby Izba wystosowała podanie do króla z prośbą o ściślejsze oznaczenie granic atrybucyi ministeryalnych. Lubieński, rozgniewany, uprosił króla o upoważnienie powołania przed sąd kryminalny autora listu i drukarza, jako oszczerców. Kuczyński stawił się przed sądem; nie zapierał, że list był przez niego napisany, ale stanowczo odmówił wymienienia drukarza. Lubieński, podburzony przez swoich sprusaczonych doradców, i niepomny już na żadne względy, polecił własnoręcznym reskryptem sądowi zagrozić Kuczyńskiemu jednym artykułem prawa karnego pruskiego, który stosował się wyłącznie do rozbójników i złodziei, to jest dozwalał sądowi, w razie, gdyby który z nich zapierał się upornie popełnionej zbrodni, lub nie chciał wydać współników, przystąpić do przymusowych środków i wyliczyć mu tyle batów, ile konstytucya jego fizyczna znieść potrafi. Sąd, powolny ministrowi, wydał rezolucyę we wskazanej przez niego osnowie, którą woźny wręczył Kuczyńskiemu, — podobno nawet w kościele, gdzie za nim podążył, nie zważając na świętość miejsca, — tak przynajmniej utrzymuje Koźmian. Natychmiast gruchnęła po mieście wieść o takim zagrożeniu batami możnemu, przytem tak popularnemu obywatelowi, i jeden krzyk oburzenia ozwał się ze wszystkich stron.

Zacząwszy od Senatu, Rady Stanu, prokuratora

generalnego Księstwa, aż do ostatniej przekupki, wszyscy powstałi przeciw niesłychanemu w historii polskiej despotyzmowi ministra. Prokurator Szaniawski zaniósł publiczną skargę do Rady Stanu przeciw niemu o nadużycie władzy, wzywając mężów, stojących u steru spraw krajowych, ażeby przedstawili królowi potrzebę ukrócenia tej władzy, zagrażającej zarówno niepodległości sądownictwa, jak i osobistemu bezpieczeństwu obywateli. Dodajmy, że prawo pruskie, na którem się Lubieński opierał, nie było już w Księstwie obowiązującym, gdyż, lubo cywilny tylko kodeks francuski został tam zaprowadzony, jednak przedtem komisya rządząca, prawa pruskie uchylila i przywróciła dawne prawa polskie. Przeto prawa karne polskie były jedynie obowiązującymi. Rada Stanu, przychyłając się do skargi prokuratora, uczyniła stosowne przełożenie królowi. Lecz król stanął po stronie swego ulubieńca, naganiał surowo postępek prokuratora, jakoby nieprawny, a Radzie Stanu dał odpowiedź odmowną. Szaniawski złożył swój urząd. Rada Stanu umilkła i proces, wytoczony przez ministra, ciągnął się parę lat. Była to walka zażarta, między dumnym ministrem, trzęsącym sądami i popartym przez króla z jednej, a głośną, rozgorączkowaną opinią kraju z drugiej strony. Daremnie sąd w pierwszej instancji odważył się podać do króla na ręce ministra wniosek o umorzenie całej sprawy i zawiesił wyrokowanie, oczekując na odpowiedź; król, za radą ministra, wniosku tego nie przyjął a minister wezwał sąd do wyrokowania niezwłocznie. Pod tym naciskiem z góry, sąd skazał Kuczyńskiego na dwa miesiące więzienia. Kuczyński zaapelował i sprawa poszła aż do Rady Stanu, działającej jako sąd kasacyjny. Tam stanowczo umorzona została, na zasadzie praw i konstytucyi polskich, które zabezpieczały każdemu obywatelowi *liberam vocem*, ogłaszając *pro hoste patriae* tego, ktoby na to prawo targnąć się ważył. Za-

razem Rada Stanu podała królowi ponowne przedstawienie o ukrócenie konieczne władzy ministeryalnej, którego król nie uwzględnił, lecz moc okoliczności sama ją ukrociła.

Była to ciężka przegrana dla ministra, przegrana dla uległego mu sądownictwa, ożywionego jeszcze despotycznym duchem pruskim, i niestety, także dla poczciwego, pełnego dobrych chęci, ale słabego króla, który w opinii narodu zeszedł na zero. Lubieński uczuł się po raz pierwszy przygnęcionym. Spotkawszy Koźmiana, wówczas referendarza w Radzie Stanu i autora referatu w tej sprawie, rzekł mu smutnym tonem: Chcą mnie zmusić do złożenia urzędu, bo nie wiem za co mnie nienawidzą. Jestem przytem słaby i praca mnie nęka; miłość tylko dobra publicznego i sumienie mnie krzepią w przykrościach, których doznałem. Uprzedzono się, że chciałem dokuczyć Kuczyńskiemu. Krewnym jego jestem; skłonniejszym byłem zawsze do przychylności ku niemu, niż do zemsty. Mogę mieć żal do Rady stanu; do pana żadnego nie mam, owszem szacuję cię, jak szacowałem. Zrobiłeś swoją powinność, dlatego pragnę zjednać sobie jego przyjaźń i lepszą, niż u członków Rady Stanu opinię."

Zniechęcenie to było tylko chwilowe. Minister teki swojej nie złożył. Prowadził do końca Księstwa Warszawskiego swój wydział z właściwą sobie energią i bezstronnością, nie zważając na żadne względy, prócz, gdy chodziło o osoby, należące do jego rodziny, jak to zauważyliśmy w sprawie pani Szymańskiej. Oddał jeszcze krajowi niektóre ważne usługi. Między innymi, po przywróceniu Krakowa i części Galicyi do Księstwa Warszawskiego, urządził archiwum krajowe, czyli metrykę koronną; ale musiał walczyć ciągle z sejmami i nie potrafił przeprowadzić prawa karnego francuskiego, ani żadnych innych zmian jakiegobądź rodzaju. Ochronił wszakże kraj swoją energią od niedoleźnych i zgubnych pro-

jektów ministra skarbu, Węgleńskiego, za któremi była większość sejmowa w r. 1811. W tym razie miał za sobą Radę Stanu, która przegłosowała prosta większością sejm, o czem pomówimy na właściwym miejscu. Jaka szkoda, że zamiast objęcia ministerium sprawiedliwości, które wymagało kierownika wyrozumiałego, łagodnego, umiejącego panować nad sobą i stopniowemi tranzakcjami pokonywać zastarzałe nawyki narodu, Lubieński nie stanął na czele skarbowości. Nie był wprawdzie finansistą z powołania, gdyż takich wówczas w Polsce nie było, ale pokazał w zarządzie swojego Guzowa, że mu nie brakło zmysłu finansowego i spekulacyjnego, a na polu skarbowości jego duch inicjatywy, jego czynność, energia i wytrwałość byłyby znalazły najkorzystniejsze zastosowanie.

Najważniejszym ministrem po Lubieńskim był Luszczewski (Jan Paweł), który kierował wydziałem spraw wewnętrznych; człowiek niepozorny, mały, otyły, zezowaty; szlachcic a nie pan, ale na ministra, zwłaszcza do spraw wewnętrznych, w owym czasie, bardzo odpowiedni. Równie czynny i pracowity, może nawet pracowitszy, niż Feliks Lubieński, miał więcej wyrozumiałości, cierpliwości, taktu; a żadnego cienia na swojej przeszłości. Jako sekretarz sejmu konstytucyjnego, odznaczył się swoją sumiennością, pracowitością, a po załimitowaniu sejmu, wyniósł się na wieś i przebył z nieposzlakowaną godnością czasy pruskie, oddając się gospodarstwu, życiu familijnemu — szczęśliwszy między żoną i dziećmi niż na najwyższych urzędach — i pracom literackim, do których miał wielkie zamiłowanie. Dlatego też nie znalazł takich trudności, jak Lubieński w rozwiązaniu niemniej ciężkich zadań, jakie miał przed sobą. Nie był to jednak orzeł; cichy, skromny, nieśmiały, bez ambicyi, trochę miękki z charakteru, trochę drobiazgowy, stworzony był raczej na doskonałego sekretarza, niż na ministra.

Czuł on to sam dobrze i długo się wymawiał od tej teki ministeryjalnej, którą król saski, słysząc z różnych stron wiele o nim dobrego, nader uprzejmie mu zaofiarował po Brezie, powołanym na ministra sekretarza stanu przy boku Monarchy. Uległ wreszcie naleganiom królewskim i prośbom przyjaciół, a przy cichych swoich zaletach potrafił w krótkim czasie urządzić w Księstwie administrację zupełnie na sposób francuski, co zdawało się nader irudnem zadaniem. Zarzucano mu, że jej nie zmodyfikował, nie uprościł, nie zrobił tańszą; ale tego nie dozwalała konstytucya Napoleońska, a z tą administracją, uważaną zrazu za zbyt rozdrobnioną, zbyt kosztowną, wszedł do kraju ład, jakiego nigdy przedtem nie widziano, i dlatego utrzymała się ona pod innemi nazwiskami po upadku Księstwa, a nawet długi czas jeszcze po upadku Królestwa konstytucyjnego. Co zaś do jej kosztów, były one większe na pozór, niż w rzeczywistości; gdyż, lubo wszyscy urzędnicy byli na etacie, niżsi tylko pobierali regularnie płacę, wyżsi zaś, po większej części obywać się bez niej musieli i nie upominali się o nią.

W obsadzeniu urzędów miał Łuszczewski wiele kłopotów. Wszyscy obywatele cisnęli się do nich, jak to już nieraz nadmieniliśmy, a minister bardzo ludzki, uprzejmy, towarzyski, powszechnie poważany, miał ogromną liczbę przyjaciół i znajomych, którzy go oblegali swojemi żądaniami, nie miał zaś mocy im się oprzeć. Pozapełniał wszystkie miejsca w swoich biurach sąsiadami ze wsi i przyjaciółmi, lub ludźmi poleconymi mu przez przyjaciół, i musiał za to pokutować. Bardzo mało bowiem znalazł między nimi ludzi, usposobionych do służby publicznej, a mniej jeszcze do ślęczącej pracy biurowej; a że miał ambicyę, ażeby wszystko, co z biur jego przychodziło pod roztrząsanie Rady Stanu było porządnie obrobione i napisane, sam wszystko reda-

gował i po większej części własną ręką przepisywał. Ta praca w niemłodym już wieku zużyła po kilku latach jego siły i zdrowie i zapędziła go do grobu. Łuszczewski nie tylko doskonale redagował, ale miał wymowę łatwą, jasną, zwięzłą, nigdy się nie unosił, nie upierał w zdaniu, lecz przekonywał, gdy zaś był przekonany przez drugich, ustępował. Upierał się tylko, gdy mu przychodziło bronić swoich podwładnych, z którymi czuł się niejako solidarnie związanym, i wtenczas upór jego, jak to zwykle bywa u natur miękkich, przechodził w zaślepienie. Tak było mianowicie w sprawie słynnego prefekta plockiego, Rajmunda Rembielickiego, najzdolniejszego z prefektów, ale którego duma i samowolność przechodziły wszelką miarę. Kazał on jednego obywatela wioskowego, który nie stawiał się na jego wezwanie, porwać z domu siłą zbrojną i przyprowadzić gwałtem przed siebie. Rada departamentowa zaskarżyła go oto przed Radą Stanu, która, pomimo największych usilności Łuszczewskiego, aby go obronić, zawiesiła pana prefekta w urzędzie i oddała pod sąd. Łuszczewski nie dał jednak sprawy za wygraną; odwołał się do króla, ujmując się za swoim podwładnym i posunął się aż do tego, że oskarżył galicyjskich radców stanu, jakoby z dawnych uraz przeciw niemu wpłynęli głównie na surowe obejście się z nim całej Rady. Król, na tak gorące wstawienie się ministra, nakazał pozostawić winnego prefekta na urzędzie i karę ograniczyć na naganie.

Postępek ten Łuszczewskiego słusznie oburzył na niego kolegów. Był to wszakże jedyny błąd ważniejszy, który zarzucić mu można w ciągu pięciu lat urzędowania jako ministra spraw wewnętrznych, a zasługą jego wielką jest, że, umierając (w r. 1812), zostawił administracyę na wzór francuski, ustaloną już na polskiej ziemi i naród zupełnie pogodzony z jej kółkami i kółeczkami, z którymi długo oswoić

się nie mógł, nawykły do dawnych, nielicznych, niepłatnych, ale też i nieczynnych polskich urzędów. Zostawił nawet rozliczne gałęzie tej administracji nieźle już obsadzone, bo pierwotni urzędnicy, za których sam musiał odrabiać wszystko, co im wypracować należało, zawstydzeni przykładem jego gorliwości, pracowitości i delikatności, jedni powoli wycofali się z posad, które bezużytecznie zajmowali, drudzy zaprawili się do pracy, nabrali rutyny i stali się dobrymi urzędnikami, a liczba tych ostatnich pomnożyła się nowym pokoleniem, przygotowanym do urzędniczego zawodu w szkole prawa i administracji. Tym sposobem następcą Łuszczewskiego, Tadeusz Mostowski, zastawczy nowy mechanizm administracyjny polepszony w tem, co miał niedostatecznego i przygotowany do funkcjonowania bez zawodów pod biegłą ręką, mógł rozwinąć swoją płodną i mistrzowską działalność na urzędzie ministra spraw wewnętrznych, który piastował w ostatnich latach Księstwa Warszawskiego i następnie, po krótkiej przerwie, przez lat piętnaście pokoju za Królestwa Kongresowego.

W wydziale Skarbu zmieniali się często kierownicy w początkowych latach Księstwa Warszawskiego. Pierwszym dyrektorem skarbu, mianowanym przez komisję rządzącą 18 stycznia 1807 r., w cztery dni po ustanowieniu jej dekretem Napoleona, był Jan Nepomucen Małachowski, dawniejszy referendarz koronny, ale ten ustąpił wkrótce miejsca więcej obeznanemu ze skarbowością Tadeuszowi Dembowskiemu, niegdyś kasztelanowi czechowskiemu.

Dembowski był już stary, rówieśnik St. Małachowskiego i L. Gutakowskiego, z którymi trzymał wiernie na sejmie konstytucyjnym. Mając poruczoną sobie na tym sejmie wydział skarbowy, okazał ogromną pracowitość i przyczynił się wielce do zaopatrzenia skarbu w potrzebne fundusze na wojnę 1792 roku. Po zalimitowaniu sejmku wrócił do go-

spodarstwa na swoich dobrach Rudzie, między Mińskiem a Siennicą, lecz na odgłos powstania w Krakowie przybiegł do Kościuszki ofiarować mu swoje usługi. Naczelnik powstania narodowego postawił go naprzód na czele Komisji wojewódzkiej krakowskiej, mającej na celu zaopatrywanie powstania we wszystko, co mu było potrzebnem, a następnie powołał go do Rady narodowej, w której należał do departamentu skarbowego i najczęściej w nim prezydował. Po upadku powstania gospodarował znowu na wsi, póki Francuzi nie weszli do Warszawy. Na wiadomość o tem, chwili jednej dłużej usiedzieć nie mógł w swojej Rudzie zostawił ją na łaskę i niełaskę Austryaków, była bowiem w austryackim kordonie i pośpieszył służyć Ojczyźnie; a Jan Małachowski miał tyle patriotyzmu, że nie zawahał się ustąpić mu dyrektorstwa skarbu.

Na tem stanowisku, na którym pozostał aż do śmierci, zostawszy z dyrektora ministrem skarbu, sędziwy Dembowski miał nierównie trudniejsze zadanie, niż w wydziale skarbowym na sejmie konstytucyjnym. — Skarb był pusty — naród prawie w nędzy, a trzeba było koniecznie wynajdywać fundusze na zreorganizowanie i utrzymanie przeszło 30,000 polskiego wojska, tudzież na wyżywienie więcej niż 50,000 żołnierzy francuskich, nie licząc już potrzeb kosztownej administracyi, jaką z woli Napoleona należało zaprowadzić w Księstwie. Dembowski wysilał umysł na różne kombinacye finansowe i tak chciał dać w zastaw największą część dóbr narodowych za 31 milionów złotych, ale pokazało się to niepodobnem z braku dostatecznych kapitałów w kraju, a o zagranicznych ani można było nawet pomyśleć wśród ciągłych wojen Napoleońskiej epoki. Z tychże samych przyczyn i inne kombinacye na trochę większą skalę żadnego skutku nie odniosły. Nie pozostawało jak odwołać się do dobrowolnej pożyczki od obywateli i poprzestać na tem, co będą mogli pożyczyc biednej Ojczyźnie; tak też uczynił.

Dembowski. Wypuścił obligacye skarbowe — zebrał stosunkowo nie wiele, ale dosyć na opatrzenie naj-naglejszych potrzeb kraju, to jest 4,500,000 złp. Marszałek Davout dał pierwszy przykład dobrej chęci, jako właściciel Księstwa Łowickiego; wziął za 50,000 złp., takowych obligacyi, obywatele zakupywali je każdy ile mógł, a król odstąpił połowę z przeznaczonych sobie konstytucyą dochodów z Księstwa na opłacenie pierwszej raty długu ba-jońskiego. Tym sposobem dociągnął Dembowski ze skarbem aż do sejmu 1809 r. a sejm kraj wyratował z bezprzykładną dotąd ofiarnością jak to zobaczymy dalej. Było to ostatnią pociechą dla zacnego Dembowskiego, który już w ciągu tego sejmu złożony chorobą, z łóżka prawie nie wstawał. Król go kilka razy odwiedził w jego pałacu na końskim targu; zaszczyt, który mało kogo spotkał. Umarł Dembowski na początku czerwca 1809 r., żalowany powszechnie. Był to człowiek skromny, łagodny, zdolny, pracowity i poświęcony krajowi, jeden z tych charakterów, które narodowi więcej może jeszcze przynoszą zaszczytu, niżeli owe wielkie talenta, z których blasku zwykliśmy wyłącznie się chełpić.

Aleksander Potocki, minister policyi, był, podobnie jak wszyscy jego koledzy, w wyjątkiem księcia Józefa, członkiem czteroletniego Sejmu. Człowiek to był poczciwy w życiu prywatnem a w życiu politycznem szedł zawsze za tymi, którzy przodowali narodowi na dobrej drodze; zresztą była to natura bierna, ospała, do żadnej samodzielnej czynności niesposobna. Reprezentował on w Radzie Stanu to dobroduszne safandulstwo, na którem kończy znaczna liczba naszych poczciwców, składając ku starości lejce swojego dalszego życia w ręce żony, brata, syna lub innego przyjaznego doradcy. Przypadek, że był w deputacyi na powitanie Napoleona, wyprowadził go na ministra, a podtrzymywali go wpływem swoim na tem wysokiem stanowisku z jednej strony teść jego, Tomasz Ostrowski, ex-podskarbi koronny, z drugiej

Stanisław Kostka Potocki, który się uważał za naczelnika i naturalnego protektora całego klanu Potockich. Policją zaś kierowali pod płaszczem Aleksandra Potockiego: krewny jego żony, Ledóchowski, którego mianował pierwszym konsyliarzem, w ministerstwie, i Gliński, jedyny człowiek fachowy w tym wydziale, niegdyś naczelnik policji marszałkowskiej pod Mniszchem marszałkiem W. K. On sam nie wiedział, ani co się dzieje w mieście, ani co robią w jego biurach. Na obrządkach publicznych i ceremoniach galowych nie zaniebował wprawdzie występować w swoim galowym mundurze, ale na tem ograniczała się cała jego działalność polityczna. Na posiedzeniach Rady Stanu zwykle drzemał, czasami i chrapał, tak, że raz siedzący przy nim książę Józef zniecierpliwiał się, potrząsnął go za ramię i rzekł: „Ministrze, spać na posiedzeniach można, ale chrapać się nie godzi.“ Ten drzemający minister spostrzegł się, gdy Księstwo Warszawskie przybrało podwójne niemal rozmiary przez przyłączenie do niego tak zwanej Zachodniej Galicyi, że nie ze wszystkiem odpowiada miejscu, jakie zajmuje i ustąpił go jednemu z najzdolniejszych naówczas w Polsce ludzi politycznych, Ign. Sobolewskiemu, poprzednio sekretarzowi Rady Stanu.

Pozostaje nam jeszcze do naszkicowania jedna postać ministeryalna z pierwszych lat Księstwa Warszawskiego: postać księcia Józefa Poniatowskiego, którego widzieliśmy za pruskich czasów prowadzącego życie sybaryty u stóp pięknych dam polskich — *aux pieds des jolies femmes de son pays*, — jak z lekką dozą złośliwości powiada Thiers, — teraz zaś przyjrzymy mu się, jako ministrowi wojny i wodzowi naczelnemu wojska polskiego.

Że piękny synowiec królewski, „cel westchnień wszystkich kobiet“ (słowa Koźmiana) nie oddawał się bardzo gorliwie pracy biurowej, o tem mówić nie potrzebujemy. Praca taka była wstrętną jego naturze. Napoleon wiedział to dobrze i dlatego wzbraniał się długo powierzyć mu zarząd spraw

wojskowych w Komisji Rządzącej. Francuskiemu władcy chodziło przede wszystkim o to, ażeby z tego odłamku Polski wyciągnąć jak najwięcej walecznych i dobrze uorganizowanych pułków, a do tego potrzeba mu było mieć w tym kraiku ministra wojny pracowitego, sprężystego, dobrze obznajmionego ze swoim zawodem; z drugiej strony jednak spostrzegł, że ksiązę Józef był ulubieńcem arystokracji i że odmówić jej stanowczo mianowania go dyrektorem wydziału wojny, byłoby to zrazić ją dla siebie, a była mu potrzebna. Ustąpił więc, mianował go owym dyrektorem, ale zostawił w Księstwie Davout'a z władzą nadzorczą nad wszystkim, a głównie nad sprawami wojskowymi. W pierwszym też roku Księstwa rzeczywistym ministrem wojny był w niem ów marszałek francuski. On-to dał popęd silny reorganizacji wojska; pod jego naciskiem znalazły się potrzebne po temu fundusze, i jemu po największej części zawdzięczał Napoleon, że, rozpoczynając wojnę w Hiszpanii, miał już posiłek z ośmiu tysięcy żołnierzy polskich, nie licząc tych, którzy byli na żołdzie francuskim, i że nawet w fortcach pruskich mógł jednocześnie zastąpić wojsko francuskie polskiem.

Po wyjeździe Davout'a, dalsza reorganizacja armii Księstwa szła już leniwiej, ale pochodziło to głównie z próżni zupełnej w skarbie. Ksiązę Józef czynił, co mógł; założył w większej części z własnych funduszów w Warszawie Szkołę Niższą Artylerji i Szkołę Wyższą, czyli tak zwaną Aplikacyjną, na wzór szkoły w Metz. Obie otwarte zostały z początkiem sierpnia 1808 r. Z dwóch szkół kadetów, ustanowionych przez rząd pruski z organizacją niemiecką, jedną, w Kaliszu, przerobił na polską, drugą, w Chełmnie, zwinął jako zbytęcną. Pozakładał jeszcze różne fabryki i warsztaty wojenne. Co się zaś tyczy manipulacji biurowej, tę poruczył dwom bardzo uzdolnionym do tego rodzaju czynności oficerom, jakimi byli: generał Hebdowski,

ogólny pod nim kierownik ministerjum i pułkownik Rautenstrauch, sekretarz generalny tegoż ministerjum. Własną swoją rolę ograniczył książę do tego, iż rozstrzygał najważniejsze zadania i, przyznać trzeba, zawsze ze zdrowym sądem i w duchu szlachetnym, iż kładł swój podpis wszędzie, gdzie należało, i raporta, przełożenia, projekta, bardzo starannie wypracowane przez Hebdowskiego i Rautenstraucha, przynosił na Radę Stanu, a nie bywało to więcej, jak parę razy w ciągu roku. Wogóle książę Józef rzadkim był gościem w Radzie Stanu: Gdy przychodził, to zwykle wśród toczących się już rozpraw, i zawsze powtarzała się też sama ceremonia: wszyscy członkowie Rady wraz z prezesem powstawali, robiono mu miejsce przy prezesie, lecz on niezmiennie odmawiał tego zaszczytu, siadał skromnie na miejscu, wyznaczonem dla ministra wojny, między ministrem policyi, który wnet usypiał, i ministrem skarbu Węgelniskim, jak później, który go śledził z pod oka. Rozprawy zdawały się mało go obchodzić, brał niedbale ze stołu arkusik białego papieru, ołówek i rysował karykatury. Nie przeszkadzało mu to jednak słuchać, co radzono, i gdy go czasem pytano o zdanie, odpowiadał z wielką naturalnością, zaczynając zawsze od tych słów: „ja w moim głupim rozumie sądzę, że...” ale odpowiadał tak trafnie, że wszyscy się do jego zdania przyłączali. Niekiedy rzucał jakby z niechcenia niespodziane światło w dyskusye, lub słówkiem dowcipnem, któremu wymawianie jego, trochę szeptliwem, dodawało soli, charakteryzował najwłaściwiej sprawę w toku będącą. Tak np., gdy Lubieński, broniąc się przed Radą Stanu w własnej sprawie Kuczyńskiego, twierdził, iż postąpił, jako stróż prawa,—„Tak,—odezwał się książę Józef, śmiejąc się,— ale tym razem stróż w piecu przepalił.“ Najulubieńszem zatrudnieniem księcia, zwłaszcza, gdy mu nadana w roku 1809 władza naczelnego wodza nastęrczała pretekst po temu, było musztrowanie żołnierzy. Codziennie

rankiem widywano go na Saskim placu przejeżdżającego przed frontem pułków na dzielnym koniu w tym ułańskim stroju, w którym mu tak było do twarzy, w zimie w legendowej burce, i z nim paradowający orszak oficerów jego sztabu, a zarazem towarzyszy jego uciech.

Resztę dnia dzielił między owe zatrudnienia biurowe, niezbyt nużące, które sobie pozostawił, i zabawy w dawnym kółku przyjaciół i wielbicielek, które rad był wszystkie uszczęśliwić, przenosząc serce swe od jednej do drugiej, a czasem kilka na raz obdarzał swoją łaską.

Obyczaje te jego, zawsze dosyć lekkie, nie pozwalały mu podnieść się w opinii tej wielkiej liczby współziomków, którzy na niego zdaleka tylko patrzeli i w oczach których wielkimi tylko czynami bohaterstwa mógł zmazać grzech pierworodny, iż się nazywał Poniatowskim. Cała jego niepopularność pokazała się, gdy opuszczał Warszawę po kapitulacji w r. 1809. Na przedmieściach lud wyrwał już na niego kamienie z bruku, wołając, że zdrajca. U wojska nawet, które tak kochał, nie posiadał żadnego zaufania. Dąbrowski i Zajączek byli jego osobistymi nieprzyjaciółmi. Dąbrowski uważał za ujmę dla siebie wyniesienie Poniatowskiego na ministra wojny, a następnie na naczelnego wodza, i przyznać trzeba, że, mając na względzie tylko położone dla kraju zasługi i okazane wojskowe talenta, godności te należały się podług wszelkiej słuszności staremu dowódcy legionów. Nie występował on wprawdzie publicznie przeciw swojemu szczęśliwemu współzawodnikowi, ulegał mu nawet, ale wobec dawnych towarzyszy broni nie taił swojego żalu, a ci trzymali żarliwie jego stronę, o synowcu zaś królewskim wyrażali się z pogardą,

Mniej jeszcze od Dąbrowskiego wstrzemięzliwym był Zajączek. Dawny ten Jakóbin, zawistny, brutal, nieznający w swojej ambicji i w swoich nienawiściach żadnych skrupułów, wybuchał przeciw

księciu Józefowi z niepohamowaną zajadłością, której dowodzą już same listy do niego pisane, które Wybicki przytacza w swoich pamiętnikach. Oto są np. główne ustępy jednego z nich, datowanego z Neidenburga 19-go kwietnia 1807 r:

„Jestem zmęczony Waszą korespondencją. Ton listów Waszych wcale mi się nie podoba i najrozsądniej będzie zaprzestać między nami wszelkich bezpośrednich korespondencyi... Wytłómacz sobie to Pan raz na zawsze, że nie mam do odbierania od Niego żadnych rozkazów, że niczego nie oczekuję od rządu polskiego, że nie winien wszystko Cesarzowi Francuzów i że nie mam powodu i nie chcę na nikogo innego się oglądać, jak tylko na niego...“ <sup>1)</sup>

W tem brutalstwie przebija zarazem i maluczki egoizm Zajączka. Niema tam mowy o obowiązkach dla kraju, ale tylko o tem, czego on spodziewać się może dla siebie; a czego nie mówi, to jest, że spodziewał się wysadzić księcia Józefa z zazdroszczonego mu wysokiego stanowiska i zająć jego miejsce. Jak tylko bowiem Davout przyjechał do Warszawy, przybiegł za nim i zaczął intrygować w tym celu. Z początku marszałek francuski przychylnie nadstawiał mu ucha, jako dawnemu towarzyszowi broni i przesłał nawet cesarzowi zaskarżenie, napisane przez niego, przeciw księciu Józefowi i jego przyjaciółom: St. Kostce Potockiemu i innym, że są w zмовie z Rosyą. Napoleon zanadto znał ludzi, ażeby nie spostrzegł, co się kryje w tych podłych oskarżeniach, zwłaszcza też, że niedawno przedtem Zajączek nie chciał złożyć przysięgi na wierność

---

<sup>1)</sup> Je suis fatigué de votre correspondance. Le ton de vos lettres ne me convient pas. Le plus sage est de ne pas nous écrire... Persuadez vous bien une fois pour toutes, que je n'ai point d'ordres à recevoir de vous, que je n'attends rien du gouvernement Polonais, que je dois tout à l'Empereur des Français et que je n'ai et ne veux avoir rien à espérer que de lui...

królowi saskiemu, jako Księżciu Warszawskiemu, biorąc pochop z tego, że złożył był już ją cesarzowi francuskiemu i uważa się za francuskiego oficera. Napoleon kazał go za to Davoutowi napomnieć. <sup>1)</sup> Teraz w odpowiedzi na jego oszczerstwa polecił marszałkowi surowo go zgromić i przykazać, ażeby się nadal nie poważał obwiniać tak niesłusznie swojego przełożonego. <sup>2)</sup>

Nie wyleczyło to jednak Zajęczka z brutalskiej jego zawiści. Gdy po kapitulacyi Warszawy wódz polski, cofnąwszy się do Modlina, wezwał na radę wojenną Dąbrowskiego i Zajęczka, pierwszy zapomniał o urazach swojej miłości własnej wobec nieprzyjaciela, podał szlachetnie współzawodnikowi rękę i służył mu dobrą radą; przeciwnie zaś Zajęczek szerzył w wojsku też same podejrzenia o zdradę na księcia Józefa, których ten o mało co nie padł ofiarą, wychodząc z Warszawy. Pewien świadek naoczny i niepodejrzany opowiada, że: „gdyby to zależało było od Zajęczka, całe wojsko byłoby haniebnie odbiegło swego wodza.“ <sup>3)</sup>

Wśród tych, tak dotkliwych przejść dla księcia wystąpiła na jaw piękna strona jego charakteru. Panując nad sobą, znosił on z cierpliwością zadziwiającą i niezachwianą godnością wszystkie te podejrzenia, oszczerstwa, obelgi. Znać było, że czuje się wyższym nad nie i czerpie swoją cierpliwość w przeświadczeniu wewnętrznym, iż jako minister i wódz, w chwili próby stanowczej, potrafi odpowiedzieć włożonym na niego obowiązkom i powierzony mu honor Polaków zanieść nieskalany do Boga.

<sup>1)</sup> List Napoleona do marszałka Davout'a z dnia 23-go sierpnia 1807 roku, w „Kor. Napoleon.“

<sup>2)</sup> List tegoż z dnia 22-go października 1807 roku tamże.

<sup>3)</sup> Pomysły do dziejów Polski, str. 157; Rys dziejów porozbiorowych, str. 87.

W dalszym ciągu tych obrazów zobaczymy, jak, w miarę potęgujących się w koło niego okoliczności tej epopejowej epoki, rozwijał się i potęgował ten pierwiastek rycerski, który zawsze przebijał z głębi istoty księcia Józefa, przez słabostki wielkiego pana osiemnastego wieku, stojącego tuż przy tronie i zepsutego uwielbieniem kobiet.

---

V.

**Streszczenie zmian zaprowadzonych w Księstwie Warszawskim po rok 1809.—Pierwszy w niem Sejm.—Nowy minister skarbu.**

---

Staraliśmy się przedstawić wierne wizerunki pierwszych ministrów Księstwa Warszawskiego. Teraz streścimy ich działania po rok 1809 i zbierzemy je w jeden obraz ogólny, ażeby oznaczyć dokładnie położenie Księstwa, w chwili gdy się otworzył pierwszy Sejm w tym odłamku Polski, powołanym napowrót na krótki czas do życia.

Król saski objął formalnie rządy Księstwa 5 października r. 1807, gdy pełnomocny jego minister hr. Schoenfeld, rozwiązawszy tymczasową Komisję Rządzącą, wprowadził uroczyście w urządowanie mianowaną przez Monarchę Radę Ministrów, czyli Radę Stanu. W rok później małe Księstwo było już w głównej części uorganizowane w myśl konstytucyi, nadanej mu przez jego twórcę. Istniejące aż do 1807 r. szczątki poddaństwa były zniesione, nowe stosunki wynikłe ztąd między właścicielami ziemi a włościanami dokładnie określone, Kodeks Cywilny Napoleona przetłómaczony na język polski i w wykonanie wprowadzony; sądownictwo nowe na modłę francuską zaprowadzone i wszystkie jego szczeble obsadzone, prócz sędziów pokoju i podsędków, którzy mieli być wybieralni; nowa hierarchia admi-

nistracyjna, utworzona podobnie na wzór francuski i w pełnej już czynności; prefekci z radami prefekturalnymi, postawieni na czele departamentów, podprefekci na czele powiatów; w każdym mieście departamentowem ustanowieni, tak zwani, dyrektorowie skarbowi dla poboru podatków, w miejsce poborców jak we Francyi, to jest dzierżawców podatków, których się zaprowadzić nie dało; nowa policya w kraju urządzona, a cała działalność administracyjna skoncentrowana w stolicy kraju, najprzód w biurach ministerstw, których wydziały i podwydziały były już pozapelniane, a ostatecznie w Radzie Stanu.

Ale nietylko, że mechanizm czysto administracyjny był w Księstwie Warszawskiem pod koniec roku zupełnie prawie urządzony, ale i życie nowe już się w niem silnie rozwijało, mianowicie też życie wojskowe, do którego Polak zdaje się być głównie stworzony.

Wojsko nasze, zreorganizowane na wzór francuskiego, było już w znacznej części dobrze wyćwiczone i nowe pułki nasze niedługo odznaczyć się miały najświetniejszym bohaterstwem w Hiszpanii, dokąd Napoleon 15,000 naszych żołnierzy powołał, licząc w to legię Nadwiślańską i pułk lekkokonny gwardyi, a popis wojskowy, powołujący do służby przez losowanie, jak we Francyi, w miarę potrzeby, wszystkich mieszkańców kraju od 21 do 30 roku na lat sześć, odbył się z największą łatwością, po raz pierwszy w roku 1808, bo młodzież ze wszystkich klas społeczeństwa garnęła się ochoczo, nawet z zapalem, do broni. Dla formowania oficerów użytkowano szkołę kadetów, założoną przez Prusaków w Kaliszu z wykładem niemieckim, który zastąpiono polskim, a zarazem podniesiono nauki. W Warszawie powstały za staraniem księcia Józefa i głównie z jego nakładu, jak już mówiliśmy, dwie Szkoły Artyleryi i Inżynieryi, jedna początkowa, druga wyższa, na wzór Szkoły Aplikacyjnej w Metz i z temże samem nazwiskiem Aplikacyjnej.

Prócz instytucji wojskowych powstały jednocześnie i cywilne; mianowicie bardzo potrzebna Szkoła prawa i administracji dla kształcenia prawników i urzędników, urządzona przez ministra Łubieńskiego w jego pałacu i utrzymywana początkowo jego kosztem. Wychodzący z nich uczniowie stawali przed Komisją egzaminacyjną, ustanowioną zaraz po otwarciu szkoły i która wyrokowała o ich uzdolnieniu, a dekret królewski zastrzegał, że po 1-ym września 1810 r. nikt już do urzędów przypuszczony nie będzie, kto przed tą Komisją uzdolnienia odpowiedniego nie udowodni.

Mniej pomyślnie szło z edukacją powszechną, której kierunek powierzony był Izbie edukacyjnej, jak za króla Stanisława Augusta. Zacni mężowie, którzy w jej skład wchodził pod przewodnictwem Stanisława Kostki Potockiego, byli bezwątpienia najwięcej uprawnionymi do kierowania wychowaniem młodych pokoleń, lecz, rozrządzając nader szczupłymi funduszami, w tak krótkim czasie niewiele zdziałać mogli. Rząd pruski zostawił po sobie 600 szkół i szkółek z podwójnej niemal liczby, jaką w tej części Polski zastał po ostatnich rozbiorach i szkoły te poniemczył, z wyjątkiem Pijarskich, które patriotyczny zakon wielkimi ofiarami utrzymać zdołał pod swoim zarządem i z polskim wykładowym językiem, Izba edukacyjna przywróciła w szkołach zniemczonych język ojczysty i zapowiedziała urządzenie szkółek wiejskich po wszystkich gminach ze składek, do jakich wezwała gospodarzy w miasteczkach rolniczych i we wsiach.

Znać w tem było wpływ Staszica, ojca demokratów polskich i najczynniejszego członka Izby edukacyjnej, ale były to pobożne życzenia, które się na małym skutku skończyły. Co do szkół wyższych, trzeba było tymczasowo przestać na owej szkole prawa, którą urządził pod bokiem swoim minister sprawiedliwości, nie pytając o to Izby edukacyjnej.

Przeistoczenie tak szybkie na cudzoziemską

modłę kraju, nawykłego od wieków do innych urzędzeń, wadliwych, ale swoich, na swoim gruncie wyrosłych, nie obyło się bez narzekań, utyskiwań, głośnych protestacyi. Mówiono, że nowa administracya jest zbyt drobiazgowa, zbyt kosztowna, kiedy dawna polska nie nie kosztowała, a prawo francuskie, nie zgodne z obyczajami polskimi.

Przyznać też trzeba, że ta część Polski, nagle przebrana w formy francuskie, wyglądała z początku jak człowiek w ubraniu nie do kroju swego, tu zbyt ciasnem, tam zbyt szerokiem i w którym chodzić nie umie. Panowie prefekci byli zbyt dumni, nie pomnąc, że dawna równość szlachecka przeszła była w krew polską i obrażali obywateli. Urzędnicy byli, jedni zupełnie nieudolni, drudzy, jak w ministeryum sprawiedliwości, zniemczeni i przywykli do form despotycznych pruskich, bez wyrozumiałości dla tych, którzy nowego prawa francuskiego dokładnie zrozumieć nie mogli, a takich była przeważna liczba. Mecenasi, nawet sędziowie znajdowali się nieraz wśród rozpraw jak w odmęcie, mieszając w myśli francuskie prawa z polskimi i pruskimi. Wogóle Kodeks francuski miał z początku bardzo wielu przeciwników. Daremnie wołał Niemcewicz w cytowanej przez nas broszurze: „Możeż kto rozsądnie śmieszłą łataninę praw naszych, w XIX wieku, poczytać za przyzwoitszą dla narodu ucywilizowanego nad Kodeks Napoleona? Kodeks Napoleona jest rzeczą świętą, której się jedynie z największą ostrożnością dotykać godzi“. Nie przekonał ludzi dawnych, dla których świętością były prawa polskie a nie francuskie. Na czele tych byli ludzie tacy, jak: Stanisław Małachowski, Ludwik Gutakowski, Stanisław Potocki, zwłaszcza też Małachowski, który nigdy pogodzić się nie mógł z Kodeksem Napoleo- ani z żadnemi urządzeniami francuskimi. Prezydując z początku w Radzie Stanu, protestował przeciw ustanowieniu po województwach sądów trybunalskich, przeciw projektowanemu przez Lubień-

skiego założeniu Szkoły prawa, w której głównie Kodeks Napoleona miał być wykładany, i ani chciał słyszeć, ażeby minister sprawiedliwości potrzebował mieć konsyliarzy, kontrolę i biura ekspedycyjne, mówiąc, że tego nigdy w Polsce nie bywało <sup>1)</sup>, a nie mogąc uzyskać większości w Radzie Stanu, porzucił swoje krzesło prezesowskie i z Rady wystąpił. Wielce przeciwnem także Kodeksowi było duchowieństwo z powodu ustanowionych w nim ślubów cywilnych i dozwolonych rozwodów. Poprawki, jakie na razie uczynił Łubieński, wcale nie uspakajały księży. Opowiada on w swoim Pamiętniku, że książę Woronicz, dawny jego przyjaciel, zaniósł skargę do króla, do której się przyłączył Prymas Raczyński, iż minister poniżył i znieważył stan duchowny, zrobiwszy z proboszczów urzędników stanu cywilnego, obowiązanych zapisywać nowonarodzone dzieci, nie tylko katolików, ale i innowierców, nawet Żydów i mahometanów. Łubieński tłumaczył się przed królem, że uczynił to głównie dla pomnożenia uszczuplonych dochodów plebanów, oraz w celu utrzymania dla duchowieństwa pewnego rodzaju wyższego uszanowania od innych wyznań, a czasem i szczęśliwej sposobności nawrócenia! Nie miał śnać na myśli, w tej pierwszej poprawce Kodeksu, zapobieżenia rozwodom. Dodał: „jeżeli atoli król zechce przychylić się do żądania duchowieństwa katolickiego, niech minister spraw wewnętrznych poleci ten urząd stanu cywilnego burmistrzom i ludziom godnym wiary, wiele albowiem zależy od pewności aktów ślubu, urodzenia i zejścia“. Król uwolnił duchownych od obowiązku utrzymywania aktów stanu cywilnego i wnet pojawiło się mnóstwo konkurentów do tych urzędów. W niespełna trzy miesiące potem powstało narzekanie ze strony duchowieństwa, że nie tylko zmniejszył się im dochód do

---

<sup>1)</sup> Pamiętnik Feliksa Łubieńskiego skreślił i opracował Wł. Chomentowski, str. 186, 187 i 191.

dziesiątej części, lecz oraz, że ludzie mało ugruntowani w religii, nie brali ślubów w parafii, ale przedstawiali na akcie przed urzędnikiem stanu cywilnego. Znowu wytoczono prośbę do króla. Król zebrał radę z duchownych. Wezwał na nią ks. Schneidera, swojego spowiednika, i Lubińskiego. „Lubiński dowodził, że akta cywilne nie obowiązywały w niczem katolików i były jedynie dla porządku administracyjnego i sądowego (?), że rozwody cywilne nie mogły mieć żadnego znaczenia dla katolików, a ktokolwiek chciałby tak śluby, jak rozwody cywilne uważać za ważne, ten nie jest katolikiem“. Na to odezwał się ks. Schneider: „Ależ bo te wyrazy, ślubu cywilnego, rozwodu cywilnego, mogą niejednego w błąd wprowadzić, że to już rzeczywiście ważny ślub lub rozwód brać będą“. Lubiński odparł, że skoro pisze się wyraźnie ślub cywilny, że skoro rozwód jest za dekretem sądów cywilnych, przeto jasną jest rzeczą, że akta takowe nie zastępują ani Sakramentu Małżeństwa, ani rozwodu, jaki tylko Kościół wyrzec może, w razie uznania nieważności małżeństwa. Pan minister utrzymuje w swoim Pamiętniku, że tym argumentem przekonał i księdza Schneidera i innych duchownych, obecnych na naradzie <sup>1)</sup>). Tak jednak nie było, gdyż 3-go marca 1809 r., na kilka dni przed otwarciem Sejmu, wszyscy Biskupi podpisali protest przeciw Kodeksowi Napoleona, a w szczególności przeciw ustanowionym w nim małżeństwom i rozwodom cywilnym. Dla ułagodzenia ich trzeba było czempredziej uczynić nową poprawkę w Kodeksie; zwolnić duchownych urzędników stanu cywilnego (przywrócono bowiem proboszczom te urzędy) od ogłaszania rozwodów prosto cywilnych, a co ważniejsza, od dawania ślubów takim, którzyby tylko cywilnie się rozwiedli. Wprawdzie niezupełnie zapobiegało to rozwodom,

---

<sup>1)</sup> Pamiętnik Feliksa Lubińskiego, str. 205, 210.

gdyż do Warszawy poprawka ta nowa w Kodeksie nie była zastosowana i księża nie byli tam urzędnikami stanu cywilnego, nie mieli przeto żadnego środka przeszkodzenia rozwodom i ponownym ślubom rozwodników. Stadła na prowincyi, które chciały się rozwieść, lub małżonkowie rozwiedzeni, którzy w nowe pragnęli wejść związki, potrzebowali tylko pojechać do Warszawy, a tam życzenia ich z łatwością mogły być spełnione, lecz Biskupi, zasiadający, jak dawniej, na krzesłach senatu, nie chcieli już dalej posuwać swojej opozycji i na wdanie się osobiste króla, znanego z bogobojności, uciśzyli się, przestając na uzyskanem częściowem zwyciężtwie.

Jeżeli sarkania były wielkie na system administracyjny francuski, zaprowadzony w Księstwie i na Kodeks Napoleona, z tylu miar przeciwny obyczajom i nawyknieniom Polaków, to nierównie większe jeszcze na ciężary, nałożone na to małe Księstwo. Przypomnijmy sobie, że ono musiało uorganizować, umundurować, uzbroić i przez cały pierwszy rok swojego istnienia utrzymać przeszło 37,000 własnego wojska, na to, ażeby Napoleon wybrał sobie z niego najlepsze pułki na wojnę hiszpańską; że obok tego, przez tenże rok wyżywić mu trzeba było korpus Davout'a, liczący przeszło 50,000 żołnierza, co kosztowało 7,000 czerwonych złotych dziennie, i już na te dwa wydatki dochody skarbu nie wystarczały; trzeba jednak jeszcze było nietylko łożyć na administrację i rozliczne inne potrzeby kraju, ale samemu Napoleonowi wypłacać podług umowy Bajońskiej 20 milionów franków w trzech ratach przez lata 1808, 1809 i 1810, a zdawało się, że nie było już z czego wycisnąć nowych podatków od zubożałych mieszkańców.

Można pojąć, że kraj jęczał, lecz zbyt głośno jęczeć nie śmiał, bo jak powiedzieliśmy wyżej, przekonaniem ogólnem było, że Napoleona trzymać się

nam koniecznie należy i niezem go nie zrażać, aby nie utracić tego ostatniego promyka nadziei, który na ostrzu jego miecza zdawał się błyszczeć; względ ten powstrzymał nawet uzasadnioną opozycję duchowieństwa

Zresztą, wszystkie te szemrania i sarkania uci-chły za przybyciem króla z rodziną do Warszawy, 31 listopada 1808 r., bo przyjazd ten powtórny Monarchy zwiastował bliskie zwołanie Sejmu. Póki o Sejmie nie było mowy, póty obywatele Księstwa nie czuli się niepodległymi; cały ustrój Księstwa na wzór francuski nie przypadłał im do smaku, a ciężary, nałożone na nich, wydawały im się nie do zniesienia; lecz jak tylko rozeszło się w Warszawie i po całym kraju, że król przyjechał dla zwołania Sejmu, inny duch we wszystkich wstąpił, każdy czuł jakgdyby życie dawne, życie przodków, wracało do jego piersi, bo czyż sejmy nie były przez tyle wieków ogniskiem, w którym się skupiało życie narodu, i z którego się napowrót rozchodziło na całą przestrzeń kraju; każdy też przestał żalić się i utyskiwać, mówiąc sobie: teraz Sejm głos zabierze, a co on powie, to powie cały naród.

Już za pierwszego pobytu swojego w Warszawie, zażądał był Fryderyk August poufnie od Lubieńskiego objaśnień, co do formalności zachowywanych za Rzeczypospolitą przy zwoływaniu i otwieraniu Sejmów. Lubieński, który snąć nie był także dokładnie z tem obeznany, lubo posłował dwukrotnie, na Sejmie 1778 i na czteroletnim, posłał konsyliarza swojego, Kalinowskiego, z sekretarzem i kancelistami do Skorochoła Majewskiego, zawiadującego aktami metryki koronnej, dla wypisania owych formalności, tudzież wzorów listów, odezów, uniwersałów, jakie wychodziły z kancelaryi królewskich w takich okolicznościach. Dokumentów tych dostarczył Monarsze, a za nowym jego przybyciem redagował mu listy, uniwersały, odezwy, dekreta, jakich

było potrzeba. Tym sposobem mógł król saski zastosować się do dawnych zwyczajów polskich z wielkiem zadowoleniem całego narodu <sup>1)</sup>. Dnia 2 grudnia zagaił on posiedzenie Senatu; 12-go tegoż miesiąca wydał uniwersały, zwołujące Sejmiki i zgromadzenia gminne dla wybrania posłów i deputowanych na Sejm, tudzież członków do rad departamentowych i powiatowych i sędziów pokoju; 9-go stycznia 1809 r. podpisał dekret, przepisujący postępowanie Sejmu, a między innymi, że zachowane być miało postępowanie tajne; 16-go stycznia uzupełnił te przepisy nowym dekretem; 23-go tegoż miesiąca odbyły się Sejmiki, a 15-go lutego wyszedł uniwersał królewski, zwołujący Sejm na 7-marca, to jest, że w tym dniu miał się zebrać, dnia 8, 9, przeznaczone były na dopełnienie rugów, a 10 na otwarcie obrad.

Jednocześnie z temi rozporządzeniami, które przygotowywały solenny dzień otwarcia pierwszego Sejmu Księstwa Warszawskiego i wejście w pełne życie nadanej mu konstytucyi, król Fryderyk August zajmował się z Radą Stanu dopełnieniem organizacyi Księstwa, i tak 11 grudnia 1808 roku ustanowiono Izbę Obrachunkową dla dozorowania skarbu; 7-go lutego 1809 roku ustanowiono Rady departamentowe i powiatowe, oparte na wyborach i określono ich stosunek z władzami administracyjnymi; 23-go lutego nakoniec ustanowiono rady miejskie, podobnie na wyborach oparte i zarząd gmin, który powierzono właścicielom gruntów pod tytułem wójtów gmin. Odstąpiono w tem od francuskiego prawa, które się do włości polskich zastosować nie dało; we Francyi bowiem niejedyn jest właściciel gruntowy w gminie, w Polsce zaś zwykle tylko je-

<sup>1)</sup> Pamiętnik Feliksa hr. Łubieńskiego str. 197.

den i trudno było go poddać pod władzę chłopą, który mu jeszcze odrabiał pańszczyznę za dzierżawione pola i zabudowania.

Sejmiki odbyły się spokojnie, żadne echo dawnych hałasów i burd nie dało się słyszeć, bo znikły były przyczyny, które je wywoływały, uprzągnięte gwałtownym potokiem wypadków, jaki przeszedł po naszej ziemi.

Dla pamięci podajemy nazwiska wybranych posłów i deputowanych.

### *I. Departament Warszawski.*

Posłowie: Tomasz Ostrowski, Antoni Ostrowski, Feliks Świdziński, Józef Leszczyński, Zabokrzycki, Świętosławski, Ciechomski, Luszczewski, Toczyński, Byszewski.

Deputowani: Paschalis, Zwierzchowski, Lesznowski, X. Dühl, Stawiarski, Noffok, Kuźniczew, Wilhelm Latewicz, Niewiadomski, Wojciechowski, Szamowski, Zawadzki.

Dodajmy, że na radców departamentowych wybrano między innymi księcia Pawła Sapiechę i Michała Dzierzbickiego.

### *II. Departament Poznański.*

Posłowie: Niegolewski, Łącki, Skrzypiński, Krzymuski, Ulatowski, Kęszycki, Bojanowski, Umiński (późniejszy generał), Kwilecki, Michał Dąbrowski (syn generała), Bniński (później kasztelan), Czarnecki (później wojewoda)

Deputowani: Sztremler, Kossowski, Bojarski, Knebel, Stęszewski, Guepart, Brodziszewski, X. Wolicki.

### *III. Departament Kaliski.*

Posłowie: Kielczewski, Bielski, Jaremski, Męczyński, Bleszyński, Kaczkowski, Ostrowski, Tymowski, Stokowskich dwóch, Kosecki, Gostkowski, Bystrzonowski.

Deputowani: Frankowski, Pstrokoński, Lizak, Maruszewski, Hoffman, Maszardo, Janicki.

#### *IV. Departament Bydgoski.*

Posłowie: hr. Skórzewski, Słaski, hr. Grudzieński, Radoliński, Wolski, Mystkowski, Maciej Wodziński (późniejszy kasztelan), Kosiński, Karski (Augustyn, późniejszy sekretarz generalny w ministerstwie spraw wewnętrznych pod Mostowskim).

Deputowani: Teper, Gładyszewski, Loeve, Gutt, Prestorius.

#### *V. Departament Płocki.*

Posłowie: Chełmicki, Kieszkowski, Pęczkowski, Pisarzewski, Kamiński, Jabłonowski.

Deputowani: Polański, Laskowski, Kralewnicki.

#### *VI. Departament Łomżyński.*

Posłowie: Skrzyński, Szepietewski, Bykowski, Ciemnołęski, Babęcki, Józef Godlewski, Kamiński.

Deputowani: Podbielski, Mikulicz, Żynicz <sup>1)</sup>.

Od przyjazdu króla życie polityczne silnie się obudziło w całym kraju, a mianowicie w Warszawie. Rozgorączkowana czynność w Radzie Stanu i w gabinecie królewskim, dekreta, wychodzące jeden po drugim dla uzupełnienia nowej organizacji kraju i przygotowania do Sejmu, oddziaływały na umysły ogółu. Pojawiały się coraz gęściej broszury, o których mówiliśmy poprzednio, rozbiegające wszystkie zadania administracyjne, prawne, finansowe, o których Sejm miał stanowić. Niektóre były bardzo gwałtowne, jak broszura Kuczyńskiego, wymierzona przeciw Lubieńskiemu. W gazetach toczyły się żywe polemiki, a niebawem au-

---

<sup>1)</sup> Brak na tej liście trzech posłów i trzech deputowanych.

torowie broszur i artykułów dziennikarskich, którzy zbliżeni byli opiniami swojemi, weszli w ściślejsze między sobą stosunki; zgromadzali się w ogrodzie Krasińskim pod gołem niebem i na ławkach odbywali narady. Główni członkowie tej Rady pod kasztanami byli: Dominik Kuczyński, Bromirski z Płockiego, X. Onufry Kopczyński gramatyk, stary, otyły, ale dla którego życiem były dyskusye, Aleksander Chodkiewicz, ogromnej postaci człowiek, rzucający się we wszystko, co umysł zająć może; dokładny wizerunek jego podamy w dalszym ciągu; Józef Kalasanty Szaniawski, prokurator przy Sądzie kasacyjnym, którym początkowo była Rada Stanu. Lubiński minister tak o tym ostatnim pisze: „Znałem go od młodości, był dependentem w Kaliszu u pana Ołuckiego, wymownego Patrona; później straciłem go z oczu. Chodził on na filozofię Kanta, nie przeszedłszy szkół przygotowawczych. Potem wdał się w demokrację i z owego dobrego młodziana, którego dawniej znałem, zrobił się człowiek niedouczony a bardzo zarozumiały. Do wielu zmartwień był mi później powodem (widzieliśmy już w jakich okolicznościach). Nie wiele robił (będąc konsyliarzem w jego wydziale za Komisji Rządzącej), bo nie lubił, żeby jego praca, tak jak moje wszystkie, i moich konsyliarzy szła pod dyskusye na naszej sesyi; sądził, że co tylko zrobił, to już jest rzeczą doskonałą. Mimo tego winienem mu wdzięczność, że wytłómaczył wysłał w Danii książeczkę o Sędziach pokoju; wiele z niej korzystałem, gdy zaprowadzałem Sądy pokoju“<sup>1)</sup>). Szaniawski był niewątpliwie człowiekiem bardzo zdolnym, ale trawiony ambicyą rzucał się w intrygi i wiadomo na czem się jego ambicya skończyła. Do koteryi wspomnia-

---

<sup>1)</sup> Pamiętnik Feliksa hr. Łubińskiego, str. 185 i 186.

nej należał jeszcze Horodyski, referendarz Stanu, przez którego wiedziała cała koterya, co się dzieje w Radzie Stanu. Jaki zaś wpływ wywierała ta koterya na Sejm, to zobaczymy niebawem.

W przeddzień zebrania się Sejmu 6-go marca były imieniny królewskie, obchodzone najpierw uroczystym nabożeństwem w kościele farnym, z którym połączona była inna solenność, konsekracya Biskupa Płockiego, Prażmowskiego, następnie wielką paradą wojskową, wieczorem przyjęciem u dworu i iluminacyą miasta. Ludność, która już pokochała była króla, święciła dzień ten serdecznie. Dnia 9-go marca solenniejsze jeszcze odbyło się nabożeństwo na otwarcie Sejmu. Ksiądz kan. Woroniecz, wielkich uroczystości narodowych kaznodzieja, miał kazanie na temat słów z Pisma Św.: „Stała się prośba nasza, że nam zostawiono ostatek“. Po nabożeństwie posłowie i deputowani wykonali przysięgę wierności przed królem, siedzącym na tronie naprzeciw tronu biskupiego. W ich imieniu przemówił do króla poseł warszawski, niegdyś podskarbi nadworny, Tomasz Ostrowski. Odpowiedział mu prezes Rady Stanu w imieniu króla. Nazajutrz otworzyły się podwoje Izb sejmowych, zamknięte od 29-go maja 1792 roku. Rano zgromadzili się senatorowie i posłowie w Izbie senatorskiej. Izba poselska nie była jeszcze ukonstytuowana, bo nie miała przewodnika, ale zaledwie posłowie przybyli do Izby senatorskiej, wszedł minister spraw wewnętrznych Łuszczewski i oznajmił Tomaszowi Ostrowskiemu, że go król mianował marszałkiem Izby poselskiej. Zatrzymajmy się nieco nad tą osobistością.

Ostrowski był to wtenczas już starzec 74-roletni (ur. 1735 r.), wysoko wykształcony i dobrze zaśluzony krajowi, szczególnie jako finansista. Pochodził on z dawnej szlacheckiej rodziny ze wsi Ostrowa nad Wieprzem, ale odziedziczył dosyć skromny majątek i jeszcze znaczną część jego poświęcił, po

skończeniu nauk u Jezuitów, na podróże po obcych krajach. Zwiedził Niemcy, Francję, Anglię, Włochy; przebywał długo na dworach Stanisława Leszczyńskiego w Lunevillu i Ludwika XV w Wersalu, któremu polecony był przez Leszczyńskiego. Powrócił do Ojczyzny, otrząśnięty z panujących w Polsce przesądów szlacheckich, z trzeźwymi poglądami na rzeczy krajowe, z rozległymi wiadomościami, nabytymi zagranicą, zwłaszcza na polu ekonomicznym, a zarazem z tą wykwintną oglądą, z tym delikatnym taktem w pożyciu z ludźmi, których najlepszą szkołą było dworskie towarzystwo francuskie, jakkolwiek pod innemi względami wcale nie wzorowe; ale powrócił prawie zrujnowany. Zajął się też najprzód podniesieniem swojego majątku <sup>1)</sup>, wiedząc dobrze, że w naszej Rzeczypospolitej, pomimo tak rozgłaszanej równości szlacheckiej, zdolności bez majątku, do niczego nie prowadziły. Pracował usilnie, umiejętnie i tak szczęśliwie, że w lat kilkanaście zbudował sobie znakomitą fortunę. Wtenczas dopiero, wszedłszy już w lata dojrzałe, rozpoczął zawód polityczny i postępował szybkimi krokami do coraz wyższych urzędów i zaszczytów, torując sobie drogę jedynie swojemi zdolnościami i swoim wybornym taktem. Obrany posłem na Sejm 1776 roku, został przez swoich kolegów wybrany na członka Rady nieustającej. W kilka miesięcy później król mianował go kawalerem orderu św. Stanisława i kasztelanem czerskim, a niebawem jeszcze prezesem swojej kamery, czyli administratorem listy cywilnej królewskiej. Urząd to był ważny, do którego polecała go królowi umiejętność i czynność, jaką okazał w swoich własnych interesach; zadanie bowiem prezesa kamery było arcytrudne. Finanse kró-

---

<sup>1)</sup> Podniósł swój majątek głównie założeniem wielkich kuzien.

lewskie, lekko obliczone na 6 milionów złotych polskich rocznego dochodu, były w takim nieładzie i tak obdłużone, że Stanisław August żył już tylko coraz nowymi długami. Ostrowski położył tamę rozkradaniu, zagnął króla do oszczędności, wykrył nowe źródła dochodów i w ciągu lat paru znaczną część długów spłacił przytem, a królowi dostarczał ile potrzeba było na okazałe utrzymanie dworu i na jego gusta artystyczne. Król marnotrawca nieuleczalny, dający się wyzyskiwać przez niesłychaną słabość charakteru, intrygantem wszelkiego rodzaju i wszystkim ładnym a zepsutym paniom swojego dworu, nie przestał robić długów, które go ścigały jeszcze w Grodnie i w Petersburgu, lecz kraj ocenił zdolność i gorliwość zawiadowcy jego dochodów i głos ogólny domagał się, aby mu powierzono zarząd Skarbu publicznego; jakoteż po uchwaleniu konstytucyi 3-go maja, gdy Sejm ustanowił w miejsce Rady nieustającej Radę z pięciu ministrów, przezwaną strażą, która miała być nieodstępna przy królu, Ostrowski, już wtenczas podskarbi N. K., został powołany do tej straży jako minister skarbu i wybór ten zyskał poklask ogólny)<sup>1</sup>. Głównem wtenczas zajęciem Sejmu było uorganizowanie Obrony kraju. Uchwalono na to potrzebne podatki, które jednak, jak zwykle, bardzo leniwie wpływały do Skarbu. Pod zarządem Ostrowskiego Skarb się napełniał i na jednym posiedzeniu Sejmu, gdy się odezwały głosy powątpiewania, żeby w skarbie były dostateczne fundusze na prowadzenie wojny, Ostrowski zadeklarował na własną odpowiedzialność, że ma w skarbie dostateczne fundusze na rok kampa-

---

<sup>1</sup>) Poświadczają to: Autor dzieła o Ustanowieniu i upadku konstytucyi 3-go maja str. 91 i Ferrand w swojej *Histoire des trois demembrements* T. III.

nii. Dodajmy, że do składek, które się wtenczas ze wszystkich rąk sypały na potrzeby kraju, podskarbi N. W. K. dorzucił 100,000 zlp. ze swojej prywatnej szkatułki. Kampania jednak 1792 r. nie powiodła się i Targowica wzięła górę. Nikczemny król do niej przystąpił, a Sejm Grodzieński odsądził Ostrowskiego od podskarbiostwa i ministerstwa w straży; na jego miejsce zamianował Załuskiego. Ostrowski wrócił do prywatnego życia i pojechał do swoich dóbr Tetyowa na Ukrainie, a ztamtąd do Ujazdu w pruskim zaborze, bo Ostrowski wśród swoich zatrudnień na wysokich urządach, jakie piastował, nie zaniedbywał pomnażać swojego majątku; miał wielkie dobra w różnych częściach Polski, ale zarzucić mu nie można, żeby się wzbogacił czerpiąc w mętnych źródłach. Przeszedł on trudną epokę Stanisławowską z czystymi rękami i imieniem bez zmayı. Nie przyjął nawet orderów zagranicznych pierwszorzędnych, któremi go kuszono. Skarb zaś Rzeczypospolitej nigdy może nie był lepiej zaopatrzony, jak za jego krótkiego podskarbiostwa—co najwymowniej świadczy, że nim bezinteresownie zawiadywał. Tajemnicą wielkiego rozrostu jego majątku było umiejętne gospodarstwo rolne i przemysłowe, wielka rządność w domu i bardzo niskie ceny dóbr ziemskich, z których korzystał, żeby nabywać zaniedbane, a wielkie zyski rokujące, obszary ziemi, jak Tetyowczyznę na Ukrainie, lub Ujazd w Wielkopolsce, obfity w rudę żelazną, którą się nikt nie zajmował, i takowe dobra ogromnie podnosił, tak, że mu się po kilku latach wielokrotnie opłacały<sup>1)</sup>. Przeszedł

1) Był także dziedzicem Helenowa pod Warszawą. W dodatku umiał dzieci dobrze wyswatać; starszego syna, Antoniego, ożenił z bogatą panną Morską, urodzoną z Dzie duszyckiej, którą pani starościna Opinogórska, jeżeli sobie czytelnik przypomina, upatrzyła na synową dla siebie, a jedną z córek wydał za Aleksandra Potockiego, ministra policyi.

i pruską epokę z niezachwianą godnością; przysięgi nawet homagialnej grubemu Wilhelmowi, której od niego wymagano, nie złożył, pod pozorem, że jest poddanym dwóch państw. Wilhelm jednak, objeżdżając zabrane na Polsce prowincje, raczył go odwiedzić w jego domu w Ujazdzie, gdzie spokojnie zajmował się dobywaniem rudy żelaznej z nadzwyczaj bogatych żył, które, jak wspomnieliśmy, znalazł w tym majątku i wychowaniem liczego swojego potomstwa. Nie kwapił się także Napoleonowi służyć. Po wejściu Francuzów do Warszawy wezwał go Murat, książę Bergu, ażeby objął prezydencję Izby wojennej administracyjnej, którą formował. Ostrowski przyjął w pierwszej chwili nominację, ale zastanowiwszy się, że Napoleon do niczego się jeszcze względem Polaków nie zobowiązywał, nominację tę Muratowi odesłał, a prezesem tej Izby wojennej został L. Gutakowski. Dopiero gdy Napoleon ustanowił Księstwo Warszawskie i nadał mu konstytucję, a król saski wprowadził ją w wykonanie, dawny podskarbi nadworny wyszedł ze swego wyczekującego stanowiska i na Sejmiku w Warszawie postawił swoją kandydaturę na posła z miasta Warszawy. Został wybrany jednogłośnie, a król saski bez wahania się zamianował go marszałkiem Sejmu.

Otwarcie Sejmu odbyło się podług przepisu, ułożonego przez Łubińskiego, który w całym tym obrzędku zdawał się grać rolę kanclerza wielkiego. Opisuje on go w swoim Paniętniku w następujący sposób:

„Minister Łuszczewski ściśle trzymał się w obrzędku wskazanego przezemnie przepisu. Wysłana była deputacya tak od Senatu, jako i od posłów na spotkanie króla. Orszak królewski wyruszył w porządku następującym: Ministrowie Księstwa Warszawskiego szli przed królem, za nimi minister Senft-Pilsach i osoby cesarskiego (Napoleońskiego) dwo-

ru. Marszałek (nadworny Jan Nepomucen Małachowski) i szambelanowie. Senat, posłowie i deputowani od ludu z największem przyjęli króla uszanowaniem. Królowa i królowna siedziały w łoży naprzeciw tronu, król zasiadł na tronie; po prawej jego stronie ministrowie: sprawiedliwości, wojny i policyi, po lewej ministrowie: spraw wewnętrznych, skarbu i sekretarz stanu; naprzeciw tronu zajęli miejsca na dwóch krzesłach: prezes Senatu i marszałek Izby poselskiej. <sup>1)</sup> Za danym przez króla rozkazem, pokłoniwszy mu się nisko, odezwałem się: Jego Królewska Mość, Pan nasz miłościwy, mówić będzie. Minister sekretarz stanu podał królowi mowę i na swe miejsce wrócił, król czytał mowę ułożoną przez nas na radzie ministrów, nic w niej nie odmienił, chciał tylko ortografię poprawić (była to jego niewinna mania); ledwo mu wyperswadowali. Dobrze donośnym głosem ją powiedział. Po skończonej mowie pokłoniłem się znów królowi i powiedziałem: Sejm już jest rozpoczęty; wzywam senatorów do przysięgi. Służba królewska podała taburet aksamitny karmazynowy, na którym położony był Pan Jezus na krzyżu. Senatorowie przystąpili do przysięgi. Gdy przyklękli, król wstał z tronu a ja podyktowałem głośno przysięgę. Potem król znów usiadł; przystąpiono do ucałowania ręki królewskiej. Oddałem moim konsyliarzom rotę przysięgi a oni podali mi listę wszystkich przystępujących do ucałowania ręki, chciał albowiem król wiedzieć każdego nazwisko. Skoro skończył Senat, marszałek Sejmowy zbliżył się do tronu, stanął po prawej rece króla i wzywał posłów i deputowanych porządkiem departamentów i powiatów, musiałem jeszcze wymienić nazwisko każdego z przystępujących. Wiel-

---

<sup>1)</sup> Szczegół ten wyjmujemy z innego opisu.

kie było zdziwienie króla a bardziej jeszcze Senfta-Pilsach'a, gdy zwolna zaczął przystępować obciążony wiekiem deputowany. Król żałował, że trudno mu iść po stopniach i zapytał, kto jest ten starzec. Odpowiedziałem jak było, że rzeźnik. Król aż się cofnął na tronie. Senft pojąc nie mógł, jak można do ucałowania ręki królewskiej go przypuścić; był deputowanym, to maskowało jego profesję. <sup>1)</sup> Pomogłem mu do zejścia ze stopni. Po ukończeniu tego nudnego obrządku, król, uroczyście przyjęty, z równą uroczystością został odprowadzony. Rozłączyły się Izby i zajęły właściwą czynnośćą.“

W opisie swoim pominął Lubieński jeden szczegół charakterystyczny: W tym Sejmie, zgromadzonym w lat 17 za ledwie po zalimitowaniu Sejmu konstytucyjnego, dwóch już tylko członków było w konтусzach; w Senacie Radziwiński, ostatni Wojewoda Gnieźniński, zeszyły na kasztelana za Księstwa Warszawskiego; w Izbie poselskiej Szepietowski, poseł Łomżyński <sup>2)</sup>. Alenie tylko posłowie i senatorowie przedstawiali się w innych ubiorach jak za Rzeczypospolitej, formy same tego Sejmu i duch, który go ożywiał, były zupełnie inne jak dawniej.

Przypomnijmy sobie, że, podług konstytucyi Napoleońskiej, inicjatywa praw wychodziła od rządu, to jest od Monarchy i Rady Stanu, której wszyscy członkowie zasiadali z prawa w Sejmie i głosowali z posłami. Z nimi rozprawiać wolno było tylko 15-tu komisarzom, wybranym przez Izbę poselską ze swojego łona; inni poprzestawać mu-

---

<sup>1)</sup> Dziwić się należy tej pogardzie dla profesyi rzeźnika, która nie jest więcej hańbiącą od innych, a uczciwszą od wielu.

<sup>2)</sup> Pamiętniki rękopiśmienne Leona Dembowskiego, kasztelana za Królestwa konstytucyjnego.

sieli na głosowaniu bez żadnych frazesów, za, lub przeciw projektom rządowym. Wybór też owych 15-tu komisarzy dopełniał ukonstytuowania Sejmu. Przedtem jednak minister spraw wewnętrznych, Łuszczewski, zagaił sesję Izby poselskiej mową, w której wystawił we właściwym świetle postęp organizacji kraju, poprawy zaprowadzone w nowym prawodawstwie, zaprowadzenie w szkołach języka narodowego, starania Izby edukacyjnej około szkółek parafialnych, ale nie zataił smutnego stanu kraju pod względem finansowym i zapowiedział potrzebę konieczną ciężkich jeszcze ofiar ze strony narodu. Izba przyjęła mowę ministra z wielkiem uznaniem, następnie przystąpiła do wyboru komisarza. Wybrano tych, którzy się najwięcej odznaczyli znajomością spraw krajowych, rozumem i energią. Wymienimy tych, którzy najważniejszą między nimi odegrali rolę. Byli to Stawiarski i Zwierzchowski adwokaci; Bniński, Ciechomski i Godlewski, obywatele ziemscy. Dla szybkiego i łatwiejszego przeprowadzania spraw, podzielili się komisarze na trzy podkomisye po pięciu w każdej, do spraw administracyjnych, sprawiedliwości i skarbu. Sprawy ministerjum wojny i policji usunięto z pod kontroli Izby. Stosownie do rodzaju projektu, wnoszonego przez Rząd, Rada Stanu znosiła się najprzód z właściwymi komisarzami i przyjmowała lub odrzucała zmiany, jakie w projekcie zaprowadzić chcieli; następnie radcy stanu wnosili projekt w Izbie, objaśniali jego powody i bronili go przeciw komisarzom oponującym, argumentując wszakże we własnym tylko imieniu, tak, że porażka jednego z nich nie dotykała solidarnie całej Rady Stanu. W praktyce pokazała się wnet słaba strona prawa ograniczającego liczbę mówców w Izbie, każda bowiem rzecz, choćby najlepsza, ma swoją słabą stronę. Komisarze, czując ogromną odpowiedzialność, jaka ciążyła na nich przed narodem, stali się nieubłaganyymi cenzo-

rami rządu. Była to opozycja, która z samej konstytucyi wyrosła była i z którą się połączyła opozycja po za sejmowa, mianowicie znana nam już owa obradująca w Krasińskim ogrodzie. Ci panowie zbierali skrzętnie materyały do krytyk rządu i komunikowali je komisarzom: Godlewskiemu, Ciechomskiemu i Stawiarskiemu, z których każdy w innej podkomisyi zasiadał. Najgłośniejszym z nich, bohaterem walk parlamentarnych za Księstwa Warszawskiego, stał się Godlewski, poseł Maryampolski. <sup>1)</sup> Był to człowiek młody, którego powierzchowność nie zapowiadała wcale szermierza, blondyn, wysokiego wzrostu, z regularnymi, drobnymi rysami twarzy i układem spokojnym. Nie posiadał wcale daru wymowy; czytał swoje mowy arcydługie głosem piskliwym i przewlekłym, akcentem litewskim. Nie roznamiętniał też, nie porywał za sobą Izby, ale przekonywał, bo doskonale z finansowością Księstwa był obeznany i bił niezbitemi argumentami na nierząd skarbu; dowodził np., że na dostawy żywności dla wojska i lazaretów brano wszystko na kredyt na ogromne ceny; nie oszczędzał władz wojskowych francuskich, zostawionych w kraju, ordonatorów, komisarzy wojennych, kendantów placu w Warszawie i w innych znaczniejszych miastach, którzy szarpali skarb bez miłosierdzia — zwłaszcza za pobytu korpusu Davout'a w Księstwie — nie zdając nikomu rachunku z danych im pod przymusem funduszów; występować zaś przeciw nadużyciom władz francuskich, choćby z jawnymi dowodami w rękę, było natenczas wielką odwagą i ta odwaga powszechnie się podobala. „W kilku dniach, powiada Dembowski, Godlewski stał się gotęgą,“ co pokazuje, że ogranicze-

---

<sup>1)</sup> Posłował on jeszcze za Królestwa aż do ostatniego Sejmu, ale już nie z dawnym rogiem.

nie liczby mówców w Izbie do kilkunastu, do kilku nawet, przynosi wprawdzie wielką oszczędność czasu, ale nie jest środkiem zapobiegającym nieumiarkowanej opozycji w tejże Izbie, i owszem, posłowie mając głos, sądzą się obowiązani do opozycji, jak to zauważyliśmy wyżej, a ci, którzy skazani są na milczenie, urażeni w swojej miłości własnej, że im usta zamknięto, byliby w innych okolicznościach niewątpliwie bardzo pochopnymi iść za przywódcami tej opozycji.

Szczęściem tak nie było na Sejmie 1809 roku. Posłowie na ten Sejm wybrani mieli tylko dobro kraju na celu. Widzieli oni, że opozycja przechodzi po nad głowami ministrów, nad głową nawet nadanego krajowi Monarchy i godzi we wszechwładzę Napoleona, od którego byt małego Księstwa zależał i nie dali się jej porwać, lubo czuli dobrze, że była sprawiedliwą. Dwa razy tylko w ciągu dwutygodniowego trwania Sejmu było zajście Izby z Rządem, ale w kwestyach dotyczących się wyłącznie jej godności i w których miała zupełną słuszność. Pierwszy raz chodziło o paragraf jeden konstytucyi, który w literalnem brzmieniu w niwecz obrócić mógł, gdyby się to królowi podobało, całą i tak już szczupłą władzę Izby. Konstytucya wyrzekła, iż radcy stanu mają prawo zasiadać w Izbie poselskiej i głosować, a nie określiła ich liczby; pierwotnie radcami stanu byli tylko ministrowie, ale w następstwie król mianował kilku innych radców stanu i ci także głosowali na Sejmie, co się logicznie usprawiedliwić nie dawało, a przez to samo obrażało reprezentantów kraju, których władza opierała się na mandacie, danym im od współobywateli. Wszystkim nasuwała się uwaga, że skoro każdy radca stanu mianowany przez króla, ma prawo głosować w Sejmie, a liczba ich nie jest określona, przeto król może ich mianować tyle, ile mu potrzeba będzie dla otrzymania zawsze większości głosów w Izbie. Za-

pewne trudno było przypuścić, ażeby Monarcha, znany z prawości i zacności swojego charakteru, podobnej broni się chwycił, lecz samo istnienie tak nieokreślonego paragrafu w konstytucyi zmniejszało powagę Izby, a przyszłości groziło jej możebnem unicestwieniem. Zmówili się więc posłowie i deputowani, żeby głosowaniu radców stanu nie ministrów oprzeć się milcząco, ale stanowczo; jakoteż na piątym posiedzeniu Izby 15-go marca, gdy miano przystąpić do głosowania nad jedną z ustaw, wniesionych przez Radę Stanu, jeden z komisarzy, poseł Jabłonowski, odezwał się, że radcy stanu nie ministrowie, głosować nie powinni, a wszyscy posłowie i deputowani przywtórzyli im chórem. Marszałek Ostrowski, zmieszany zawołał, że: „nowej materji wnosić nie godzi się, dopóki rozpoczęta załatwioną nie jest“ i dodał: „uczynione spostrzeżenia odniosę do tronu, lecz przedtem, jako pierwszy poseł przystępuję do głosowania.“ Na to posłowie i deputowani opuścili swoje ławki i zebrawi się w pośrodku Izby w milczeniu. Daremnie marszałek z laską w rękę wszedł między nich i prosił wszystkich, błagał, zaklinał, żeby wrócili na miejsca i głosowali. Wszyscy mu odpowiadali jednozgodnie, że póty nie ustąpią, póki król ich nie zapewni, że nigdy więcej radców stanu głosować w Izbie nie będzie nad sześciu ministrów; to jest licząc i ministra sekretarza stanu; marszałek widząc, że nie przełamie postanowienia Izby, posłał do króla doniesienie o tem, co zaszło. Król, zakłopotany, wezwał do gabinetu swego rezydenta francuskiego, ażeby rady jego zasięgnąć. Pan de Serre, wywiedziawszy się dokładnie o co idzie, przyznał, że żądanie Izby jest słuszne; wtenczas król, nie wahając się już dłużej, kazał przywołać marszałka i upoważnił go, po dwóch godzinach oczekiwania, do oświadczenia Izbie, że się przychyła do żądania. Natychmiast uspokoiła się Izba, posłowie i deputowani wrócili na swoje miejsca i rozpoczęto głosowa-

nie, a król, dotrzymując słowa, tegoż samego dnia wydał stosowny dekret. <sup>1)</sup>

Drugie zajście mniej miało doniosłości, ale było żywszem; komisarz Godlewski wymierzał ostrą filipikę przeciw pewnemu wnioskowi, wprowadzonemu przez radcę stanu Linowskiego, człowieka rozumnego, znanego z patriotyzmu, posła z czteroletniego Sejmu i zasłużonego w Kościuszkowskim powstaniu, ale który, jak powiada Koźmian, był nader żywego i drażliwego charakteru, nie umiał się powściągać, łatwo się sam urażał i łatwo drugich obrażał <sup>2)</sup>. Linowski wybuchnął gniewem i rzekł do Godlewskiego, że wniosek tak ostro przez niego ganiony wypracowany był przez ludzi, którzy już wielkie położyli w kraju zasługi, kiedy on był jeszcze *smarkaczem*. Cała Izba na to zawrzała, powstał hałas ogromny, Lubiński, który obu zapaśników nienawidził, pobiegł czempredzej do króla z raportem. Król odesłał Lubińskiego napowrót do Izby i przydał mu Brezę, ażeby pojednali zwaśnionych i całą sprawę załagodzili. Obydwaj nakłonili Linowskiego ażeby wyszedł z sali obrad i tem burzę zażegnali, Godlewskiego zaś uprosili, aby urazy zapomniał. Młody zapaleniec, jak go nazywa Lubiński, tak skorym się okazał do zapomnienia, iż za jego wdaniem się Izba zaprosiła Linowskiego, ażeby wrócił, a Godlewski sam pierwszy rękę mu podał.

Prócz tych dwóch zajęć posiedzenia Sejmu odbyły się spokojnie, z wielką godnością, i wszystkie wnioski rządu przyjęte zostały ogromną większością, zmiany poczynione przez Lubińskiego w Art. 9

<sup>1)</sup> Dembowski, Pamiętniki rękopiśmienne.

<sup>2)</sup> Koźmian, Pamiętniki, T. II., str. 144. 2. Lubiński, Pamiętnik, str. 225, w porównaniu z Morawskim. Dzieje Narodu Polskiego. Tom V, str. 90.

Kodeksu Napoleona, tyczącym się aktów cywilnych, przeszły większością 105 głosów przeciw 2. Na wniosek tego samego ministra zachowano prawo karne pruskie, złagodziwszy tylko co było w nim zbyt barbarzyńskiego, a między innymi kary cielesne. Przyjęto zaś Kodeks handlowy francuski. Na wszystkie projektowane przez Rząd podatki zgodziła się Izba bez najmniejszego szemrania i prawie jednomyślnie. Nietylko przyjęto *ofiarę* z dóbr ziemskich i majątków duchownych podniesioną w dobrych czasach przez rząd pruski do 24 grosza, tudzież łanowe i inne stałe podatki, opłacane temuż rządowi, lecz podwojono podymne (po wsiach powiększono je tylko o jedną trzecią). Z podatków niestałych zachowano w dawnej kwocie dochody z ceł, z akcyzy od rzezi, czopowego po miastach, z papieru stempłowego, a powiększono o 4,200,000 złp. *ofiarę* na wojsko; zaprowadzono patentowe na profesjonistów, pobór osobisty na twierdze 2,300,000 złp., sepy na wyżywienie wojska w ilości 300,000 korcy zboża, 550,000 centnarów siana i słomy. Zgoła zawotowano czterdzieści ośm milionów podatku, nierównie więcej zatem powiada z goryczą Teodor Morawski, niżeli za Sejmu konstytucyjnego, kiedy tak obszerne było państwo, kiedy naród niedotknięty był zniszczeniem wojennem a o jestestwo jego chodziło <sup>1)</sup>. 24-go marca zakończył król obrady mową, która mu z serca wypłynęła. „Izba poselska, rzekł Fryderyk August, Ojczyzna winna ci wdzięczność za dowiedzioną gorliwość: dodałaś chwały narodowi a ozdoby mojemu panowaniu,“ i miał słusność, Sejm 1809 r. był jednym z najwybitniejszych i najwznioślejszych objawów odradzającego się ducha polskiego. „Wrażenie, jakie sprawiał na publiczności, powiada L. Dem-

<sup>1)</sup> Morawski, Dzieje narodu Polskiego. Tom VI., str. 89:

bowski w swoich Pamiętnikach, było niesłychane. Wszyscy się cieszyli i entuzjasmowali z tego przypomnienia dawnych obrad z najpiękniejszych czasów Rzeczypospolitej. Od początku do końca Sejmu galerie i wszystkie zakątki Izby przepelniali arbitrowie (publiczność), najwięcej widywano dam, przysłuchujących się rozprawom ze szczególnem zajęciem, tak, że nieopuszczały od rana do wieczora raz zajętego miejsca.“

Dodamy jeszcze jeden szczegół z tychże Pamiętników, malujący ojcowską dobroć króla. Nie było ani w zamku, ani w pobliżu, miejsca, gdzieby się posłowie i deputowani posilić mogli, a obrady trwały po całych dniach. Marszałek zamkowy, Broniec, sławny gastronom, zwrócił na to uwagę króla zaraz po pierwszym posiedzeniu Sejmu, gdyż przechodząc się między posłami, usłyszał narzekania, że są głodni, a przysłowie mówi, że kiedy Polak głodny, to zły. Zaraz też nazajutrz wydał król rozkaz, ażeby zastawiono dla posłów śniadanie w salach bocznych przy Izbie senatorskiej. Odtąd codziennie ustawione tam były na ogromnych stołach półmiski ze śledziami, rybami marynowanymi, szynkami, salcesonami, serem, kawiozem, flaszki z wódkami, wina białe i czerwone, a roznoszono buliony i parę ciepłych potraw. Obfitość wszystkiego byta taka, że nie tylko senatorowie, posłowie, deputowani, Rada Stanu, ale i większa część arbitrow, mianowicie dam, posilała się dowoli.

Wkrótce po zamknięciu Sejmu nastąpiły niektóre zmiany w Radzie Stanu. Sędziwy Gutakowski, zmęczony mozolnymi obradami, złożył w ręce króla swoją dymisyę z prezesostwa Rady Stanu, którą król przyjął i na miejsce jego zamianował Stanisława Kostkę Potockiego. Gutakowski zaś, chcąc zużytkować na dobro kraju ostatnie lata życia związał Towarzystwo rolnicze i w niem prezydował. W czerwcu t. r. zmarł zacny Tadeusz Dembowski

minister skarbu i tekę po nim powierzył król na przedstawienie Rady Stanu Janowi Węgleńskiemu, konsyliarzowi w ministeryum skarbu i radcy stanu. Nowy ten minister, przed kilku laty zupełnie w kraju nieznany, przez tak szczególne przeszedł koleje, że nadmienić nam o nich należy i dać jego wizerunek, przedstawiający typ zupełnie nowy wśród ludzi staroświeckich, składających Radę Stanu. Pójdziemy w tem głównie za Koźmianem, który go znał od lat młodych, później, za ministerstwa jego w ciągłych z nim był stosunkach, a nie mając dla niego ani zbytnej przyjaźni, ani żadnego powodu do urazy i owszem zeznaje on, że Węgleński okazywał mu zawsze wiele uprzejmości, znajdował się więc, opowiadając różne o nim szczegóły, w warunkach zupełnej bezstronności — co mu się nie zawsze zdarzało.

Jan Węgleński należał do szlachty prawniczej na Rusi, miał brata Franciszka, głośnego w swoim czasie adwokata we Lwowie, nietylko z wymowy, która w ówczesnych przedajnych sądach niemieckich w Galicyi i w Wiedniu nie była zbyt potrzebna, jak, że znał cenę każdego sędziowskiego sumienia i najgorsze sprawy brzęczącymi argumentami wygrywał; w życiu zaś prywatnem był cynikiem, hulaką, wyuzdanym rozpustnikiem, w którego wiejskim domu pod Lwowem, przewanym przez niego „Pohulanką,“ gromadziło się, co było najrozwiązlejszego w tem mieście, a częstokroć sędziowie i strony spotykali się tam na obrzydliwych orgiach. Obaj bracia byli razem z Koźmianem uczniami Akademii Zamoyskiej, następnie krótki czas razem jeszcze w palestrze lubelskiej, poczem Koźmian stracił ich z oczu i przez lat kilkanaście nie widział. Przy schyłku panowania pruskiego w Warszawie przyszły autor ziemianstwa był w Boćkach, dobrach Jana Potockiego, starościca szczyrzeckiego. Boćkami zarządzał z nieograniczonem pełnomocnictwem tak zwany pan Bu-

dzyński, którego cała okolica dosyć nachwalić się nie mogła. Nikt dobrze nie wiedział, z kąd on się wziął, tylko wieść cicha krążyła, że przybył czy to z legionów włoskich, czy z Francji; że się ukrywa pod przybranem nazwiskiem, ażeby uchronić się przed pruskiem prześladowaniem, ale, że jest rzeczywiście jakąś osobistością znakomitą z emigracyi.

Tego wszystkiego domyślano się z jego rozmów w poufałym kółku, w którym nie taił się, że przebywał długo za granicą i opowiadał rzeczy bardzo ciekawe, zakulisowe, o wypadkach zachodnich, o Napoleonie, o heroizmie legionów, a opowiadaniom swoim nadawał pewną barwę mistyczno-patriotyczną, która działała szczególnie na wyobraźnię młodych ludzi; starym przypodobać się umiał grzecznością, układnością, umiejętnem trafianiem do myśli każdego. Nie byłoby to jednak wystarczająco, ażeby z niego zrobić wyrocznię, jaką był dla znacznej części Podlasia, lecz mniemany Budzyński zaimponował szlachcie swoim nowym systemem gospodarowania i administrowania wielkim majątkiem: pozakładał fabryki, sprowadził do nich cudzoziemców, gospodarstwo rolne przerobił na wzór zagranicy, a co najbardziej wszystkich otumanilo było to, że dziedzicowi Boćków, któremu majątek ten dawniej niewiele przynosił, dostarczał obficie pieniędzy na przepych, zbytki, zabawy, panujące na ten czas, jak wiadomo, nad brzegami Wisły. Pan staroście szczyrzecki lubił bardzo takie życie, jak wszyscy Potoccy, przytem był świeżo ożeniony z księżniczką Czartoryską, z linii Koreckiej, córką zacnego, powszechnie szanowanego księcia Józefa Czartoryskiego, i to mu do tych uciech i zbytków ciągle nastęrczało powody, zimą w Warszawie, latem za granicą, lub w swoim pałacu Boćkowskim. Był też uszczęśliwiony z Budzyńskiego i sławił go jako perłę rządców, niezrównanego ekonomistę, genialnego finansistę. Brat jego, Feliks, ożeniony z Pacówną, oddał był tak-

że w zarząd panu B. swój majątek i był niemniej nim zachwycony, a cała okolica wtórowała dwom starościcom w pochwałach dla niego. Wszyscy przekonani byli, że potrafił stworzyć bogactwa na niewdzięcznej Podlaskiej glebie i zaczęli go mniej lub więcej naśladować.

Owóż ów mistrz-czarodziej nie był kto inny, jak dawny kolega Koźmiana z Akademii Zamoyskiej, Węgleński, lecz Koźmian go nie poznał. Pamiętał go młodzieńcem w kapocie lub w kontuszu, z podgoloną czupryną; a tu widział człowieka czterdziestoletniego, w peruce fryzowanej, w stroju francuskim, bardzo wykwintnym, i umiającego postępować z ludźmi ze sztuką doświadczonego bywalca. Rysy twarzy jego nie były mu obce, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go znał.

W kilka lat później, po przyłączeniu Krakowa i tak zwanej Zachodniej Galicyi do Księstwa Warszawskiego, Koźmian powołany na referendarza do Rady Stanu, przybył do Warszawy i zastał tam dawnego rządcę Boćków ministrem skarbu, już pod swoim własnym nazwiskiem, Jana Węgleńskiego. Zapewne na tej tak zmiennej scenie społeczeństwa polskiego, dawny jego szkolny kolega wydać mu się musiał jednym z najosobliwszych aktorów, godnym bliższego zbadania. Nie dowiedział się jednak, gdzie on przebywał i co robił, zniknąwszy z palestry lubelskiej, ani też jakim sposobem, ukrywając się pod pseudonimem, mógł pozyskać zaufanie Feliksa Potockiego do tego stopnia, że mu powierzył zarząd swojego znacznego majątku z nieograniczonym pełnomocnictwem.

Ten rozdział w życiu Jana Węgleńskiego został tajemniczym dla Koźmiana. Wyjaśnia go trochę Dembowski. Po ostatnim rozbiórze kraju, palestrant Węgleński zaawanturował się do Paryża, gdzie już od 1795 r. była emigracja polska, złożona z niektórych rozbitków z czteroletniego Sejmu i z Kościusz-

kowskiego wojska, z którymi połączyła się pewna liczba krzykaczy i intrygantów, pozbawionych przeszłości w kraju, a nie czujących w sobie dosyć rycerskiego ducha, ażeby wstąpić w szeregi legionów. Emigracya ta podzieliła się na dwie koterye, jak późniejsza na dwa obozy, jedna kupiła się około Bars'a, dawniej pełnomocnika Kościuszki, a następnie także pełnomocnika Dąbrowskiego i była właściwie agencją legionów, druga miała za przewodnika kasztelana Mniewskiego, wielkiego patryotę, ale zagorzałego, przejętego teoryami Jakobinów, z którymi był w związku i który pracował nad tem, ażeby w krajach polskich wywołać rewolucyę socyalną, a następnie stworzyć siłę ludową, zdolną odzyskać ojczyznę <sup>1)</sup> tak zupełnie, jak później Mierosławski. Obie koterye tytułowały się deputacyami od kraju i były między sobą — ma się rozumieć — w zażartej wojnie; bronią *deputacyi* Mniewskiego były kabały, intrygi, oszczerstwa; nie oszczędzała ona ani Dąbrowskiego, ani nawet Kościuszki; chciała raz przeciwników swoich zapoznać przed kratki *konwencyi*, a gdy się to jej nie udało, usiłowała uprzętnąć przynajmniej Bars'a i tym sposobem unicestwić gromadzącą się około niego koteryę. W kraju, gdzie nie znano dobrze jej celów, zyskała zabieглиwością swoją popularność i dokazała tego, że składki płynęły ztamtąd przeważnie dla niej <sup>2)</sup>. Łatwo domyśleć się, że Węgleński przyłączył się do koteryi czyli *deputacyi* Mniewskiego. W krótkim czasie potrafił on swoją adwokacką wymową, ubarwioną, jak widzieliśmy, pewnym poetycznym mistycyzmem i umiejętnością ujmowania sobie ludzi, pozyskać wziętość i wpływ między tymi zapaleńcami i krzykaczami. Wysłano

1) Morawski, Dzieje Narodu Polskiego. T. VI. str. 15.

2) Morawski, Dzieje Narodu Polskiego. T. VI, str. 15.

go za składkami do Wenecyi, gdzie przebywało kilku możnych panów, poświęconych krajowi i niezbyt dalekich natenczas od teoryi rewolucyjnych francuskich, mianowicie: Stanisław Soltyk, Michał Ogiński, który jeździł do Konstantynopola, wysłany przez obie deputacye raz jeden złączone pod naciskiem francuskiego rządu <sup>1)</sup> i Piotr Potocki, starosta szczyrzecki. Węgleński umiał sobie zaskarbić ufność tych panów, szczególnież też zacnego, dobrodusznego, całą duszą wylanego dla ojczyzny, ale nie bardzo przenikliwego starosty szczyrzeckiego. Ten powziął bardzo wysokie wyobrażenie o zdolnościach Węgleńskiego, równie jak i o jego chęciach dla kraju i w rezultacie udzielił mu znaczną sumę na cele *deputacyi* Mniewskiego. Nadmienić nam należy, że starosta miał przy sobie starszego syna, Jana, wówczas młodzieniaszka, w którego pamięci utkwic musiał ten emisaryusz patryotyczny, jakim mu się wydawał Węgleński, a którego ojciec jego tak wysoko cenił.

Węgleński wrócił do Paryża i przebył tam jeszcze lat kilka, obracając się na wszystkie strony w próżni, nakoniec gdy spostrzegł, że Francuzi poświęcili zupełnie sprawę polską, a wywołanie rewolucyi socyalnej na polskiej ziemi pod rządami obcemi, ale silnemi i czujnemi, jest niemożliwem, gdy przytem i funduszu mu zabrakło na dalszy pobyt w Paryżu, zdecydował się odstąpić od swoich ambitnych widoków i wrócić do ojczyzny. W Bawaryi, gdzie jakiś czas zabawił w przejeździe, wyrobił sobie paszport pod nazwiskiem Budzyńskiego; zapewne wyjednał sobie także list od starosty szczyrzeckiego do syna, i na kilka lat przed wejściem Fracuzów do Warszawy przyjechał do Boćków.

---

<sup>1)</sup> Chodziło o uzyskanie od Porty na sprawę polską 50 milionów piastów pożyczki, oraz broń do zamierzonego powstania.

Następny rozdział w życiu Węgleńskiego jest dostatecznie jasny w opowiadaniu Koźmiana. Pieniądze, których tak obficie dostarczał braciom Potockim, a mianowicie Janowi, nie pochodziły ani ze zmian, jakie pozaprowadzał w gospodarstwie, ani z fabryk, jakie pozakładał, — gdyż te, zamiast przynosić obiecywane zyski, przykładały się owszem w znacznej mierze do ruiny ich majątków, — ale wprost z kas pruskich, które, jak wiadomo, pożyczaly obywatelom, na niski procent ile tylko zmieścić się mogło długu na hipotece. Gdy kasy pruskie zaczęły Węgleńskiemu odmawiać kredytu, uciekał się do starodawnego polskiego źródła, do Żydów, i w tem wszystkim nie potrzebował się odwoływać do Potockich, mając od nich nieograniczone pełnomocnictwo.

Zbliżała się wszelako godzina spłaty wszystkich długów, tak nieogłędnie zaciągniętych przez szlachtę polską w kasach pruskich. Otchłań, wykopana z taką przebiegłością szatańską, otwierała się pod jej majątkami, i wraz z innemi klucz Boćkowski byłby w nią runął bez ratunku. Na szczęście szlachty i panów naszych, fatalną tę godzinę uprzędziło wejście do Warszawy Francuzów. Korzystał z tego Węgleński, nietylko, ażeby się wycofać z chaosu, w jaki wprowadził Boćki, ale jeszcze, aby pochwycić jaką dobrą posadę przez protekcję dobroduszných, łatwowierných i najczystszyim patryotyzmyim przejętych starościców Szczerzeckich. Dnia jednego oświadczył im, że zmuszony ukrywać swoje właściwe nazwisko za panowania Prusaków dlatego, że przez swoje ważne działania w emigracyi był wielce w oczach rządu skompromitowany, teraz nie ma przyczyny ani ukrywać swojej osoby, ani tacić dłużej kim jest, owszem radby bardzo swoje słabe zdolności i nabyte doświadczenie obrócić na usługi kraju. Co zaś do interesów majątkowych obu braci, przyznał, że je pozostawia trochę zawikłane; ale to

wina czasów, okoliczności i wreszcie samych panów starościców, którzy zbytecznie pieniędzmi szafowali. Zapewniał jednak, że urządzenia przez niego zaprowadzone przyniosą w bliskiej przyszłości takie plony, iż nie tylko pokryją długi, ale w dziesięćkroć pomnożą dochody.

Starościce wzięli to wszystko za dobrą monetę, nie zadali sobie pracy wejrzeć bliżej w swoje interesa, ufności w Węgleńskim bynajmniej nie stracili, przeciwnie, przyklasnęli serdecznie jego projektowi zużytkowania swoich wielkich talentów na szerokiem polu służby publicznej, i przyrzekli polecić go jaknajgoręcej swemu krewnemu, Stanisławowi Kostce Potockiemu. Przyrzeczenia szczerze dotrzyмали i trafili w dobrą chwilę. W Komisji Rządzącej, złożonej z ludzi zacnych i zasłużonych, brak było głowy finansowej. Dyrektor wydziału skarbowego, Dembowski, dawny kasztelan czechowski, prawy obywatel, nieposzlakowanego patryotyzmu, ale nie finansista, przytem stary, schorzały, wielce był zakłopotany ciężarem, jaki nań włożono. Pan Stanisław Potocki zaś, trochę lekkomyślny przy swoim wielkim rozumie, po wysłuchaniu pochwał, któremi blizcy mu starościce obsypywali swojego rządcę, uradował się, że się znalazł przecież w Polsce finansista i administrator z talentem i, nie zasięgając o nim bliższych wiadomości, poradził Dembowskiemu, ażeby go sobie przybrał za pomocnika. Pan Potocki miał wpływ przeważny w Komisji Rządzącej i stary Dembowski na jego słowa przyzywał Węgleńskiego, dał mu pierwsze miejsce w swoim biurze, a następnie, gdy z dyrektora został ministrem, mianował go swoim pierwszym konsyliarzem i wyjednał mu krzesło rady w Radzie Stanu. Poczciwy Dembowski, coraz bardziej wątlejący na zdrowiu, nie spostrzegł się, że jego pomocnik jest jeszcze mniej zdolnym od niego finansistą, a co gorsza, że na jego prawości obywatelskiej nie wiele polegać było

można. Dembowski umarł w czerwcu r. 1809, a następcą jego zamianowany został, na przedstawienie Rady Stanu, Węgleński, który w kraju, z wyjątkiem części Podlasia, zupełnie był nieznanym, ale położenie, jakie zajmował w rządzie, narzucało poniekąd doradcom korony jego wybór, który król potwierdził. Zresztą trudno jeszcze było członkom Rady Stanu wyrobić sobie dokładny sąd o urzędniku i kolidze w Radzie, bardzo ostrożnym, niewiele mówiącym o rzeczach finansowych, a nadzwyczaj układowym i kryjącym się za plecami swojego ministra; ale znał go dobrze jeden człowiek, powszechnie poważany w kraju, teść Jana Potockiego, książę Józef Czartoryski. Ten, dowiedziawszy się o wyniesieniu Węgleńskiego na ministra, zawołał w gronie poufnych: „Niestety, jeśli pan Węgleński tak pokieruje skarbem kraju, jak majątkiem mojego zięcia i jego brata, to niechybnie wprowadzi go w bankructwo“. Dopiero bowiem wtenczas wykryło się, w jaki odmet wprowadził majątki ufnych i zacnych braci Potockich. Nikt-by go już niezawodnie nie był wziął za rządcę swojego majątku, a on zarządzał skarbem publicznym i zwalić go z tego wysokiego stanowiska nie było rzeczą łatwą.

Węgleński czuł sam, że do kierowania finansami kraju i to w tak trudnych okolicznościach, w jakich się wówczas znajdował, nie wystarcza jego spryt naturalny, którego niewątpliwie miał dużo, i udana pewność siebie; że do tego trzeba wiadomości specjalnych i wielkiego doświadczenia, na czem mu zupełnie zbywało. Wypadki zaprowadziły go może wyżej, niżeli sięgała jego ambicya,.. ale cofnąć się nie było mu podobna; poradził więc sobie w ten sposób, że, jak Dembowski jego przybrał był do pomocy, tak i on dla siebie wynalazł pomocnika w Okołowie. Pociągnął go już był za sobą do wydziału skarbu w Komisji Rządzącej; następnie zaś, zostawszy ministrem, mianował go swoim *alter*

ego pod tytułem dyrektora skarbu, a ów Okołów była to jedna z tych osobistości, które plamiły tę piękną epokę. Spasły prostak w kontuszu,—a przywdział go dopiero za czasów Księstwa Warszawskiego,—wciskał się on wszędzie pod firmą rubasznego błazna, umiejącego wszystkich rozśmieszać, zwykle szyderstwami z księży i religii, co mu uchodziło, jako kalwinowi; obmowami, które bawiły drugich, bo były mocno osolone i opieprzone; tłustemi i cynicznemi dykteryjkami, zgoła najpodlejszym rodzajem dowcipu, a my pod względem dowcipu, przyznać trzeba, nie jesteśmy bardzo wybredni—może dlatego, że to u nas dosyć rzadki towar. Podnosiło go w opinii gawiedzi to, że miał pieniądze i ciągle robił korzystne interesa, gdy prawie wszyscy w coraz głębszą popadali biedę. Z tego tytułu podawał on tonem najpewniejszym środki polepszenia finansów kraju, które łatwo trafiały do przekonania pospolicznych umysłów. Sądzono dosyć powszechnie, że pod rubaszną powłoką był to człowiek ze zdrowym rozsądkiem, bystry i praktyczny, a cała jego praktyczność polegała na tem, że zarzucał wędkę w każdą mętną wodę. Skupywał on za bezcen wierzytelności zadłużonych obywateli, pieniał się zręcznie i wygrywał sprawy. Trudniąc się niegdyś interesami Radziwillów, zebrał był sobie spory zapas skryptów, które rozrzutny *Panie kochanku* i rozrzutniejszy jeszcze synowiec jego, Dominik, tak łatwo podpisywali, i na tych skryptach budował swoją przyszłą fortunę. Należał do współki z Żydami w różnych nieczystych interesach, nawet przemytniczych, i na tych ostatnich schwytano go, na nieszczęście, trochę zapóźno, gdy już skarbowi ogromne szkody był wyrządził.

Z takim-to człowiekiem sprzął się Węgłęński; we wszystkim na jego zdaniu polegał i nigdy nie odzywał się w Radzie Stanu, nie porozumiewszy się z nim pierwej, a elastyczność jego zasad nie dopuszczała między nimi zakłócenia harmonii. Nie

znając się ani jeden, ani drugi na manipulacji biurowej, a chcąc się spopularyzować między obywatelstwem, pozapełniali bez przebierania wszystkie gałęzie swojego ministerium, w Warszawie i na prowincyi, podupadłemi dziedzicami wiosek, lub protegowanymi dzierżawcami, po większej części zupełnie nieusposobionymi do tego rodzaju służby publicznej; ztąd też w żadnej dykasteryi nie widziano takiej niedbałości, takiego nieładu, jak w ministerium skarbu pod ich zarządem; zwłaszcza, że sami nie zadawali sobie trudu kontrolowania robót swoich podwładnych. „Projekta — powiada Koźmian — które pan minister skarbu wnosił na Radę Stanu i przełożenia, dołączone do nich, nie nosiły cechy porządnego wyrobienia, a rachunki były często mylnie podsumowane. Mnie samemu zdarzyło się parę razy odkryć ważne pomyłki“. Pan minister umiał jeszcze i między swoimi kolegami w Radzie Stanu, tak jak ongi między obywatelstwem na około Boćków, jednać sobie przychylność grzecznością, słodyczą i niby wygórowanym patryotyzmem, ale gdy przychodziły na stół sprawy finansowe, gdy wszyscy ministrowie wołali na niego o pieniądze każdy dla swojego wydziału, przypominając mu, że pensye urzędników zalegają, że wydatków bieżących niema czem opłacić, że wojsko pozostające w kraju, nie ma ani dobrej broni do użytku, ani przyzwoitego umundurowania, — nic nie odpowiadał i tylko ręce opuszczał. Pocziwy Dembowski nie miał także wielkiego talentu do finansowości, ale przeszłość jego była tak czysta, tak chlubna, a szacunek współziomków dla niego był tak szczery i tak ogólny, że gdy się odwołał do ofiarności bądź możniejszych, bądź całego narodu, ofiary, które każdy z pod serca dobywał, sypały się na jego zawołanie. Węgleński nie mógł sobie podchlebiać, żeby podobny skutek uzyskał, zwłaszcza, iż przekonany był, że źródło ofiar już wyczerpane i jedyne wyjście, jakie widział, z kło-

potów skarbu, była oszczędność. Oszczędność stanowiła cały jego system finansowy, z którym wystąpił jeszcze jako Radca Stanu i pierwszy konsyliarz ministerstwa skarbu, zastępując złożonego już śmiertelną chorobą Dembowskiego. Wniósł on na sejmie r. 1809 projekt, ażeby powrócić do urzędów bezpłatnych, jakie były za Rzeczypospolitą, nie zważając na opór całej Rady Stanu, gdyż konstytucya nie wymagała, jak mówiliśmy, solidarności między członkami tej Rady. Projekt trafił do przekonania większej części posłów, wychowanych w czci i miłości dawnych zwyczajów polskich, a nie pomnieli, że nasze dawne urzędy, niepłatne na niższych szczeblach, były zbyt drogo płatne, na wyższych najczęściej tytularnych, bo Starostwami, i że cała ta administracya nie wielki ład utrzymywała w kraju. Gdy przyszło do głosowania, Izba podzieliła się na dwie połowy, głosy Rady Stanu przeważały tylko szale na stronę nowego porządku. Dziwna rzecz, że Rada Stanu zapomniała o tem, przedstawiając królowi Węgłęńskiego na ministra skarbu. Teką ministeryalna nie poddała mu żadnego nowego pomysłu i próżnia w skarbie nie zapełniała się.

Widząc tę nieporadność swojego kolegi, który, zanim na tę próbę doświadczenia wystawiony został, uchodził za tak wielkiego finansistę, Lubieński przygotował w tajemnicy ów projekt Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, o którym mówiliśmy wyżej. Była to wprawdzie prosta kopia pruskiej landszafty, która w zastosowaniu do położenia, w jakim się znajdowało Księstwo, wymagała różnych modyfikacyi i dodatków. Nie dosyć było bowiem puścić w obieg listy zastawne, zabezpieczone na dobrach ziemskich, trzeba im jeszcze było zapewnić sposób wymiany na brzęczącą monetę w kraju i za granicą, mianowicie stworzyć jednocześnie bank publiczny i giełdę, jak to uczynił później Lubecki i zarazem

zawiązać stosunki z zagranicznymi domami bankowymi, któreby podjęły się puścić w obieg te listy zastawne Księstwa w Paryżu, Frankfurcie, Wiedniu i innych ogniskach ruchu handlowego. Wszystko to było niełatwem do przeprowadzenia, ale nie niemożliwym, a innego środka wydzwignienia tak obywateli, jak i skarbu publicznego z ciężkiej biedy daremnie było szukać. Z tego względu wnosić można, że projekt Lubieńskiego, lubo niedostateczny i podany przez niewłaściwego ministra, który w Radzie Stanu nie wzbudzał żadnej ufności, byłby jednak wzięty przez nią pod ścisłe roztrząsanie, lecz nim do tego przyszło, już, jak nadmieniliśmy wyżej, cała Warszawa o nim wiedziała, i rozwijała się przeciw niemu i jego inicjatorowi opozycja, niemal tak gwałtowna, jak w sprawie Kuczyńskiego.

Wywołało ją kilku ludzi, najwięcej wpływu mających na publiczność, a na nieszczęście zagrożonych tym projektem w swoich interesach majątkowych. Takim był najprzód Okołów, uwiadomiony o nim przez Węgłęńskiego, skoro tylko się zjawił na stole Rady Stanu, przesłany z Drezna przez króla. Cały prawie majątek Okołowa był w wierzytelnościach na dobrach ziemskich. Myśl więc, że te wierzytelności spłacone mu będą papierami z kursem pewno bardzo niskim, przeraziła go okropnie, zwłaszcza, że w swej wyobraźni widział już i Litwę przyłączoną do Księstwa i skrypta swoje na masie Radziwiłłowskiej, zamienione także na papierki niepokupne, zatem i ruinę wszystkich nadziei, jakie sobie roił, że owymi skryptami złowi znaczną część dóbr Radziwiłłowskich. Zgoła widział przed sobą tak groźne niebezpieczeństwo, że postanowił je usunąć jakimkolwiek sposobem, godziwym, lub niegodziwym. Pobiegł czempredzej do Kuczyńskiego, wiedząc, że ten, prócz dawnych powodów nienawiści do Lubieńskiego, miał teraz i nowe, żeby powstać przeciw niemu; cały bowiem jego majątek, wyno-

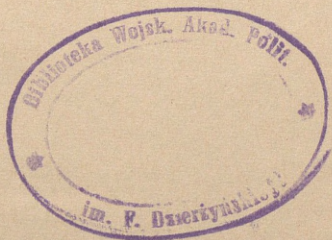
szący około dwóch milionów złotych polskich, był także w kapitałach, zahypotekowanych na dobrach braci, którym sprzedał był swoją schedę. Przy popularności, jaką miał w Warszawie, był to potężny sprzymierzeniec dla Okołowa, a zjednał go sobie w jednej chwili. Obadwaj zaczęli wołać po całej Warszawie, że Lubiński chce zrujnować wszystkich kapitalistów, ażeby majątek swój i swoich krewnych tanim kosztem z długów oczyścić. Klientela Kuczyńskiego powtarzała toż samo na słowo swojego patrona. Ze wszystkich stron dały się słyszeć głosy oburzenia, lubo nikt dobrze nie wiedział, o co rzecz chodzi. Cała rzesza żydowska zawrzała; poważniejsze nawet koła przeszły do opozycji pod wpływem Staszycy i Kochanowskiego, obu kapitalistów i radców stanu. Wpływ Staszycy był przeważny, bo uchodził on za polskiego Katona, lubo przyznać trzeba, że przy swojej wielkiej cnocie strzegł pilnie swoich interesów, łącząc je zawsze w myśli z interesami ogółu. W tym też razie, podburzając przyjaciół i znajomych przeciw projektowi Lubińskiego, był przekonany, że działa *pro publico bono*, gdyż powiedział sobie, iż wykonanie onego nicby nie pomogło właścicielom ziemskim, a zniszczyłoby nie licznym, a bardzo potrzebnych w kraju kapitalistów <sup>1)</sup>.

Znamy dalsze losy tego projektu. Upadł on i upadł tak głęboko, że później Matuszewicz, następca Węgleńskiego, już podnieść go nie zdołał, lubo wszelkie potem czynił usiłowania. Czy Węgleński miał także jaki prywatny interes w przeszkodzeniu, ażeby płodna myśl Lubińskiego weszła w życie? O to oskarżać go nie śmiemy, nie mając na to poważnych dowodów. Same zaś jego teorye ekonomiczne, które Koźmian w treści podaje, tłómaczą dostatecznie znalezienie się zupełnie bierne w tej okoliczności.

<sup>1)</sup> Pamiętniki Koźmiana, oddział II, str. 81.

Utrzymywał on: „że gdy dobra ziemskie, dotąd w opłacaniu podatków zawodne, przechodzą z rąk zrujnowanych właścicieli w ręce ludzi zamożniejszych i mających jakieś kapitały, jest to czysta korzyść zarówno dla skarbu, jak dla gospodarstwa narodowego“. Dlatego to obojętnem, a raczej zadowolonym okiem patrzył jak majątki szlacheckie, wystawiane ustawicznie na licytację przechodziły jedne po drugim za czwartą ledwo część ich wartości, w ręce pieniaczy, spekulantów, lichwiarzy lub cudzoziemców. Ta ewolucya ekonomiczna wydawała się postępowaniem w logicznym rozwoju dziejowym Polski temu zwolennikowi zasad demokratycznych francuskich, który wraz z Mniewskim chciał podburzyć chłopów przeciw szlachcie we wszystkich dzielnicach rozpadłej Polski, aby ją odbudować na nowych fundamentach. Zapominał, że państwa wolne nie stoją tylko na zasadach ekonomicznych mniej lub więcej ugruntowanych, lecz nierównie więcej jeszcze na patriotyzmie i bohaterstwie obywateli, a w tradycjach patriotyzmu i bohaterstwa wychowywaną była przez dziesięć wieków prawdziwa szlachta polska; miała one wady i wielkie, ale nad którymi dawne jej cnoty brały górę za Księstwa Warszawskiego, i to wątpliwe Księstwo nie byłoby mogło bez niej ani chwili istnieć. Że tego Węgleński nie rozumiał, to już samo dowodzi, iż na męza stanu nie był stworzony. Nie utrzymał się też długo na tej wyżynie ministeryalnej, gdzie się przypadkiem dostał. Jednym fałszywym krokiem zleciał z niej na głowę i to w chwili właśnie, gdy przed Księstwem Warszawskim i jego ministrami otworzył się rozleglejszy widnokrąg. Nim jednak pójdziemy za biegiem wielkich wypadków, wśród których ten mały przypadek Węgleńskiego nastąpił, wrócimy jeszcze do pobytu króla Fryderyka Augusta w Warszawie, ażeby popatrzeć na widowisko świata warszawskiego w tym krótkim, ale ważnym w historii Księstwa okresie.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.





t. 1.

14098/

1